

8566

Bibl. Jag.

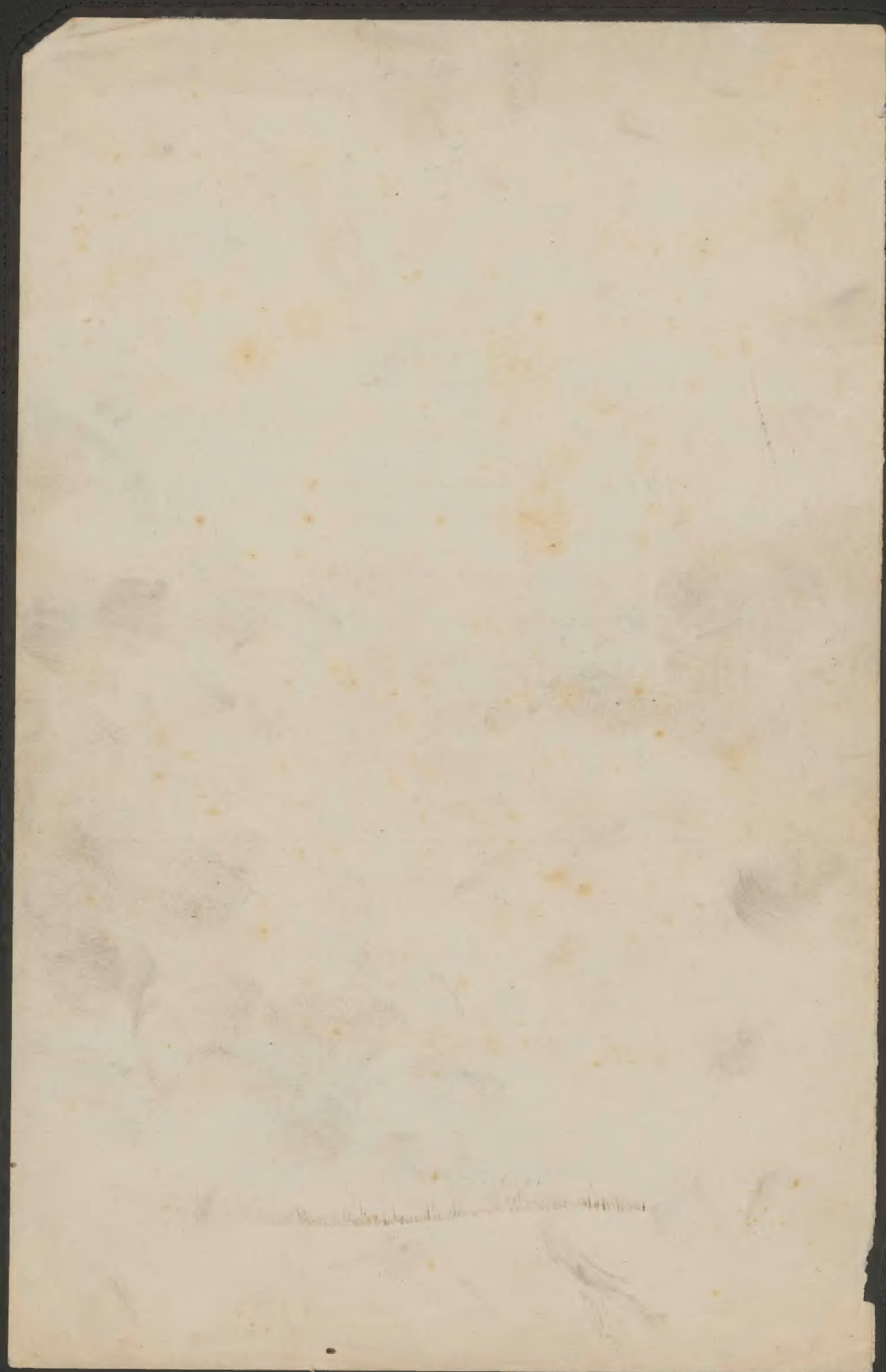
II

cs 1-4



Spis treści:

Wieczer lipcowy ...	1
Południe ...	
Jak Józef chciał, a jak mu wyszło ...	19
Schronisko ...	
Wojtusiove lato	
Na borach	
Pogrzeb Muzyki	



4 1/2 wierszy

29 w. b-j.

2

Wieczór lipcowy był pogodny, ciepły.
Księżyc nad Białką wyszedł pełnia
I z poza smreków, które w milczeniu zakrzęsały,
Z poza strzęczystych chmur,
Które się jak baranki wędziały,
Zajrzał na moje osiedle...

Owiał mi duszę czar kochanych gór -
Zechwienie, o jakim śnia prastare jędrze.

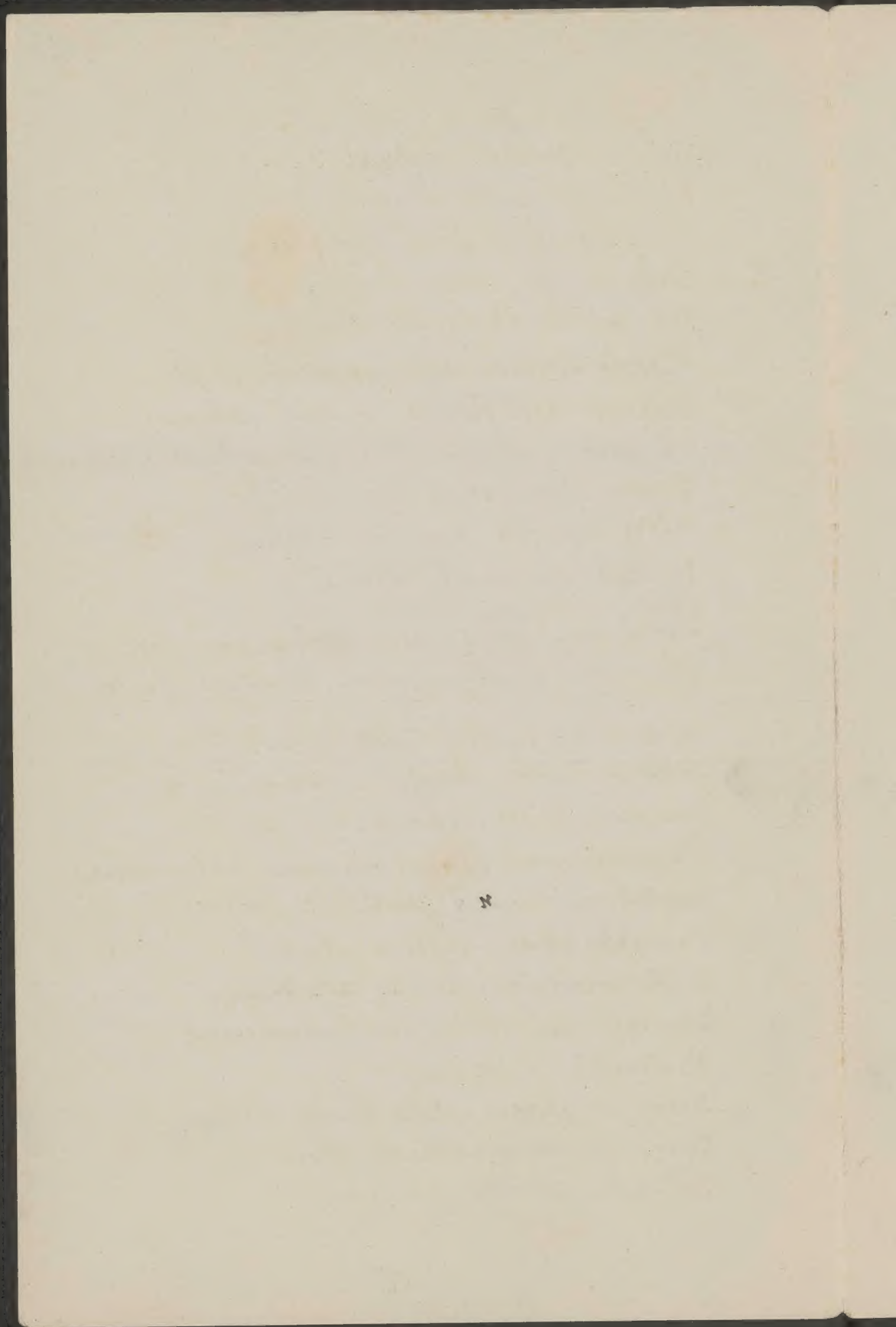
W te razy zaszedł urok nowy.
Ktoś w Białce, skryty mrokiem,
Na fujarce smrekowej,
Na drinnym, zapomnianym instrumencie
Zagrał mi dawna nutę...

Zadrgało serce, życiem strute -
I pod przymocnym jej urokiem
Zbaczyły mi się w tym momencie
Pasterskie moje czasy...

Kiedy to jeszcze stały grube lasy -
Kiedy we wierzchołkach drzew
Hołysały się orle gniazda -

Wiersz pasterski

7



Kiedy w ubozach rozlegał się śpiew,
 Miewający i ucho i serce
 W zlekniętej czarej pastercze ...
 Kiedy to dżugorłoty garda,
 Jak pniak zbutwiały, siry,
 W pasterskiej, dymnej kolebie,
 Przy czasie stoty,
 Gdy, jak mgły ciężkie, smują się tęsknoty,
 Objawiał storem różne cuda - dziwoty,
 Z wieści i sam ze siebie ...
 Kiedy to na słonecznych polanach
 Życie kwitnęło młode -
 Rój młodzi krzepkiej ognił się przy sianach,
 Dopieroż przy zabawie!
 A śmiech, pustota, w skwarnej tarzali się trawie,
 Porwana przez swobodę ...
 I wreszcie kiedy przy zorzy wieczornej
 Pastgerze woły spędzali
 Zstępując z polan w gromadce honornej,
 I na fujarkach grali ...
 A nuta szła w dół - na rozłoki,
 Na pola, mrokiem osnute ...

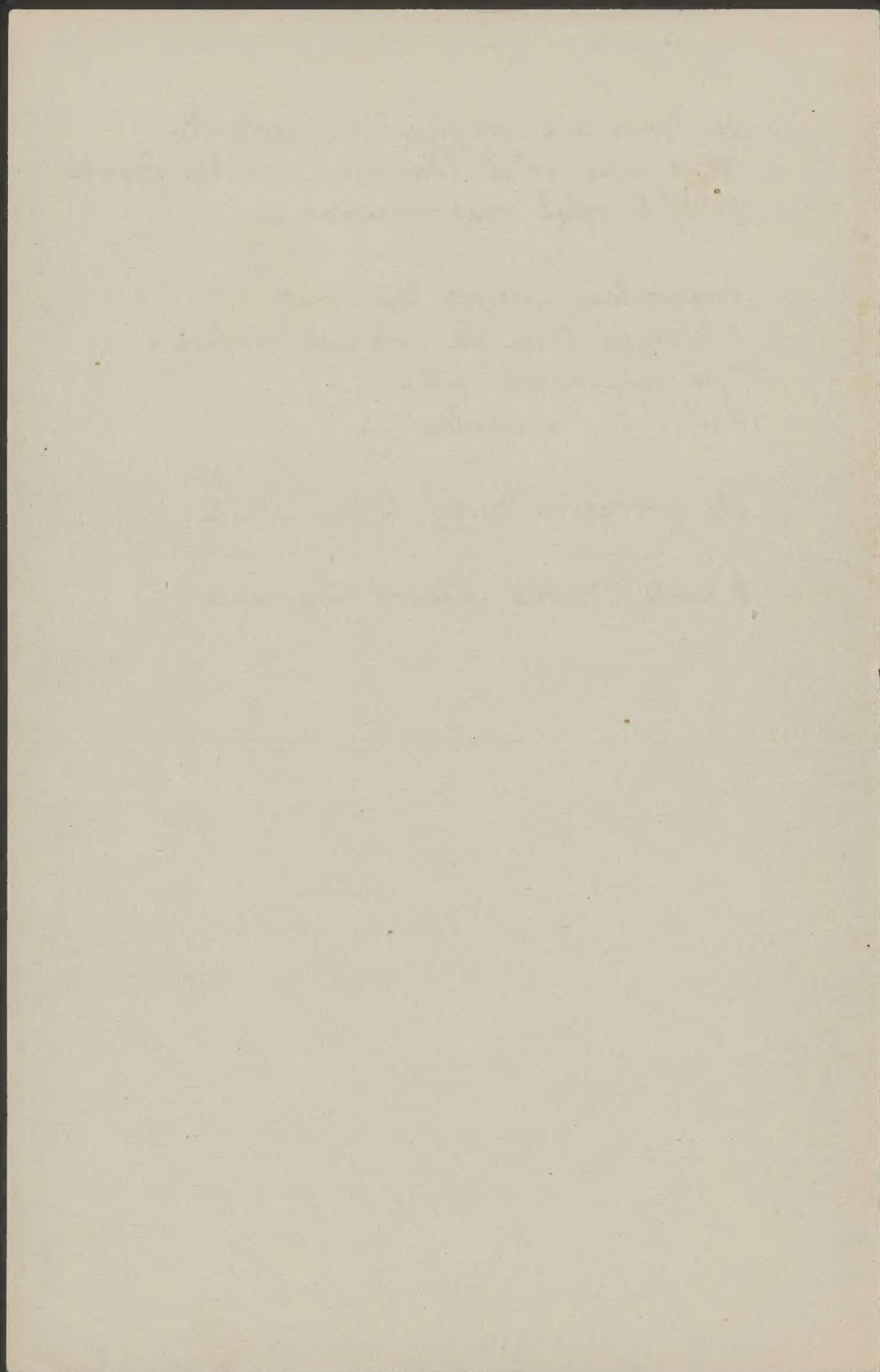
I kiedyś teraz usłyszał tę nutę,
 Taki mu objął żal głęboki,
 Bez dna, nieukończony,

Że from nie mogłem dać ustanku.
 Coś we mnie wołało śkaniem: „Franku! Franku!”
 Jakby to wołał czas miniony...

Przeszedłem poprzecz ten świat,
 O którym tam na polanach śniłem -
 Tyle minionych lat -
 Walczyłem o coś-żyłem - -

Oto porzacam duszę, bólem strutą...

.
 O nuto! Darna, nieporrotna nuto!..



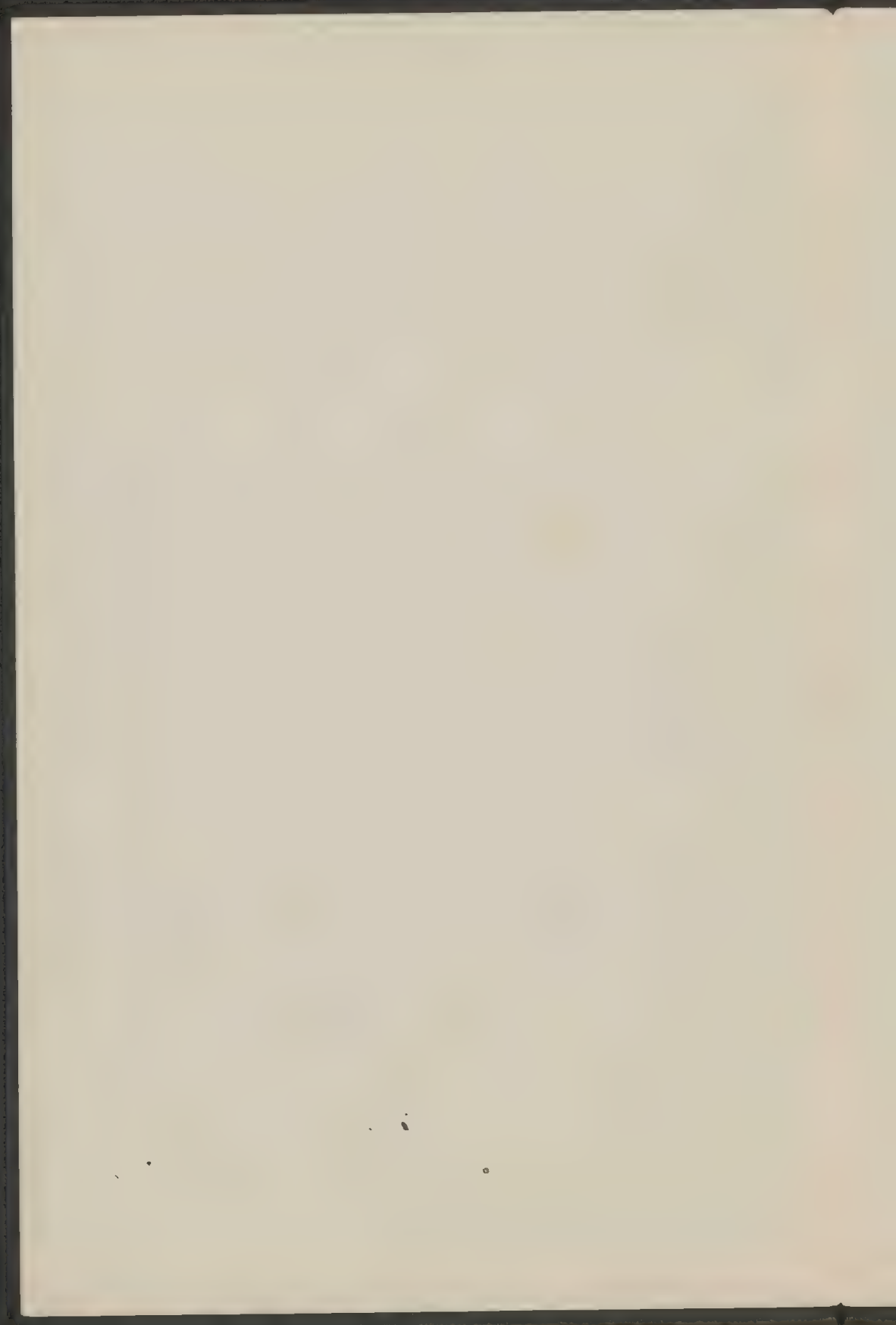
Południe.

Jasiek z Łazebków wygnał woły na
wierch Ceski, na polanę rozkoszną, schy-
loną jedną polacją do stonca, ku polu
dujowi. Stało mu się w sercu wesoło,
jak zandy, gdy tu wyganiał. Śródpołuni
był. Słonko wytoczyło się z poza Jawo-
rzyny i stało prawie nad czołem Tur-
baczki, ciskając światło w rozstoki, które
się aż zapoczęły mglić od tej białosci.

Powiodł radościem oczyma dookoła po
słonecznych wierchach, po zamglonym
na zachodzie widnie Babiej Góry, i
oparł się aż na północy o łachie ni-
żyny, które poprzecz szereg, zbieżniate,
wydawały się rąbkami dalekiego mo-
rze. A coś w nich, niby igły wiek
złocistych, lśniło. Starzy powiadali mu,
że tam Kraków...

Duma radosna porwana, zawiódł głosem:

"Hej!... jak ja se zaśpiewam
na środku polany —



Ły - to mi odegra
 "Krakowie organy..."

Poleciało ku wierchom - zadziwiało po
 bukowym lesie - rozjękło, rozleciało się po
 dalszych ubocach - i Jaskowi zdało się, że
 słyszy echa dobyte z niewidzianych dale-
 kich organów. Zasmiał się szczesliwym
 śmiechem.

Zajął woły i popędził je ku południu,
 w cień kraju, aby się pasły. Sam zaś
 leżał w słońcu na polanie i, sparty na
 łokciu, wygryzdynać sobie poczał a kerpem
 wytupywać jakas melodję. Do twarzy cho-
 dził mu uśmiech, niby kółka słoneczne,
 spadłe z gęstrych liści, a w oczach migota-
 ły ogniki lekkomyślne, zdrajce swaroli.
 Bo też jeno swarolne myśli mogły się
 plątać po tej pysznej głowie, nijaka tr-
 ska nie siezależ.

Własnie przyszło mu na pamięć, jak
 to tu na tej polanie w dzień Matki
 Boskiej Zielnej prasał Józkiem, co go
 zwał Harnym, o ziemię - w oczach H-
 zbiety, pasającej teraz owce w przeci-
 głę uboczy, na Suchorze. I jak H-



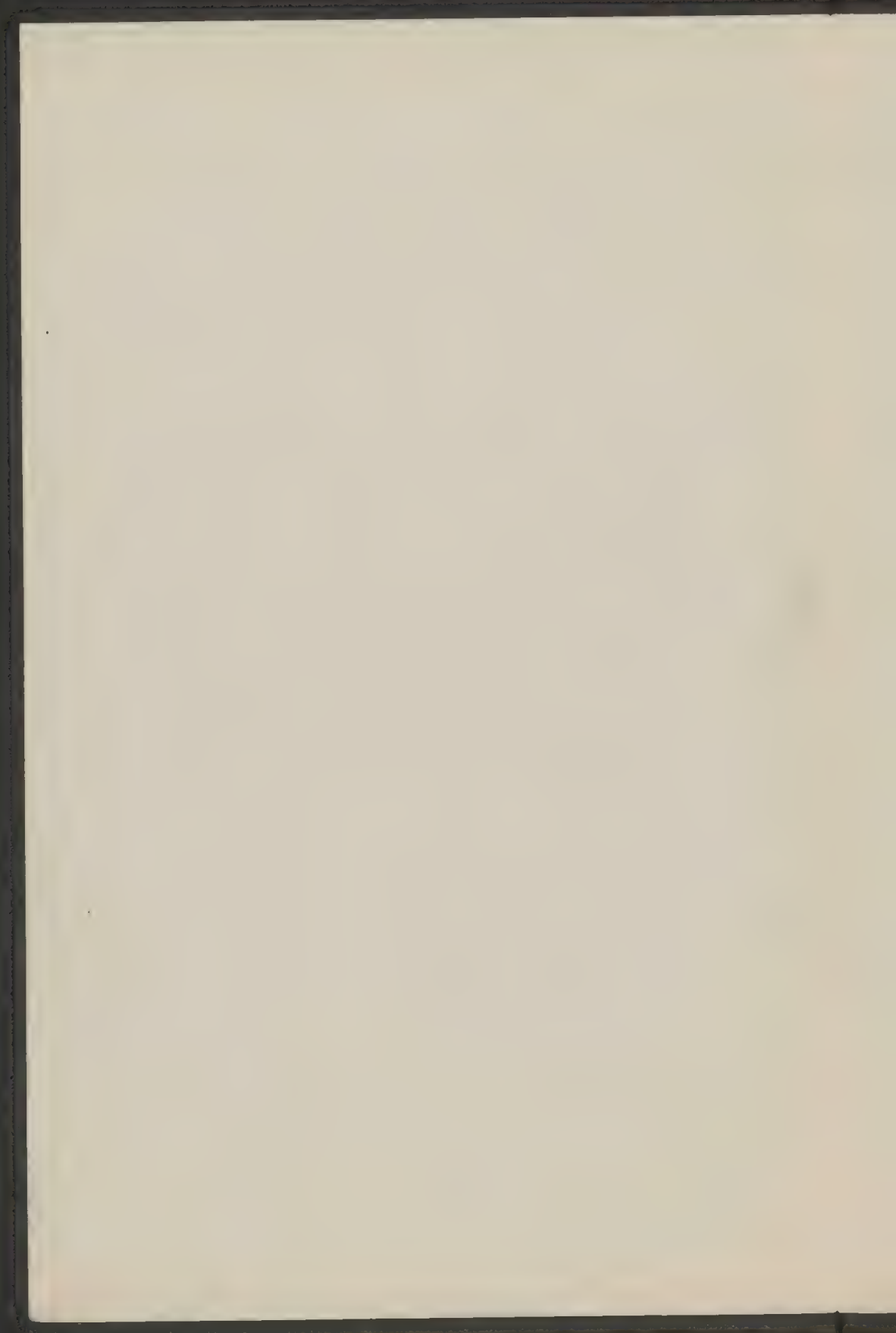
zbieta śmiała się i potem już ani poj-
nać na Józka nie chciała.

Skąd mu się wtedy tego tej siły na-
brało? Przecie to chłop: jak i Józek.
Od wielu років wolaruje. A tak się
pysznił swoją siłą - widziało się, że
niema nadeń karniejszego. I ukro-
cił go.

Przynadził na oczy całą tę walkę po-
szczegółę: jak się wzięli próbować za-
pasu, zrazu niby żartem, a potem i
naprawdę. Hrabie stała opodal i
śmiała się. To mu dodało siły. Jak
nie żartem - jak nie siepnie nim-
aż ziemia jęła. Spojrzał tryumfująco
na Hrabie - ta się dalej śmiała, jeszcze
serdeczniej.

„Hej - pocieszenie moje
Kany się obraca?
Popod Obidowiec
Owiecki narraca...”

„Zaspiewał sobie wysokim półgłosem.
I, przechylając głowę w tęsknem zama-
rzeniu, popatrzył w stronę Obidowca -
ku Suxhorze. Patrzył długo, aż mu



mgła zasłała ubocze - a miał ją w o-
czach, jak żywą, imitującą się, jak wtedy.
Nagle zerwał się z ziemi.

- Czy je tyż jest? Czy tyż już wygnana?

Podszedł parę kroków wyżej i wpatrzył
się szybko ku Suchorn. Leceć las zasłonił
polanę - nie widać owiec, ani nic. Jakby
się tu dowiedzieć... Stał się można, spał
się pod bok, odkrzyknął i zawiodł głosiło:

- Ou-ho-ho-ho-ho... ho-ho-ho-hu!

zagrzało potężnie - poniesło się ku przeciele,
glej uboczy.

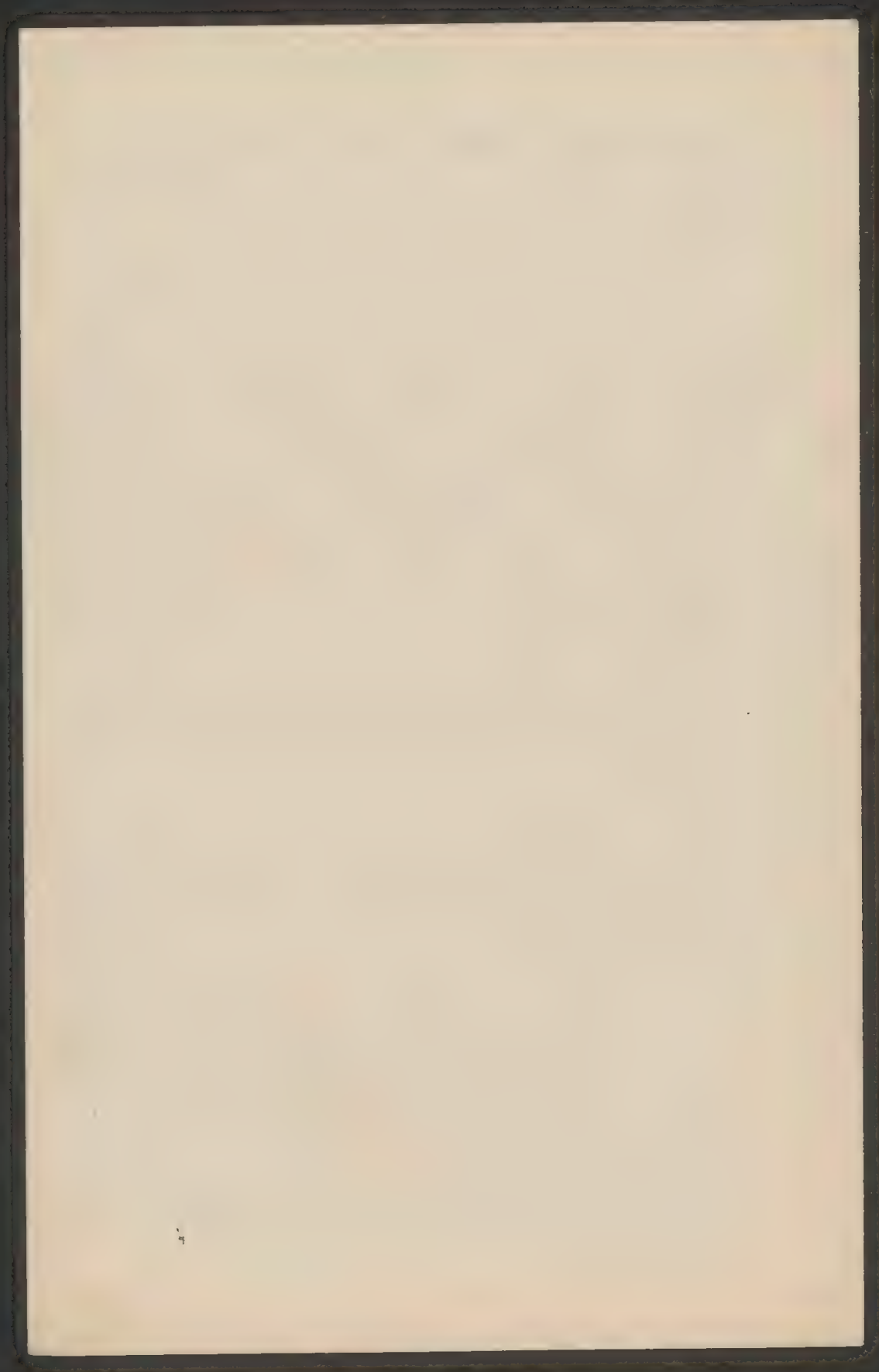
Jasiek nadstawił ucha - nadśluchował.
Nieradługo przywiał cieniutki głos z Su-
hory:

- U-hu-hu-hu!

Jest. Doznał jej głos odrazu. Usmiechnął
się, jakby ją na oczy ujrział. I z tej
radości zawiodł:

"Hej!... jak ja se zaspiewam,
Jak ja se zawięde -
Usłysz mię dźwięce,
Choć najdalej będę...

Mato mu się widziało - dodał:



- Hej!... jak ja se zaspiewam -
 Dusze głos po lesie -
 Dozna mie dziewczyna,
 Wiater ij doniesie...

Długo grało po lasach, po ubocach -
 a skoro zcichło doznaku, przylsciało z Su-
 kory:

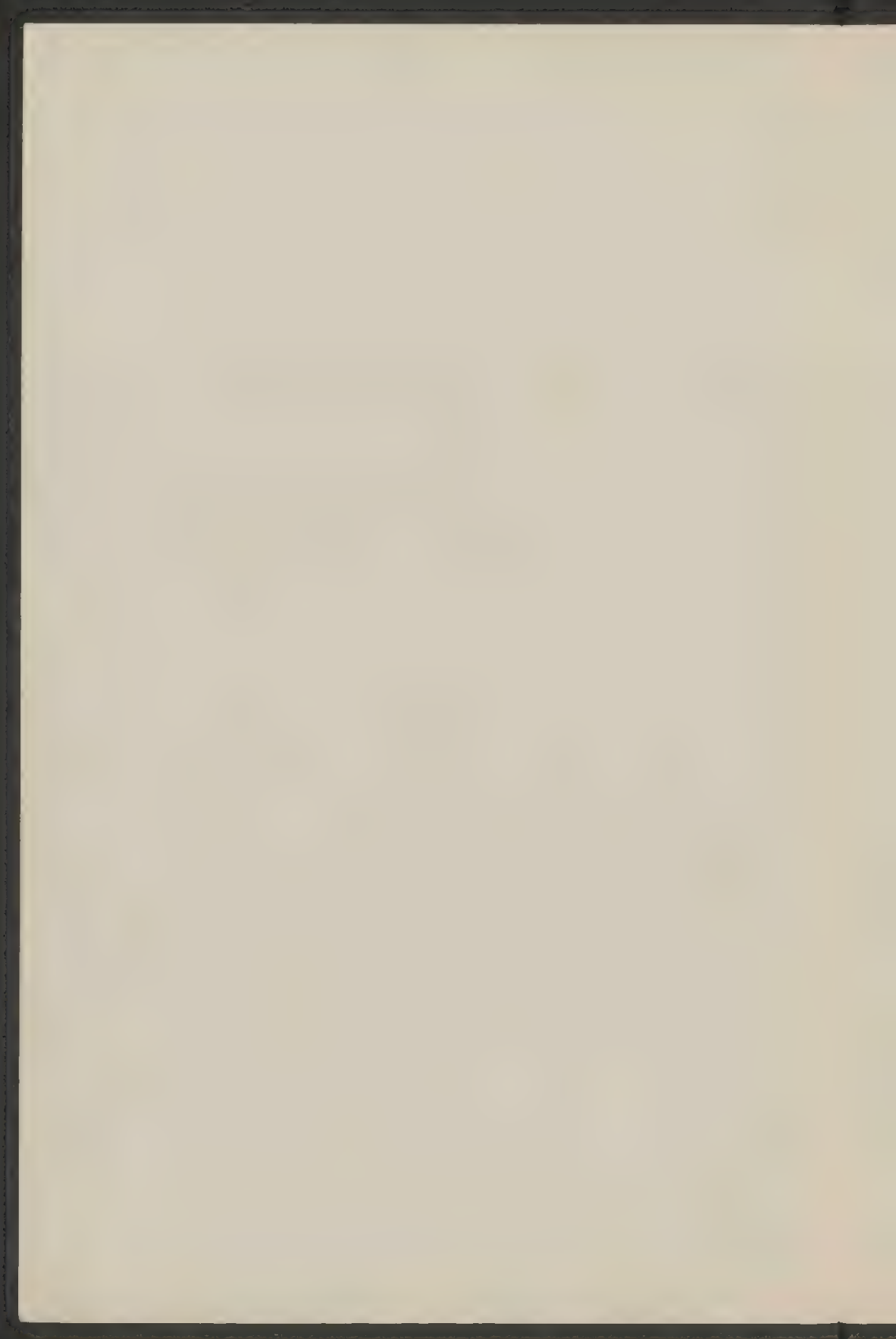
- Hej!... wtedy ja cie wtedy
 Chłopaku poznała,
 Kiedyś buki ścinał,
 Ja owiecki guła...

Jaśkiem aż zatrzesło - jakby to wiatr
 dunał, nie melodia tesklina.

- Dyc' iak było. Jak sie to zda i spienka.
 I na oczach stanęły mu te liście bu-
 kowe, na których se ja przypieholił, i
 te owce białe, które ich obstępily jako
 s'riadki...

Duko miłosiuiej i jakby głosem nie
 swoim zaspiewał:

- Hej!... powiedz-ze mi powiedz,
 Moja kochanecko,
 z za którego wierchu
 wychodzi słońcecko?



Jeszcze nie zgasły echa dzwonekne, gdy
od Sukory przyniało:

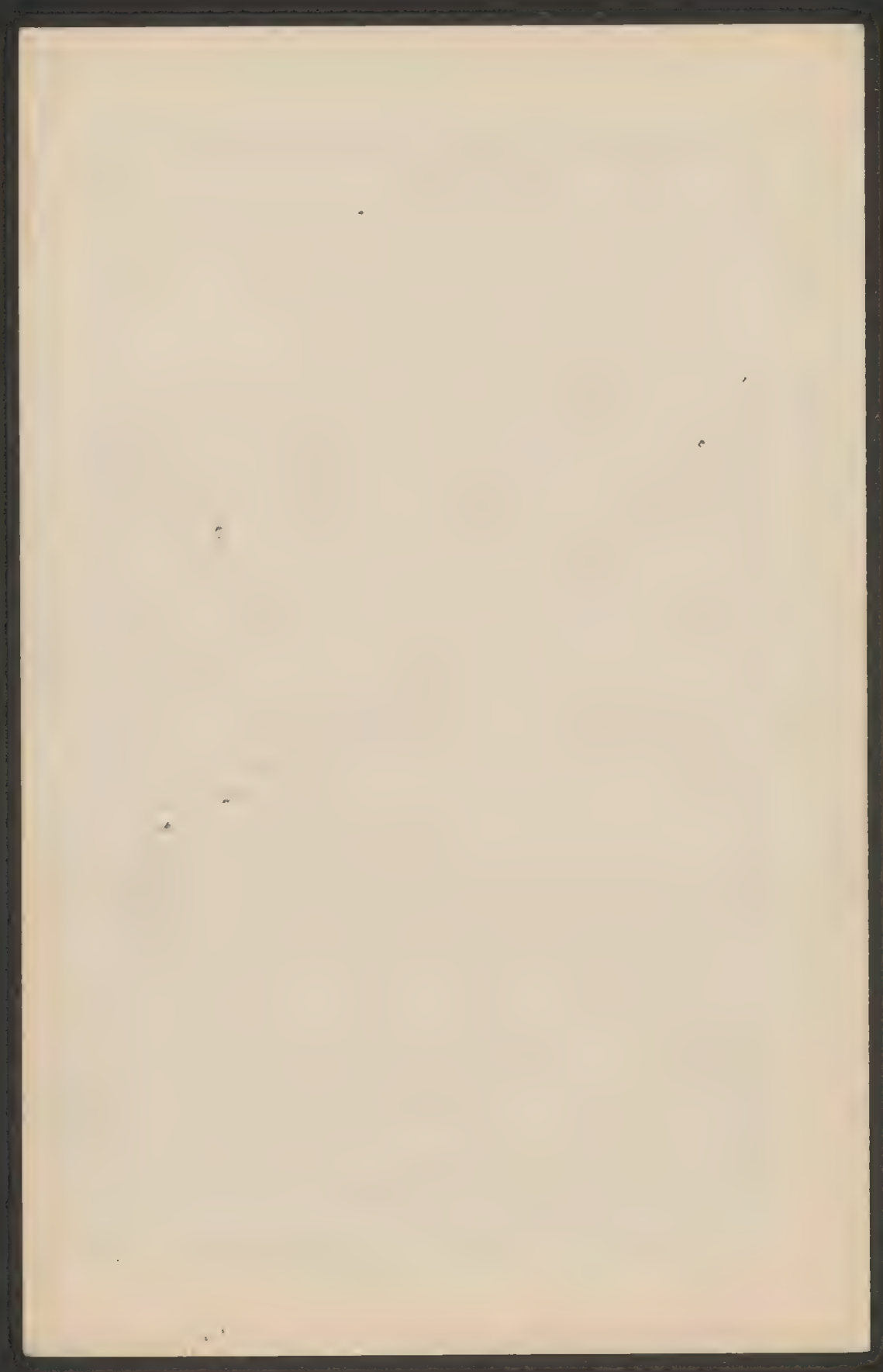
- I jakże ja ci powiem,
Kie ja nie widziała -
Stonecka wschodziło,
To ja jesse spała...

Stojąc oparty na ciupadze, ustami
rozchyłonymi słowa miłe chwycił, i
uczuł, jakoby ta melodia przyniesła
mu zapach siana, na którym spała.

Nie miał już woli śpiewać. Obejrzał
się za plecami. Dostał się w kraju, w cie-
nów buczków, okalających polane.

Legł na ziemi do słońca i počął
sobie znowu zicha przygryzować - ale
mu nie szło. Oślądowało nim kłenienie,
zryczajne o tym czasie. Zauważył, gdy
osłupia zmęczonymi dookoła włożył, że
i woły powolniej trawę skubią - jak od,
niechęcia.

Słońce przetoczyło się z nad Turbacza-
ku Obidowcowi i stało prawie na połu-
dniu. Nie grzało już, ale piekło jak
płomień ogniska. Gorąco coraz większe
się czyniło - skwar się w powietrzu wzmagał.



gał. Nawet liście buczyny poskręcały się od żaru i dygotały.

Jasiek leżał na trawie, jak na rozpalonej nalepie. Pomyślał, że dobrzeby było znieść się do cienia, ale ruszać mu się nie chciało. Napelusz go nasunął na czoło, oczy przymknął i trwał jak w drzemce. Ale światło przedkierało się przez powieki i parzyło go w sam mózg. Bawił się żarem tym światłem, bo rozmaite mu się przedstawało: raz białe, raz żółte, raz czerwone... Myślał przytem:

— Jaka cyrcona spodnica ma Hrabia. Jak z pora buków mignie, to jakby cały jakieś. Co tyż to w tem...

I teraz na samą myśl czyniło mu się słabo koło serca — jak pod urokiem. Włada go odchodziła. W gardle uczuł suchosć dziwną — pragnienie nagłe, ujęte, przykryte — aż oddech taniało. Dławił się na siedząco — popatrzył na świat — a świat mu się jakimś dziwnym wydał, jakby go coś przeinaczyło. Czary istotne... Włada rzecz ta sama, a nie ta. Liście jakiegoś zieliszka — trawy złociste.

i światła, światła potoki - lić jasna...

Drzetarł oczy. Woły leżą - zniekuja.

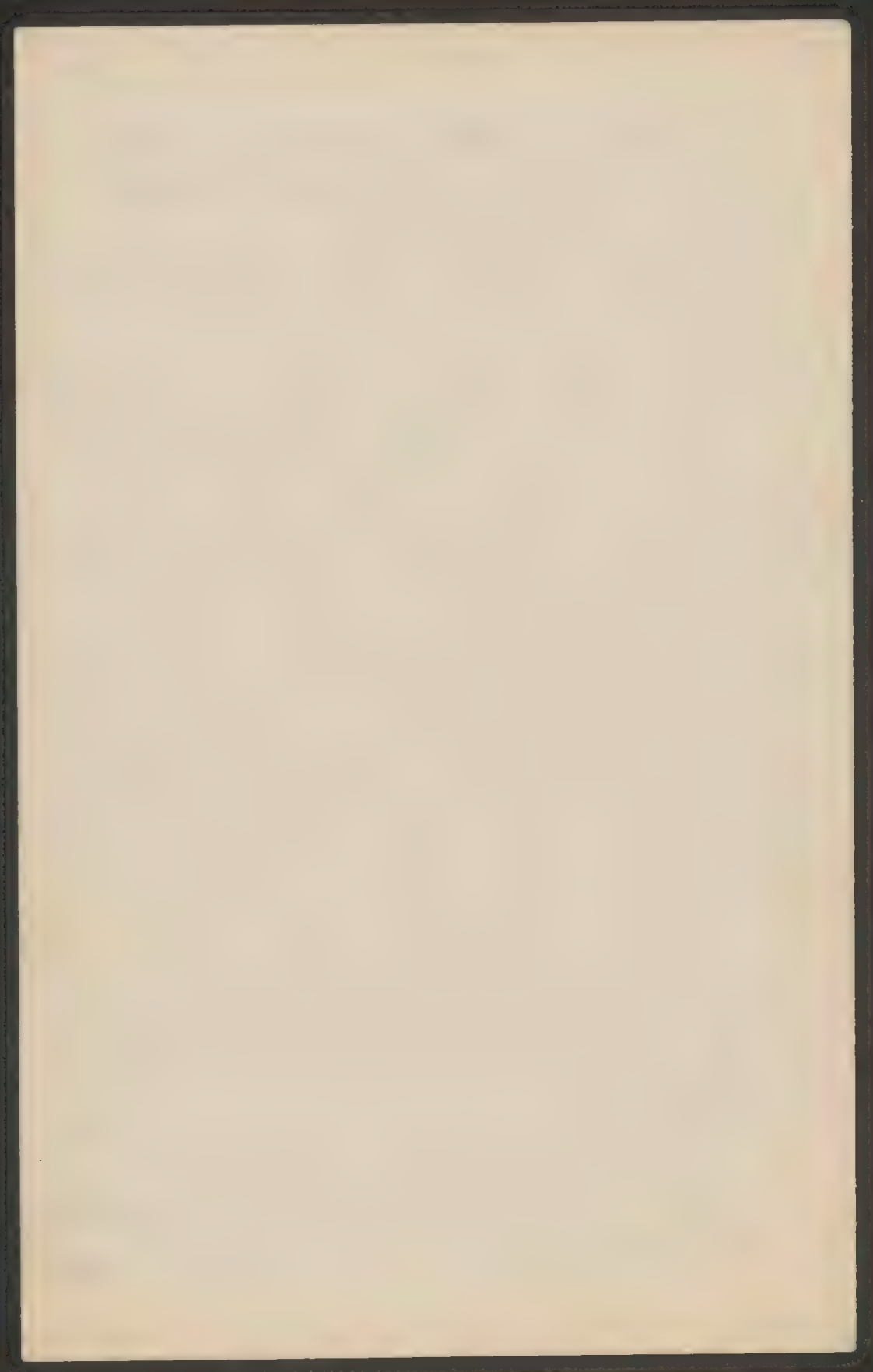
Czy to naprawdę te woły?

Zdaleka dobiegło żalosne wołanie Kani:
"pić!"

Dumał wstać - iść ku wodzie - ale źródło daleko, na północnej stronie. Zbaczyło mu się, że w Potoku Skalistym jest agrest; późno dojrzeła - może już i dojrzał. Ale i tam nie blisko. Pragnie, niby go odpadło, niby doszedł.

Wyciągnął się z powrotem - gdy pragnienie przywiodło mu na smak maliny. Są we wrębie, w uboczu. Począł je w myśli rwać i smakować. Drzypomniato mu się zaraz, jak ^{to} mu kiedyś Hazieta przyniosła w podotoku malin. Słodkie były... Począł wspominać to i inną - i obraz jej, jako żywy, przedstawił mu się w oczach. Leżąc na mchu wysokim, w słonecznej spiece, kusi go śmiechem, oczami i całą sobą rozkoszna...

Porwał się z ziemi - skoczył do kraja - zajął woły i miał je gnać ku Suxhorze... ale pognął je na stronę północną - ku



13
wódzie.

Napoił woły w studzience i sam się napił. Potem siadł koło studzienki, a woły się po młacie pasły.

H cieniu nabrał wściekłości - siły mu wróciły - dumiał zatem, żeby tu wyma-
nić, bo mu się cnać poczynało. Sci-
nałby buka, ale nie wziął ze sobą
zaburicy - ciurpaga nie nie poradzi.

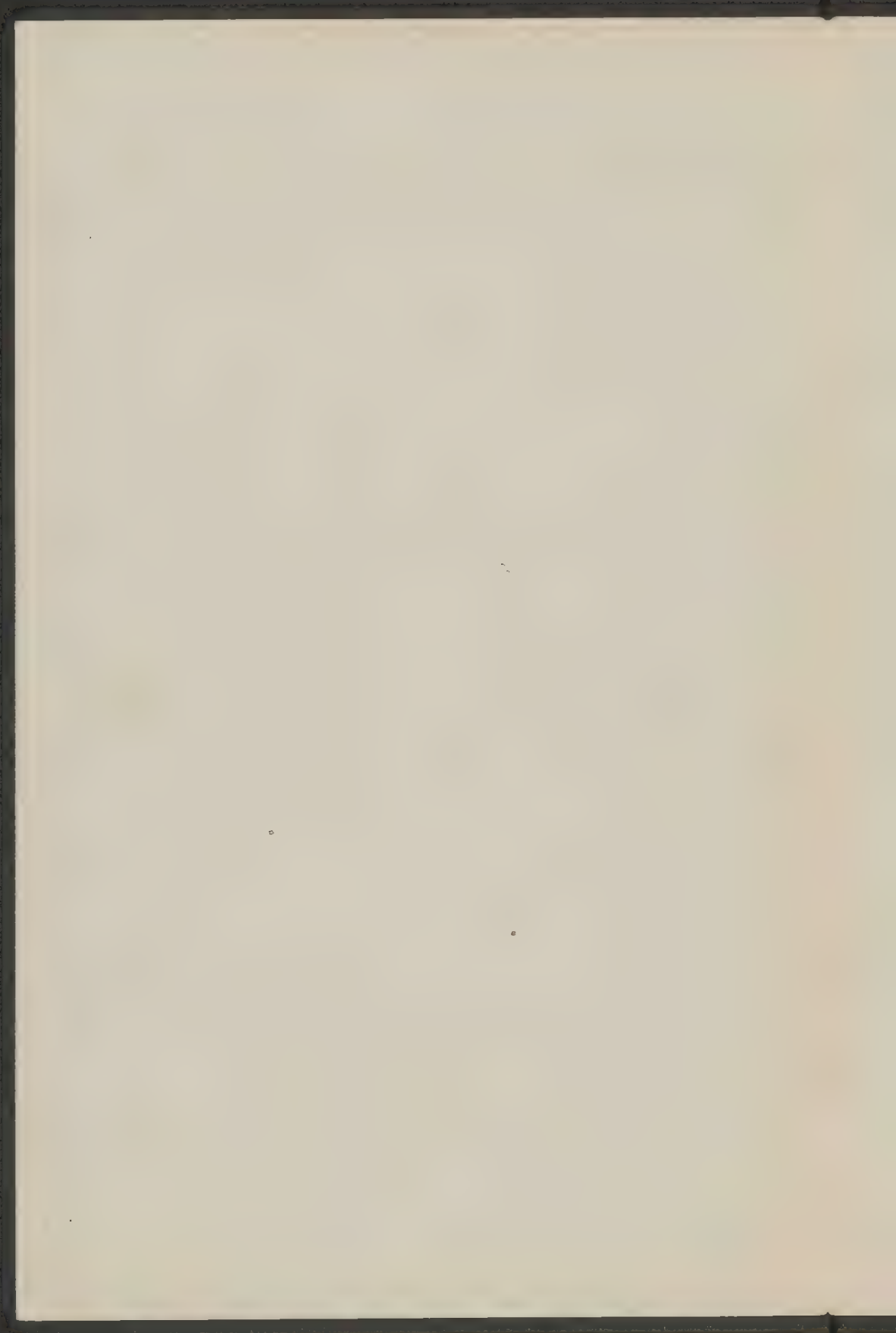
Wstał - rozprostował ręce, aż zachrę-
siałały w stawach. - spróbował by się
z kim... Ale tu po tej stronie, widzi,
nikt nie pasie. Huknął w dół ku
roztoce - nikt nie odpowiedział.

I znów, idąc z wołami pomału pa-
sący, wyszedł na wierzch Ceski.

Słońce posunęło się nad Suhorę. Śród,
wieczerek się zbliżał.

Jasiek odrazu oczy tęskne ku Suhorze
zwrócił, ale słońce nie nie dało widzieć.
Zaledwie poprzez gęstwiny wpływającego
ku roztoce światła las smrekowy ma-
jażył.

Naraz stamtąd przyleciał znany do-
brze głos, jak wiaterek gorący z polu,
dnia:



- Hej! przyjedź, Jasiu, przyjedź,
 Abo przyplyni woda -
 I bo moje serdusko
 Saleje za tobą.

Jasiek też wartko odpowiedział:

- Hej, podej-ze mi rączkę
 Na zieloną ławkę -
 I podej-ze mi obie
 Pomówimy sobie...

I zaśmiał się w sercu. Niezadługo przy-
 szło od Sukory, ale dużo smutniej:

- Hej!... próżno ciebie, Jasiu,
 Moje ocka płacą -
 Jak przyde ku tobie,
 Owce się potracą.

A on, jakby już dawno nosił w uysie
 radę, odśpiewał z potuchą mocną:

- Hej!... żężyń owce na dół,
 Ja wołki żężyne -
 Żężyenny na dróżkę
 Popod Jaworzyne...

Gdy echa porichły, nadśluchował pil-
 nie. Za chwilę dopiero ozwało się, jak
 granie najmiłsze:



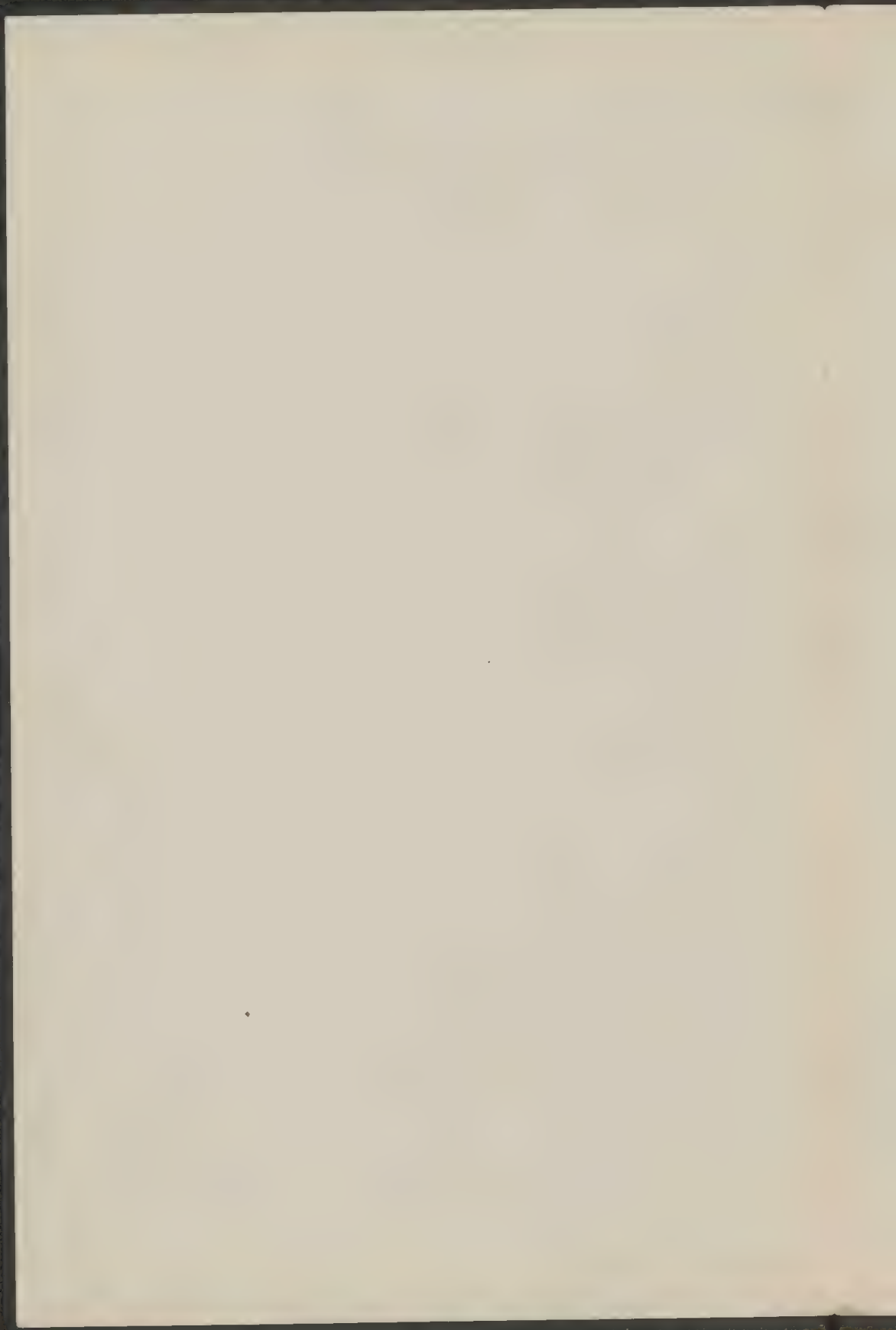
- Hej!... dyc' to już srodwiecez,
 Minelo południe -
 Kochaj mnie, Jasienku,
 Ale nie obłudnie...

Doresimiał się serdecznie, jakby ja miał
 przed sobą - z miłością w oczach i z tym
 zastrzeżeniem. I głosem, w którym śmiech
 drgał jeszcze, odspiewał:

- Ł nie bój-że się, nie bój,
 Dyc' ja przecie nie zbij-
 Nie zbij, nie zbijniczek,
 Ino pacholicek.

Stał cicho i słuchał, czy mu jeszcze
 słów jakich nie przysię. Za chwile odzew
 jeno przypadł - krótkie: „U-hu-hu-hu!”
 Zmiarkował po głosie, że mu je już z ubo,
 czy przesłała. „Zgania owce” - powiedział
 sobie radośnie. Czempredzej zajął woły
 i gnał je w rozłoke - naprzeciw. Z lasu
 już posłał odzew.

Drzedarł się z wołmi przez buczynę
 i gnał rzadkim lasem. Gałęzie jeno
 pod nogami trzeszczały, i odzywało się
 niekiedy w głowicach drzew gruchanie
 gołębi.



Przechylił się na drugą stronę xbozza
i posłał odzew Hax'biecie. Naraż, jakby
w odpowiedzi, dobiegł jego uszu śpiew
żałosliwy, cienki - od strony innej - ze Spal-
onego:

- Ej, nie wierz chłopcu, nie wierz,
Choiby w ogniu leżał...

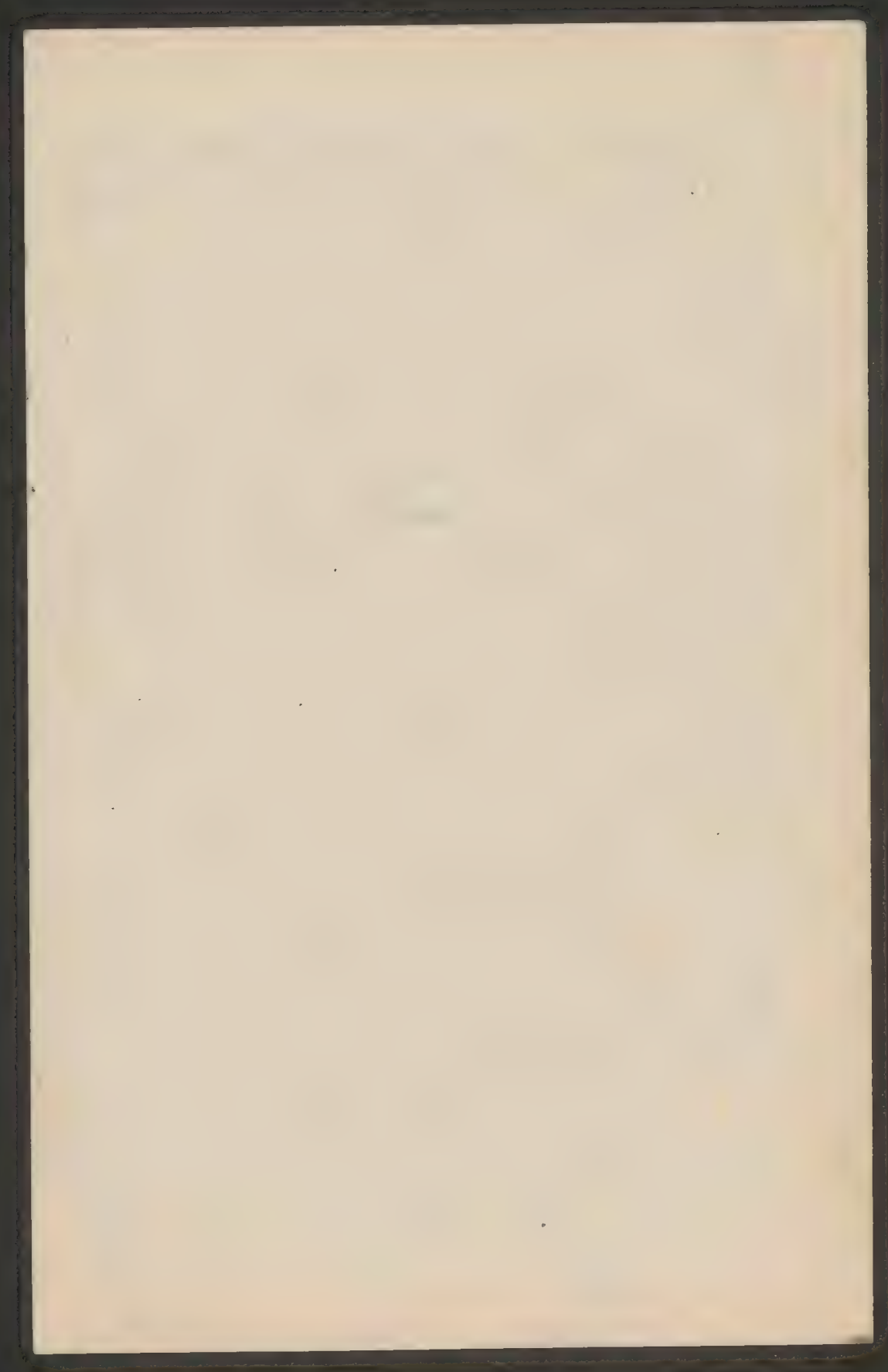
Dalsze słowa straciły się w żałosci. Do-
znał odrzutu głosu ~~złoty~~^{złoty}, która Łoniskiego
roku na Spalonem, pasąc z nią woły,
przyniewolił sobie, a potem jej odniepadł
dla Hax'biety.

Widząc, że go poznała z daleka po-
głosie i że jemu tak śpiewa - odrzucił
z pyszną swawolnie:

- Hej, dawniej toś cie widział
Bez dziesiątą scianę -
Dziś cię nie widzę,
Choi przy tobie stać.

Na to przyrwało ze Spalonego:

- Ej, pamiętaj se, Jasiu,
Staniesz na Sad boski -
Będzie on ci, będzie,
Wój wiecieńki gorzki...



Już nie odpowiedział. Natomiast warko-
 zachwycił woły i przesłonił się od tej stro-
 ny zachyleniem lesu. Gnał jakiś czas
 w milczeniu - a skoro widział, że się już
 dość od Spalonego oddalił - począł sobie
 przegwizdować dla śmiałości serca i po-
 tuchy. Już też zbliżał się ku roztoce ...
 Tu doleciał go - już z niedaleka - szukają-
 cy go głos Haxibiety:

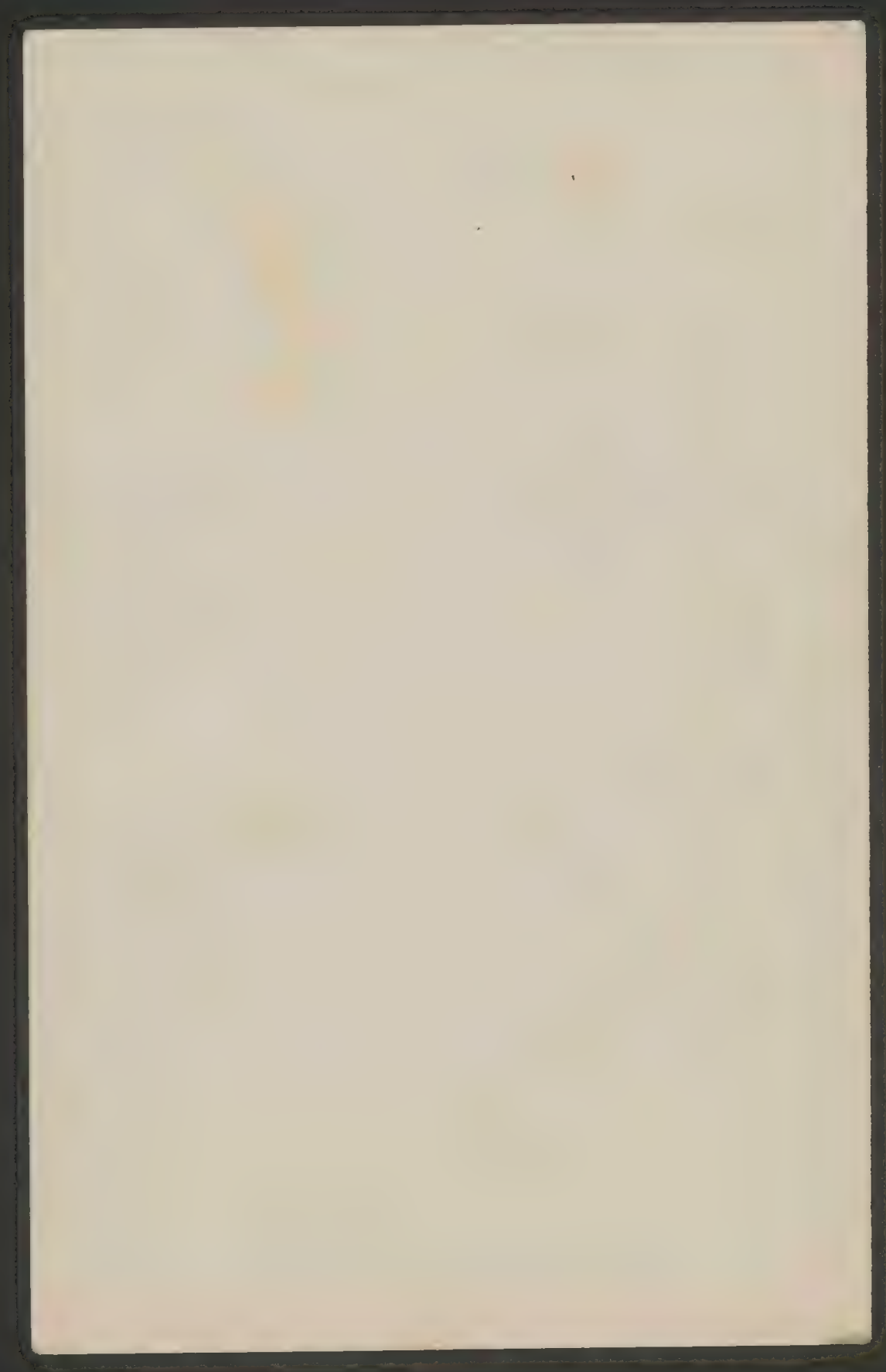
- Moje pocieszenie,
 Na który jest stronie?
 Cy na ty, co i ja,
 Cy się ze mną mija? ...

.....

.....

Słońce już dobrze schowało się za
 wierzch Tobołowa, i mrok zakradał się
 w roztoke, gdy w uboczu pod Sukorą
 zadzwieczało przy smętnym turtikaniu
 owiec:

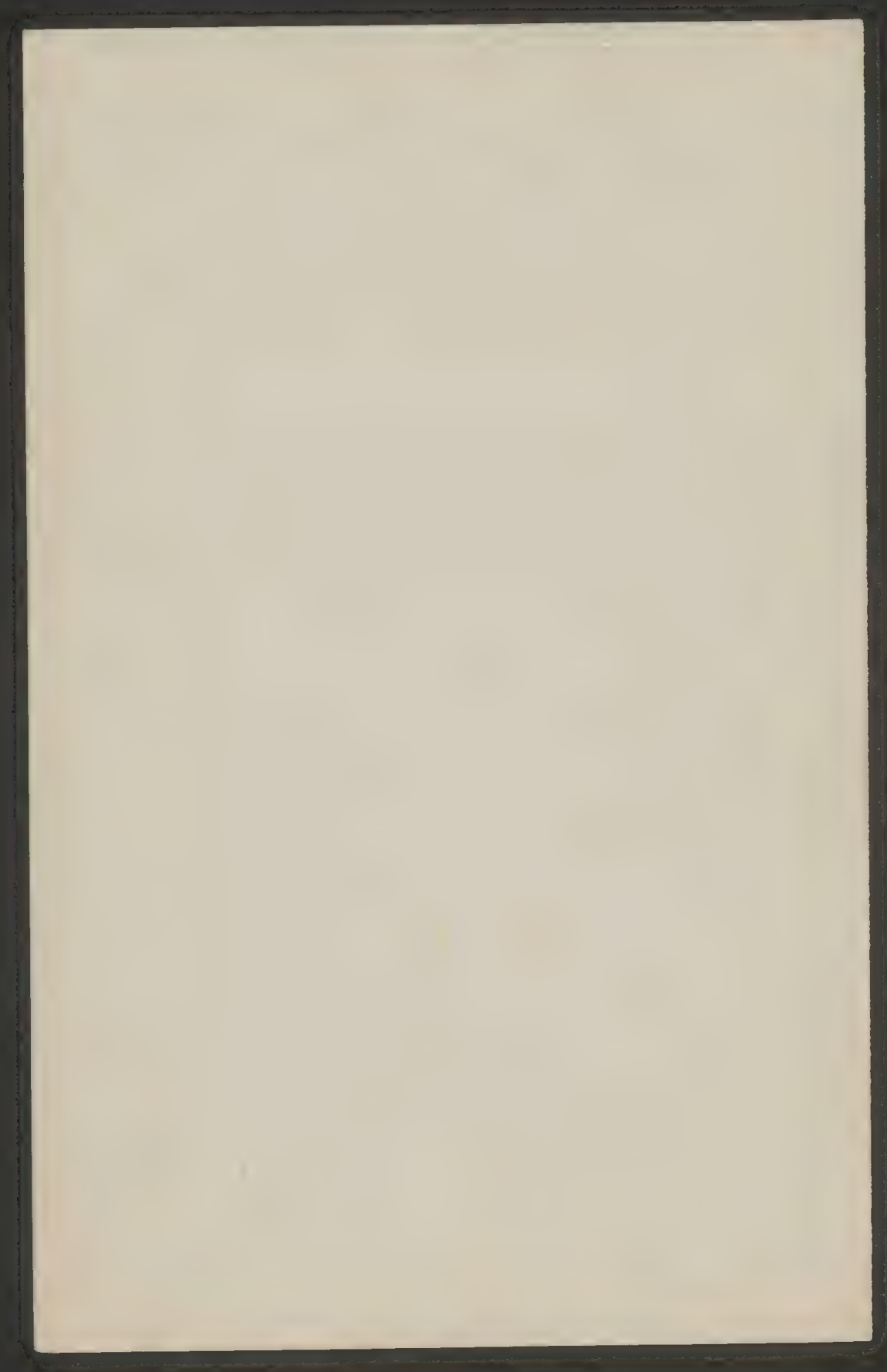
- Hej!... już się zachmurzało,
 Kłany świtać miało -
 Już moje kochanie
 z wiatrem poleciało ...



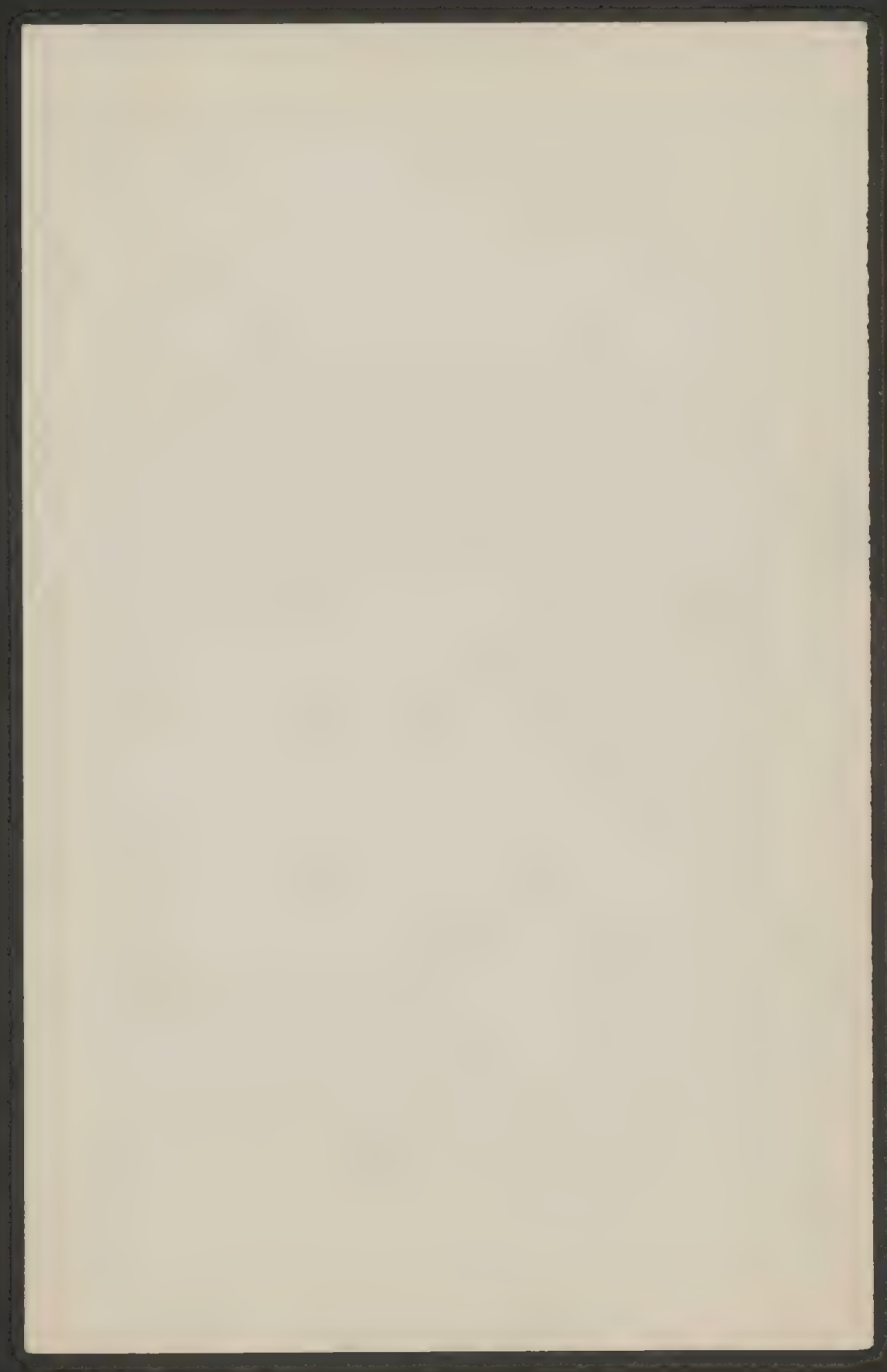
A od Spalonego poniosło się żalostne
spiewanie ku Cesce:

- Hej!... bodajby cie było
Na świecie nie było -
Nie widziałabych cie,
Nie żal by mi było...

17. A Jasiak ze Łarebków gnał napasione
woły ku kolebie i przygwiżdował sobie -
po twardy przebiegał mu uśmiech lekko,
myślny, a w oczach migotały ogniki strachu,
wolne.



Jak Józus' chciał,
a jak mu wyszło.



Józus, Miecusiów syn, z pod kół od Dunajca, ukończył szkoły w Krakowie i na wakacjach w chałupie u ojców bawił. Nie wiedział jeszcze, gdzie się na przyszły rok obróci — czy na doktora pójdzie, czy na księdza, czy też na sędziego. W domu najbardziej by radzi byli, żeby na księdza, so. szedł. Nie powiedzieli mu dotąd wyraźnie, ale ze wszystkiego miarkował, że tak myślał; matka już drugi tydzień na tę intencję nowennie odprawiała.

Józus do żadnego stanu wyraźnego pokochać nie mógł, najmniej zaś do duchownego; ale czuł, że się obrzeć nie potrafi, skoro go poezna nakłaniać... Zmęczona głowa miał po kilku latach nauki, i najchętniej niczem by się nie zajmował, jak o to w tym czasie. Całymi dniami wałęsał się bez celu, wysypiał się w sadzie do stonka i chodził między ludźmi osiedla jak śpiący. Tyle, że czasem do kościoła,

przez matkę przymukany, poszedł, księ-
dza proboszcza odwiedził - ale i to czynił
bez ożywienia, jak w śpiączce.

Matka przepomagała się, by mu jeno
w jedzeniu dogodzić; jajeśnice mu co
rano smarowała, racierkę z białej maki na
mleku gotowała, woddawała mu, co mu
głota; i Józus wnet stracił bladoci przymie-
sioną z miasta, przybyło go na gębie,
wyglądał, jak rydz bukowy.

A że w próżnowaniu i przy dobrem ja-
dłszy były różne myśli przychodzić do głó-
wy - więc i Józusowi przyszła myśl:
pójść ku sztalasom, na hale... Zbaczyle
mu się owce, siano, pasterki, śmiejące
się takim śmiechem, który aż łaskocze...
Tu pracujący ludzie przeszkadzali mu -
tam mu już nikt nie przeszkodzi.

Najbliższe sztalasy były na hali Cho-
chołowskiej. Tam też Józus poszedł.

Pasterze i pasterki przyjęli go ochotnie,
bo znali go od małego - niejedno lato z ni-
mi pasał. Po paru dniach oswoili się
z nim, i Józus wodził się z pasterkami
jak za dawna.

Znuwienie opadło z niego, jak kurz, gdy
wiatr zdmuchnie. Nie na marne też



- wyszły podbiady, dające przez matkę.
 Tu pasterkom się z przysmieciami zgra,
 cał - ter zaś przesmiewały się z jego nauki.
 - Tyle-s' casy w tych skotach był, i coż ci
 nauczyli? Śpiewki-ci' pozabacował...
 - To se przybacz - starał się mówić w ich
 sposobie.
 - Może w seminarii? Tam by ci dali!
 Mnę świętą kaza ci śpiewać...
 - Coż to zaradza?
 - a to, że teraz ci już o świeckich rzeczach
 nie trza myśleć.
 - Widziś, zebraku, ani na wesella nie bees
 mógł iść, ni na družbę...
 - a das mi, Józus', ślub, jak księdzem
 ostaniesz?
 - Dam ci, z jaką parada! ino poczekaj.
 - a kie-ż to będzie? Ża rok, dwa? Bo mi
 się spieszy.
 - Łoż ci tak pilno?
 - Gadaj mu ta o tem, kie on już jak
 ksiądz... Jakże ty zebraku wytrzymiesz? Tak
 całe życie bez grzechu...
 - Haj? od czego gospodynia? - pytała inuza.
 - Kie Józus' ta nie taki... On już dziś
 jakby wysznięcony. Ino mu kółko na łbie
 wystrzyż...

- Wiera tyż będzie ksiądz z ciebie! Tno tu prymieje zrób, paniętaj, co by my sie wytańczyli...

Józus wstydził się tego przyszłego księdrostwa. Chciał im koniecznie pokazać, że on nie taki święty, jak myślał.

Najuparciej przesuniewała się z niego Kundzina Jerka od Królów. W zamian za te jej ~~prze~~ przesuniechy, soczał ja śmiało słowami napastować. Nie gniewała się o to bynajmniej; to też Józus osmieleł się tak, że gdy jednego popołudnia przystali na chwile sami na polanie, zagadnął prosto:

- Kaze ty legas?

Wiedział dobrze, że uocornuje przy kopach na sianie.

- ?! - przedrzeżniała - Cożes taki ciekawy -

- Bo bych przysed ku tobie.

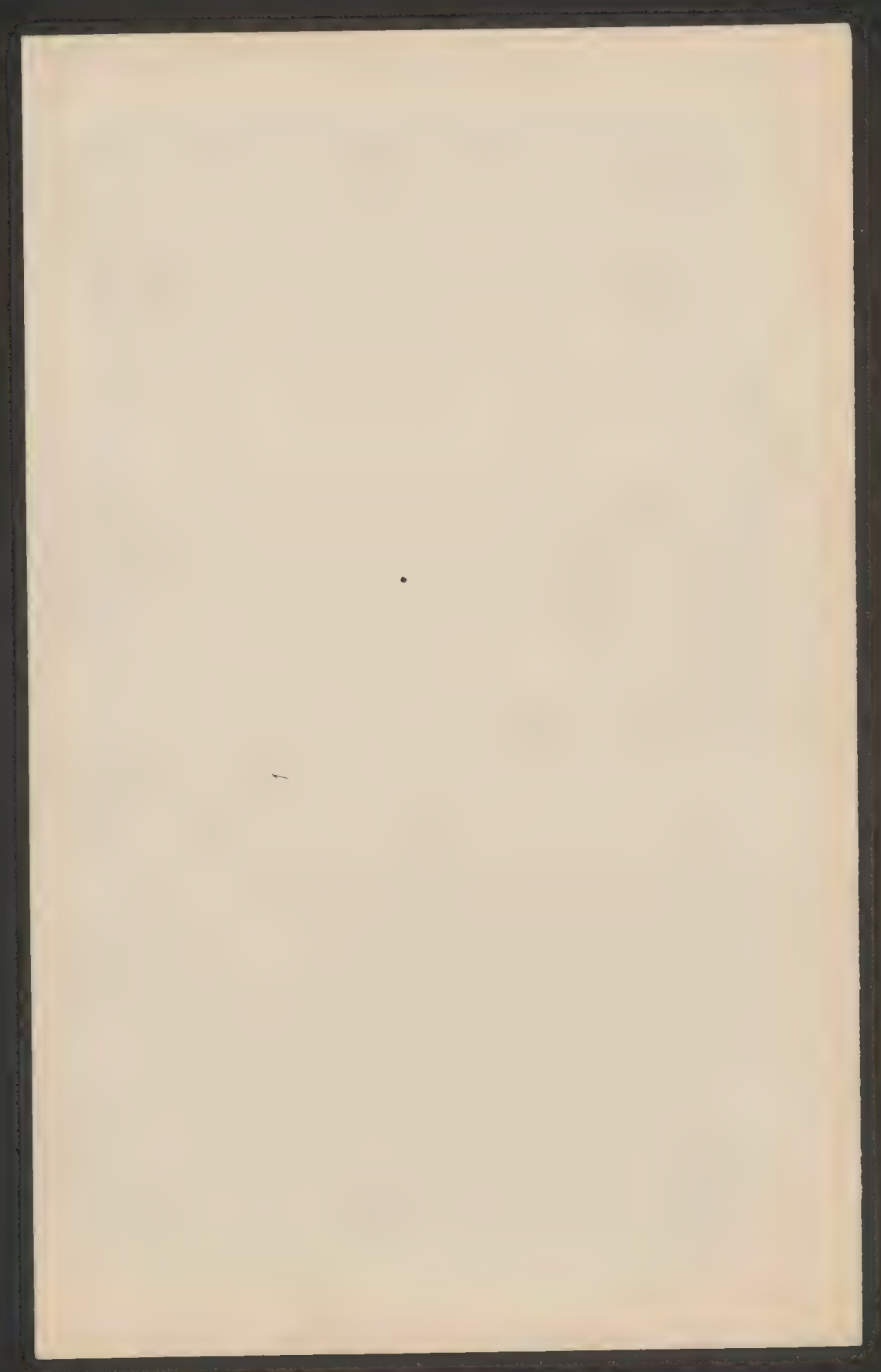
- To przydź - kto ci bronii?

Józus uszom swym nie chciał dowierzać.

- Naprawdę byś mnie przyjecha?

- Jakże? Dy nie na śpas...

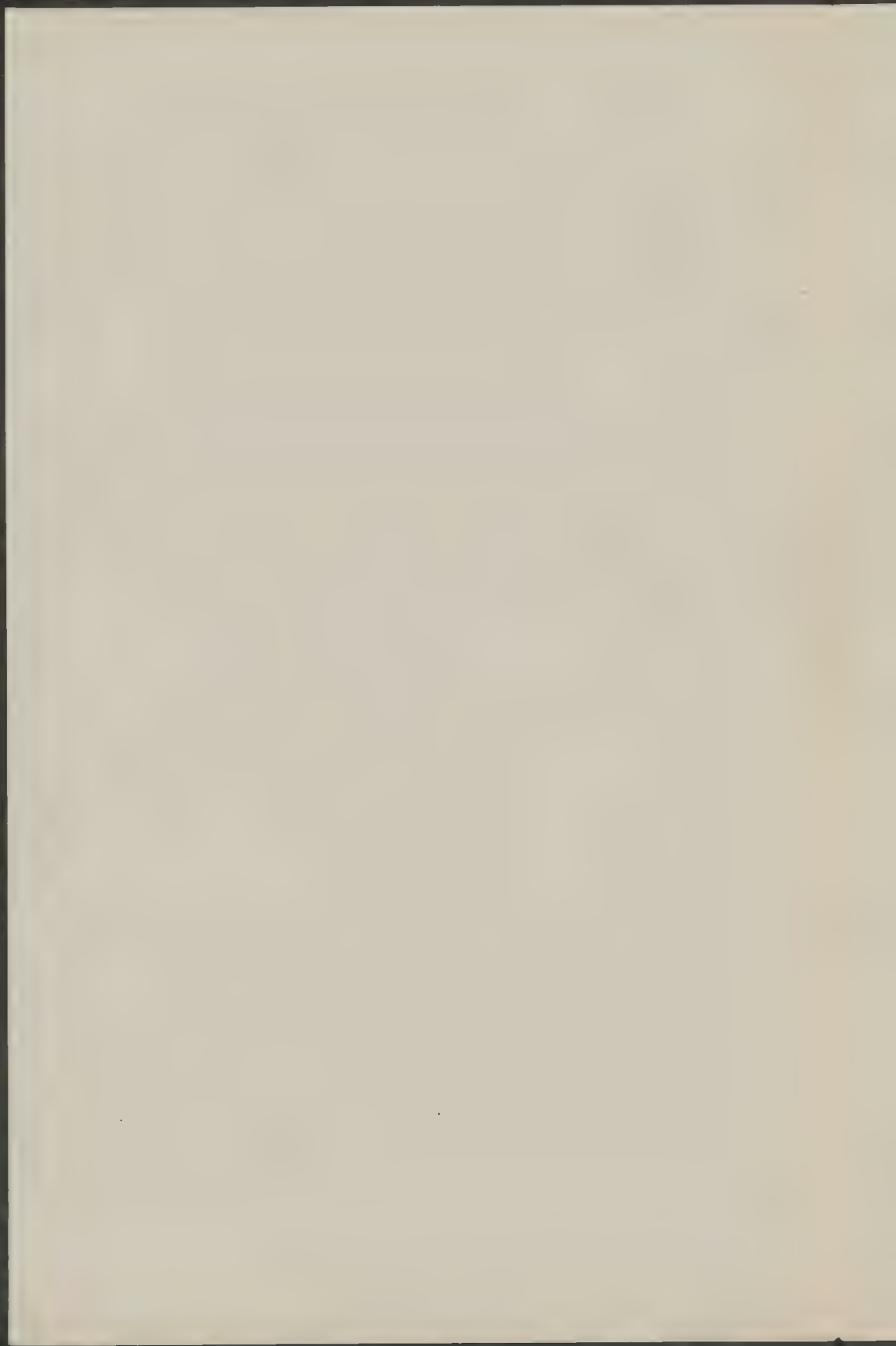
I zaniesta się śmiechem, który Józusia więcej niż słowa przekonał. Jak to dziwne łatwo! - pomyślał sobie w radosnem żdziwieniu - że ja też, głupi, nie wiedział...



Drzew cały ten odwieczny miejsca se
nie mógł należeć z niecierpliwości krwi,
myśla pokusina rozgrzanej. To do koleby
zabiegał, to z pasterzami po hali się
wodził, to za owcami uganiał - a wszędy
za nim szedł śmiech Jevki, raje obiecun-
jący. Na samą myśl tych rajów aż
Józus omglawał w cieło.

Nigdy dotąd podobnego uczucia niedo-
znawał. Choć miewał już różne. Kochał
się w błękitnych pannach, spotykanych
na nabożeństwach majowych, potem w ku-
lanej córce pani, u której dwa roky mie-
szkał: były to miłości straszne - do „aniotów”.
Myśla bał się ich sukien dotykać. Dóźniej
czystości swoją tracił w ofierze Lilith nie-
znanej, nago już w marzeniach śmielszych
widywanej, aż stracił ją zupełnie w ja-
kiejś ohydnej miejskiej norze, gdzie go
po maturze pijanego zoleczy zarlekli.
Prześladowało go to przypomnienie, lecz
jako sen przykre, niewyraźny. A oto te-
raz, tej nocy, ma się stać rzeczywiste,
o czym śmiał śnić jeno... I to naprawdę!
bez żadnych oczyszczeń! Józus! czy ty nie
zmarzniesz pierwszej! - mówił sobie.

Miał wciąż na oczach Jevkę: jej



postać krzepka, o twarzy ciemnej, przez którą ogień krwi przeswierał, z iskrami oczu, z rzedami białych zębów; o włosach czarnych, splecionych w długie warkocze, i piersiach, wyrażenie wydymających ka-
tanek we dwa wzgórki... Aż oczy mgliły mu się na myśl o tych wzgórkach - od-
stojonych.

Wyobrażenia rozpalona narodziła mu na zmysły obrzydliwy noclegu, jaki chyba bogowie pogańscy mieć mogą. Z Jerka przy kopie - na sianie!... Wszystko wobec tego wydało mu się undnem, nie war-
tem jednej uwagi. Całe życie jego dotąd nie miało - widział - sensu. Po to się tru-
dził lat tyle, po to się uczył łaciny i greki, by oto zrozumiał przesłanie, iż jedno jest dobro, jedna mądrość: ujrzeć się z Jerka na sianie.

Nadszedł wieczór. Józef i wieczorny jeść nie mógł - tło szczęściem czuł się napa-
siony. A wieczornali pospólnie w kolebie. Ża Jerka jeno oczami wodził, chwycił jej smiech karidorażny, jej spojrzenia - chciał się już upewnić w sercu, boiem, im bliżej czuł się obiecanych rajów, trwo-
ga go napastowała.



Niekt po wieczerny pozešli się pasterze
rozchodzić na spanie - każde do swoich kóp.

Józus ze drzemieniem zbliżył się ku Jence.

- Jakże będzie?

- Z cenn?

- Ze spaniem... Czy mam przyjść ku tobie?

- Jak chcesz - zaśmiała się. I, zaodzierawszy chu-
stkę, poszła na halę wyżnią, gdzie noco-
wywała.

Józus został w kolebie, ze starym szynkiem
z którym tu legował. Skoro po jakimś cza-
sie szyniek zabierał się do spania i kle-
knał do pacierza, Józus skierował kroki
w pole.

- Pojść wyjrzeć na miesiąc, czy wy-
szedł - rzekł w progu. Czuł tym razem po-
trzebę wytłómaczenia, dlatego wychodził.
Szyniek nie odrzekł nic, mówił pacierz.

Hala wyżnia narysowano skrawek równy
w końcu hali, wyżej położony. Stamtąd
widok był otwarty na wschód i ^{na} zachód.
Tam Józus skierował kroki. Idąc, dygotał
całym ciałem, choć wieczór był ciepły -
wzruszenie, nieznane dotąd, trzęsło nim,
jak młodziej grusza.

Skoro na halę wyszedł rozejrzał się
z uwagą, by nie zmylić. Księżyc wycho-



Dzający ledwo rozwidniał połanie. Na środku stało kilka kóp. Pooboku jednej dojrzał postanie i chustę ciemną. Zbliżył się z dygotem serca.

- To ty Jeremiu? - szepnął, stojąc nad postaniem.

- Ja. Coz fees?

- Przsedeck ku tobie.

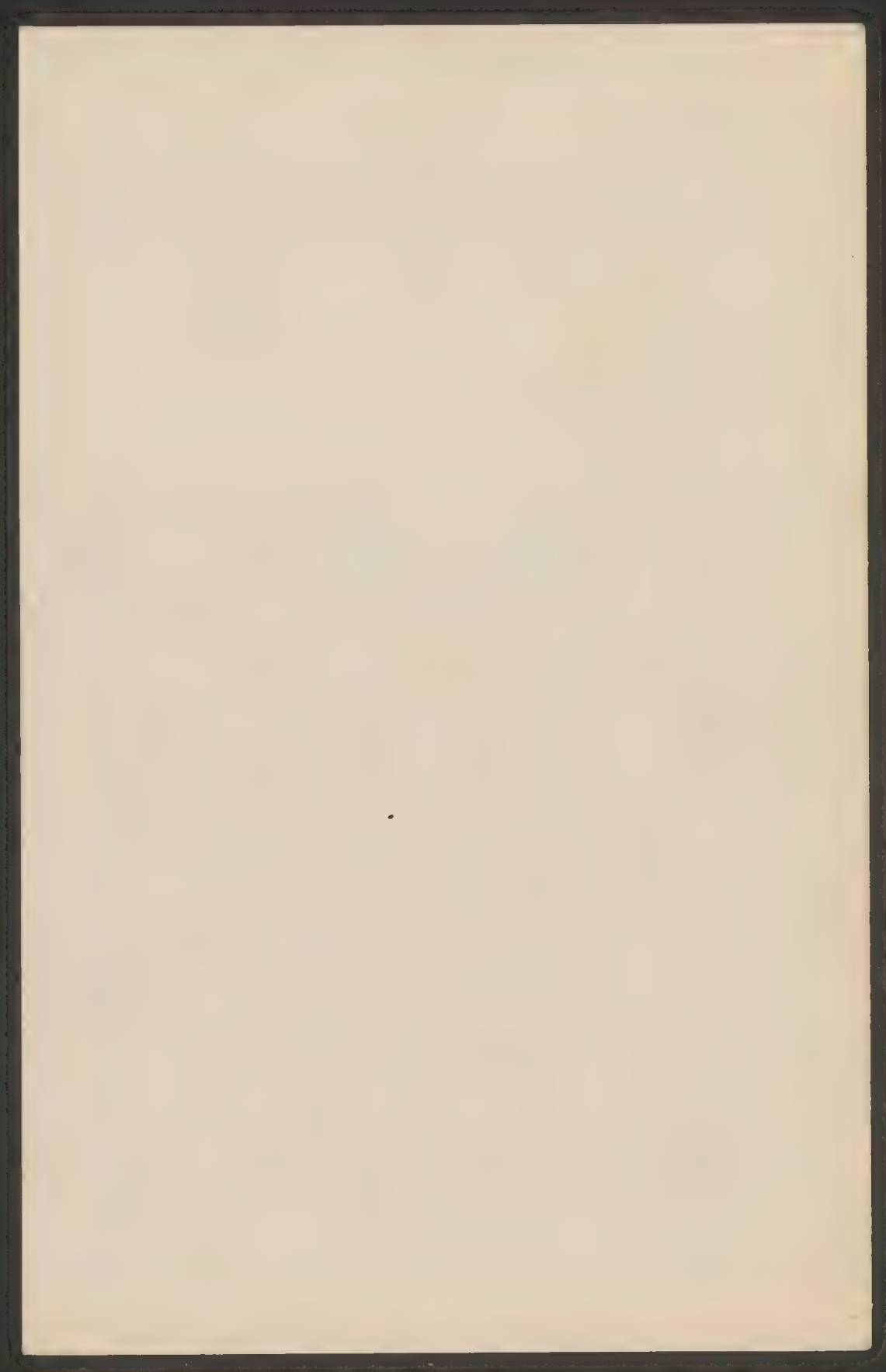
- To laz.

Józus czuł się, jakby go do nieba wpuścił. Rozpatrzył się po postaniu i legł skrajem, obok Jerki. Chwilę spooczywał cicho, zbierał w sercu odwagę, ostrajał się z rzeczywistością. A bokiem z ciekawością po- zierał na Jerkę. Leżała na wznak, chusta ~~stała~~ ka owinięta, twarzą ku niebu.

W pobrzasku miesiąca widział jej przyciemniałą twarz, oczy otwarte, wpatrzone w gwiazdy, błyszczące. Wydała mu się jakas insza, porażona, prawie ^zburzona. Owe śmiecenie poczęło ogarniać Józusia, gdy patrzył w nią. tak w niebo wmyślona.

- Szworda spadła... - szepnęła.

Józus spojrział na niebo za jej ktem. i znów ku niej powrócił oczyma. Niezważnie przysunął się. Dygotał jak w febrze.



- Czy ci zimno? - spytała.

- Nie...

- Jak się trzęsies. Może ci dać trok chustki?

Odrzuciła chustkę. Józus podjął trok i skraplał się przysunął.

- Ciepłej ci?

- Ciepłej.

- To śpij. Abo patrz na gwiazdy. Widać, co ich hań... Jak iskry rozsiane. Większe, i mniejsze, i mało co widne... O-jak się mienia... Z czego one ty będą? nie wiesz? co? Jak was tam w szkole uczyli?

- To są światy, takie, jak nasza ziemia...

- Głupi... Światy... mniejsze od śpiłki.

- Bo daleko, to się widzą małe.

- Dzieriom gadaj se takie bredury, nie umie.

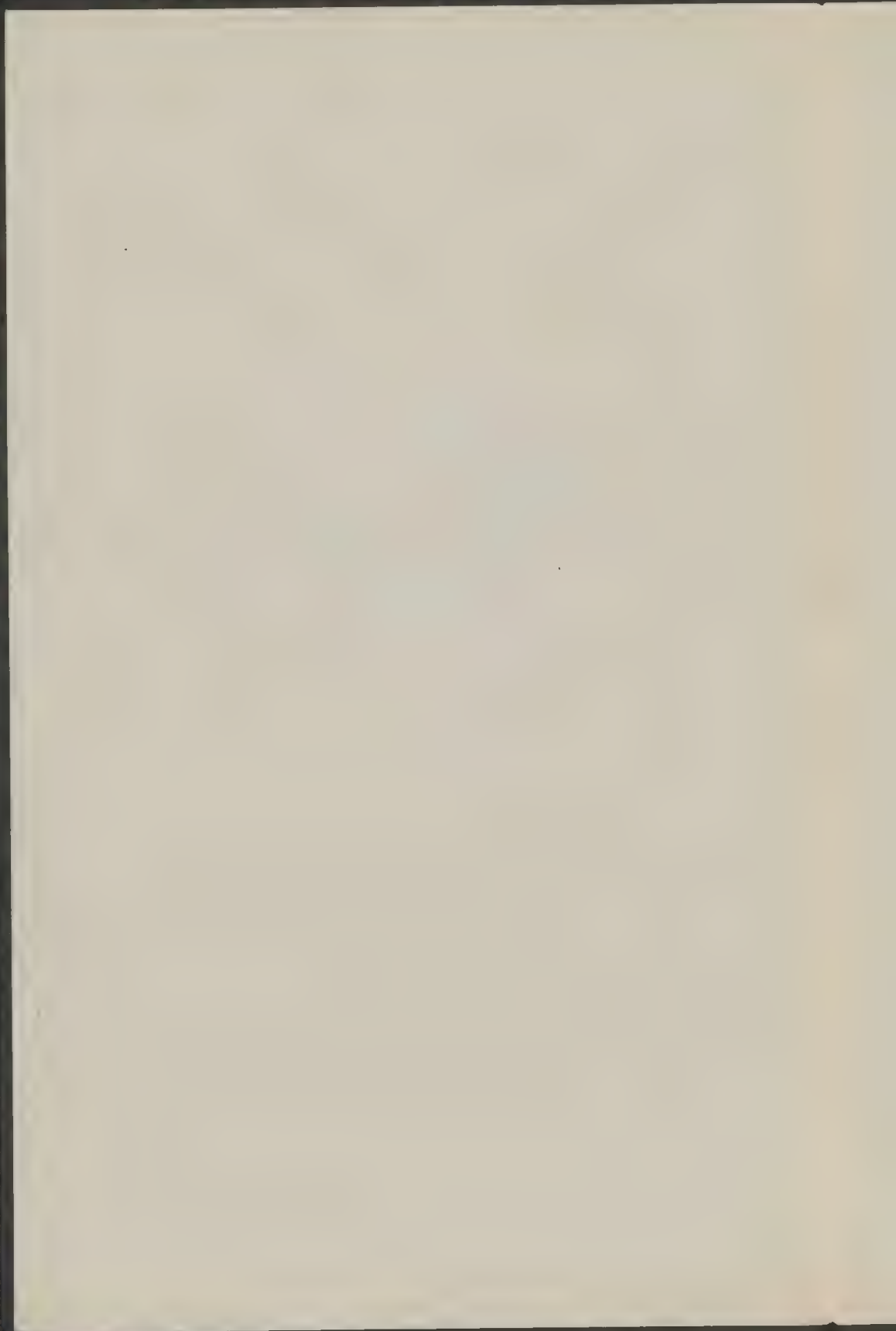
Jednak ciekawe słowa Józusia nie dały jej spokoju; myślała o nich, zapalała w gwiazdy... Józus zaś nie miał ochoty wykładać jej astronomii. Chciał, by teraz o jego szkołach zapomniata, by brała go jak pasterra.

- To nie, że tak daleko... - rzekła po chwili.

- Co ci ta o to... Śpijmy lepiej.

Przysunął się ku niej poufale.

- To śpij. Czy ja ci bronie? - odsunęła się -



Mas doś miejsca.

- Nie ja chcę z toba...

- Dyi ze mna spisi.

- Ale...

- Co za ale? Jak ci nie dobrze, to idź.

Patrzyła dalej ku niebu, a Józus, onieśmielony, poierał na nią i czekał. Oczy jej pomatu zaczęły się zwęzać - sen ją nachodził.

- Jevka...

- Co?

- Jevciu...

- Dyi słysze.

- Jevusiu...

- Coż ta jeste? Spisij, bo już czas.

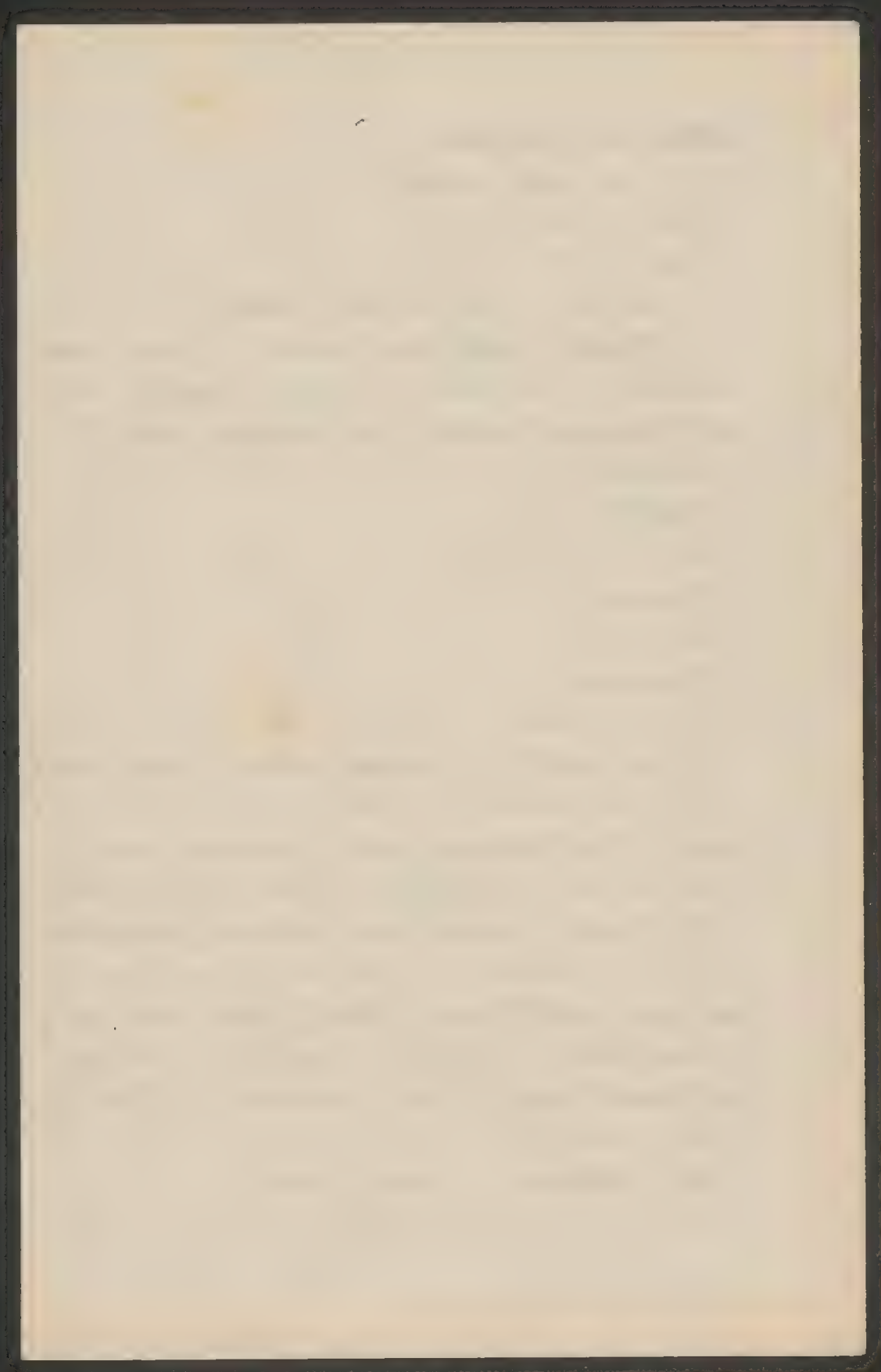
Józus nabrał w serce odwagi, wyciągnął rękę pod chustę i spart dłoń na jej pierśsiach. Nie broniła mu, spytała ino:

- Musis tu rękę kłasi? Nie uśniesz inacy?

A Józus, czując pod palcami wzgórki ciepłe, wznoszące się oddechem, rady sobie już nie mógł dać. Począł dłoń rozpaloną w zamroku porządania przesunąć po jej młodem ciele. Ujęta mocno tę dłoń jego i odepchnęła.

- Serz spokojnie - rzekła ostro.

Ale Józus już na nic nie dbał. Słota.



mieniał cały pragnieniem. Śmiałości strasznej nabrał: Przecie go sama wola „ta... Cisnął się rozpalonem ciałem ku niej. objął ją mowu rękami i pocałował szepcąc słowa urywane: prosby, tklivosti, zaklęcia...

Krótko to trwało. Ani pół paciera. Porwała się, odwinęła się z rąk jego niby z trawy leśnej i odrzuciła go na siano, jak smetla słabego.

— Coż tobie się bary, moi ludzie? To cie tego tam ucylili?! A spytałeś się mnie choć, czy cie Kocham?

Poczem ztagodziła nieco:

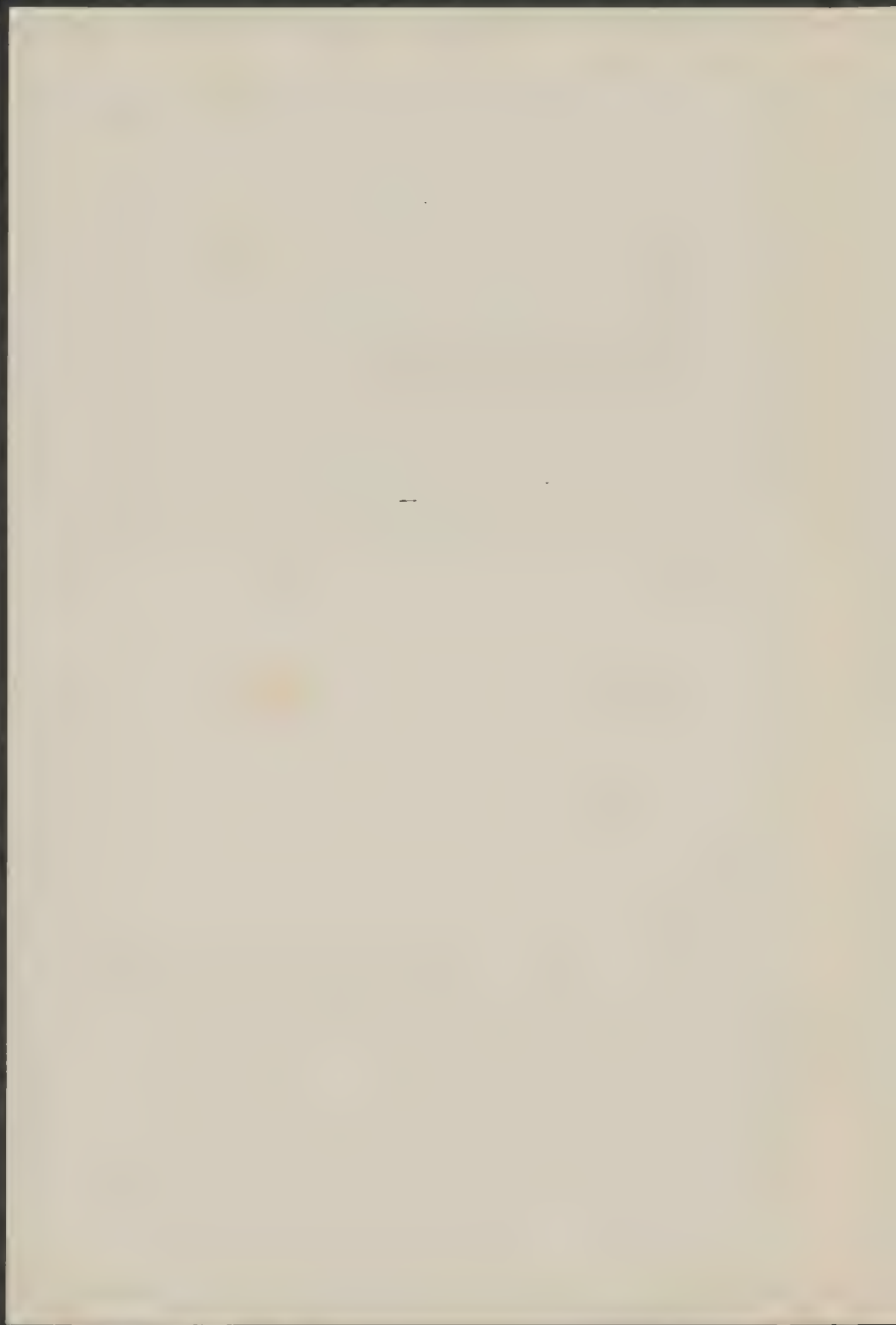
— Jakbych cie kochała, to co inzego. Ale co ty wiesz o tem.

Józus' ledwo się osatał ze zdziwienia przynkrego i z upokorzenia.

— To po co-żeś mnie wolała na siano? — rzekł w gniewie.

— Na sianie kardy spać może. Miejsca dosi. I nikt nie bronii... Ale widać już, żeś miasto przeszed... No łaz-ze, łaz-do, dała pobłażliwie — nie smuć się...

Ale Józus' ani myślał ostać. Porwał się w złości z postania, poszedł po pola, nie aż na drugi koniec hali, tam dłużej



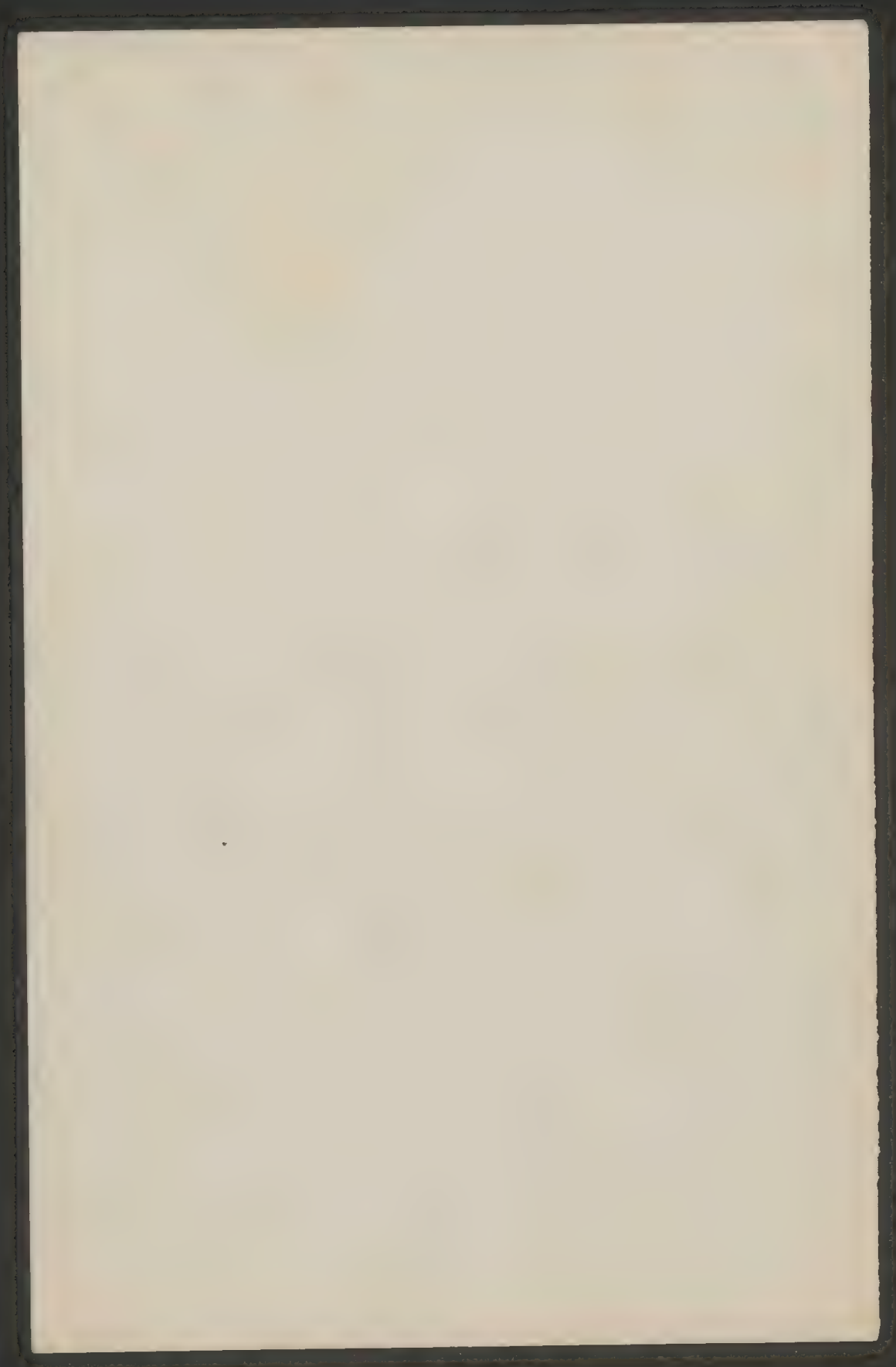
siedział na pniaku i różne myśli przeżywał.

Skoro, Józus, późnym już czasem wcho-
dząc do koleby, skrzypnął drzwiami,
Szymek stary podniósł kosmatą głowę
z postania, i, rozespany, spytał:

- Jakże ta ten miesiąc... wyszedł?



Schronisko.



Zbliżeniem swem spłoszyli dwoje małych ptaszek; wyfurgnęły z gąłtzi i uśiadły wyżej.

— One się też schroniły do cienia — pasterka z uśmiechem pasterka.

— A jakże... — przysiadłszy, łowią oczami jej uśmiech.

Zarumieniona, odchyliła głowę. Milczeli oboje chwilę.

— Żeby ja tak mógł... — począł pasterka i urwał.

— Co, żebyś tak mógł?...

— Żeby ja mógł mieć taką noc, jak to drzewiej miewali niektórzy... że co byś się pomyślał, to by się mi stało...

— To co byś się pomyślał?

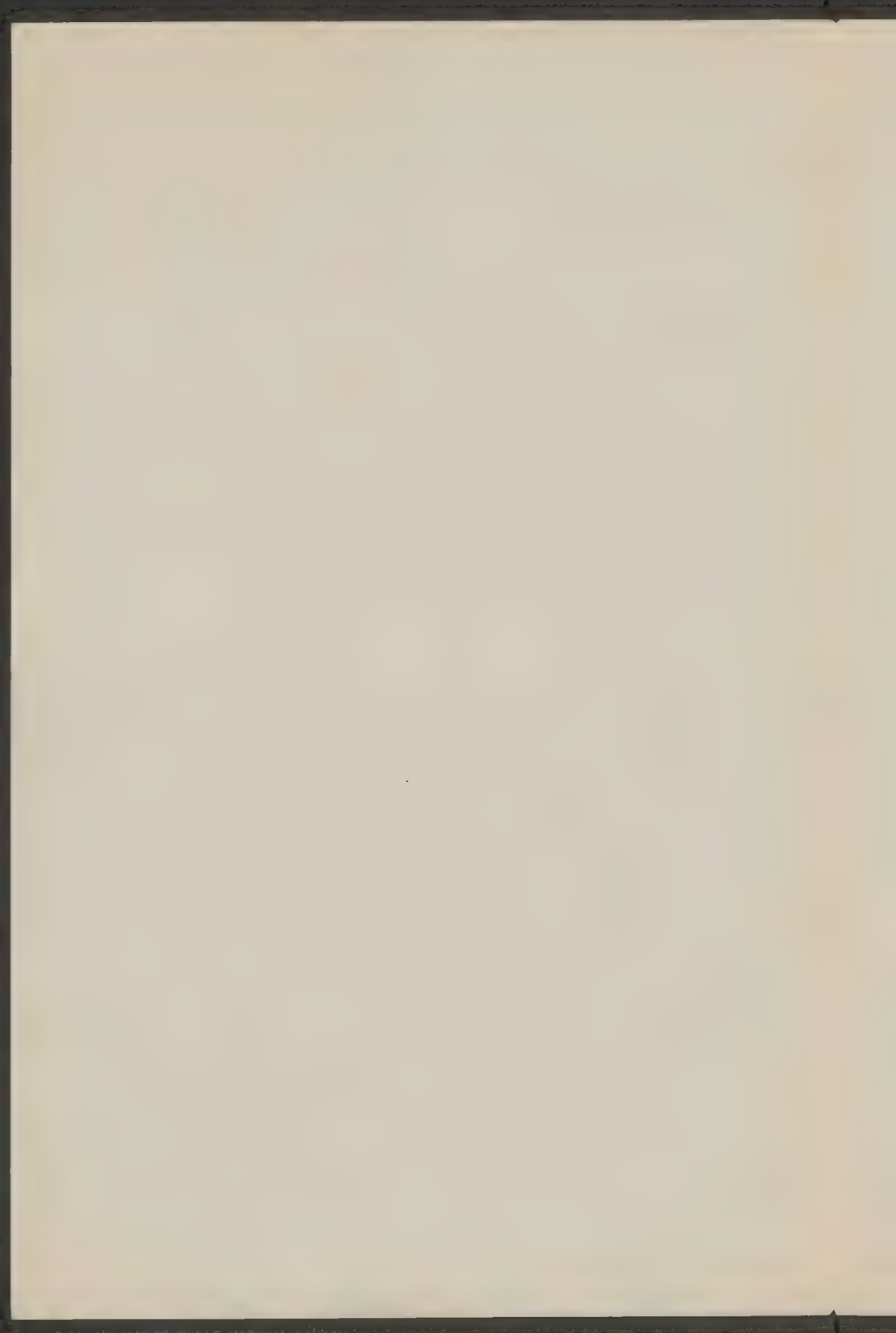
— To, co i teraz...

— A co się myślisz teraz?

— Zgadnij...

— Nie chce zgadować.

Znow odchyliła twarz zarumieniona. Skrzęk słońca z pomiędzy liści spadł na jej włosy, i ożłocił je. Pasterka patrzył w zadumieniu, jako na świętą obrazka. Trwali w takim bezruchu czas jakiś.



— Oj świecie, świecie! — westchnął wreszcie głęboko, z dna serca.

Zwróciła oczy zdziwione ku niemu i, gdy wyczytała z oczów jego przychylną onej ciężkości, uśmiech figlarny na twarz jej wykwitnął.

— Coż ci ten świat tak cięży? Nie odpowiedział, jeno się wpatrzył w nią osmetnie z miłosnym ponuro, leniem.

Światła wbiegały na jej twarz i rękły, na próżno siliła się na zwykłą spokojność. „Coż znów? — zaczęła się, sta sama na się za ten niepokój oczyszysty. Ale serce się tłukło uparcie; blaśła na myśl, że on je tak samo słyszy.

— Coż tak patrzysz? ...

Siliła się powiedzieć spokojnie. Lecz głos jej własny zdał jej się tak obcym, jakby go nigdy nie słyszała. On wpa-
trywał się dalej. „Nie nie pomoże, trzeba coś wymyślić.“ Podsunęła jej swoją sobność:

— Jakie te ptaszki śmieszne... — poka-
zała na kraj.



37

Dwoje onych małych ptaszek, które poprzednio wyfurgwały z kraju, wróciły znowu na dawne swe miejsce i weszły się po gałązkach, szepleniąc przytem coś do siebie.

— Nie wiem — spytała — jak się nazywa, ja?

— Nie wiem... Czy się to muszą nazywać? Ochrcij je sama...

— Jedno ma czubkę czarniawą na głowie. To będzie on... A ona zaś ma korale pod szyją. To on będzie czubaty, a ona koralinka. Coż, podobają ci się?

— Podobają... — odrzekł z uśmiechem, myślicy o innej ptaszce.

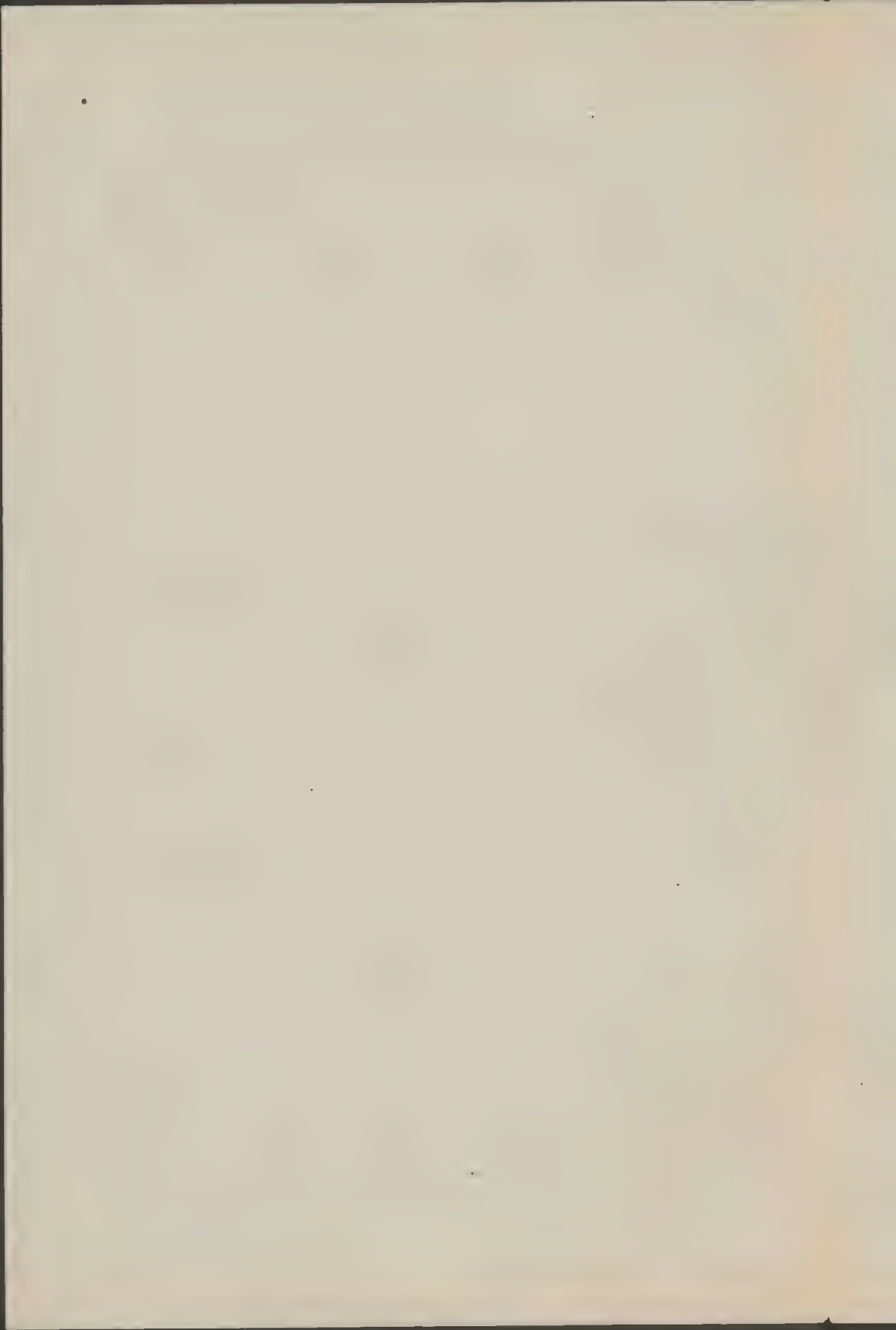
— Słuch! Słuch! Wywiórka!..

— Co też ty jeszcze nie wynajdziesz...

Doprzez liście widać było owo cisane stworzenie, patrzące z ciekawością ku nim, w ruchu postrojnym, trzema łapkami wsparte na gałęzi, czwartą sięgającą wyżej, na pnioł buka, gotowe każdej chwili do wysignięcia...

— Nie się nie boi...

Słuch sięgnął opodal po szyszkę.



- Nie ciskaj. Co ci wadzi?
- Posłusznie ~~wpuszc~~ wypuścił szyszkę.
- Widzisz, spłoszyłeś ją. Takie to ładne.
- Może ci ją dostać?
- Do co... I tak byś jej nie dostał...
- Ł? Żalóżymy się!
- Nie chce.
- Jaby jej nie dostał! - mówił urażony - chyba by skrzydła musiały mieć...
Albo w jakim gęstym lesie...
- Cicho-no! Widzi mi się, że zagrzmie.
To...

Łmilki. Pasterz spojrział do góry.

- Z jasnej nieba? Bajanie!
— Zdarło mi się...

Jednak, mimo tych objaśnień, jakiś cień przesunął im się po sercach, zg. cieniem dyszących, jakby poprzed słońcem przeleciał czarny ptak nieznan; i chwile trwali w milczeniu, nim się ich dusze rozfogodziły na nowo.

Łatwo to przyszło, bo zewsząd wiały
ku nim: radość, wesele, swoboda.
Gdzie pojrzeć - wszystko kwitnęło, dy-
szało życiem pełnem, beztroskiewem, i
radowało się słońcu. Stawki one dwa



nie odstępowały kraja, trzepotały się po liściach i gwarzyły bezustanku jakąś przymilającą się gwara. Wiewiórka znowu, przysimielona bezobawą ptasząt, wrociła na bliższe drzewa i szmerzyła się, śmigając z gałęzi na gałęzi dla wyprawy. Nawet te liście bukowe, przesnieżane słońcem, miały jakąś radość w sobie, która się udzielała ocoom, pszącym na nie z północy.

— Jak też to tu wesoło! — rzekło drzewo.

— Hej... — przysiadczyle pastere.

— Nic się tu nie dzie.

— Samemu by się cniło... jak i mnie nieraz, kiedyś sam pasł...

— Ni mogłeś ku mnie przyjechać?

— Czy ja wiedział, żebyś mi była rada?

— Ej ty... nie wiedział...

— Ja i drzewo poprawdę nie wiem...

Śmiała się głośno, żeby zagłuszyć słowa niepotrzebne.

— Słusznie nie wiem... — przymawiał.

— Patrz-no, patrz-no, jaka ta wiewiórka śmiała! Na ostatni kraj

gałęzi przysła...

I tak patrzenie na cuda i patrzenie na się przeplatały gwarą zreczną, jak przewijania wieńców. Czasem troska o woły ich nadlatywała.

— Na one też tam... Trzeba wyjrzeć...

Ale jedno drugie wstrzymywało, i tak im o wiele leciało.

Słońce coraz mocniej piekło; nawet przez liście buczyny żar się do cienia przesączał... Gorąco przypołudnia rokle, niviało siedzących — polegli plecyma na trawie, i rozwartemi oczami patrzyli ku niebu.

— Co też to tam jest... to niebieskie?

Dzieńce nie lubiało patrzeć nie mó, więc.

— Nie wiesz to? sklepienie...

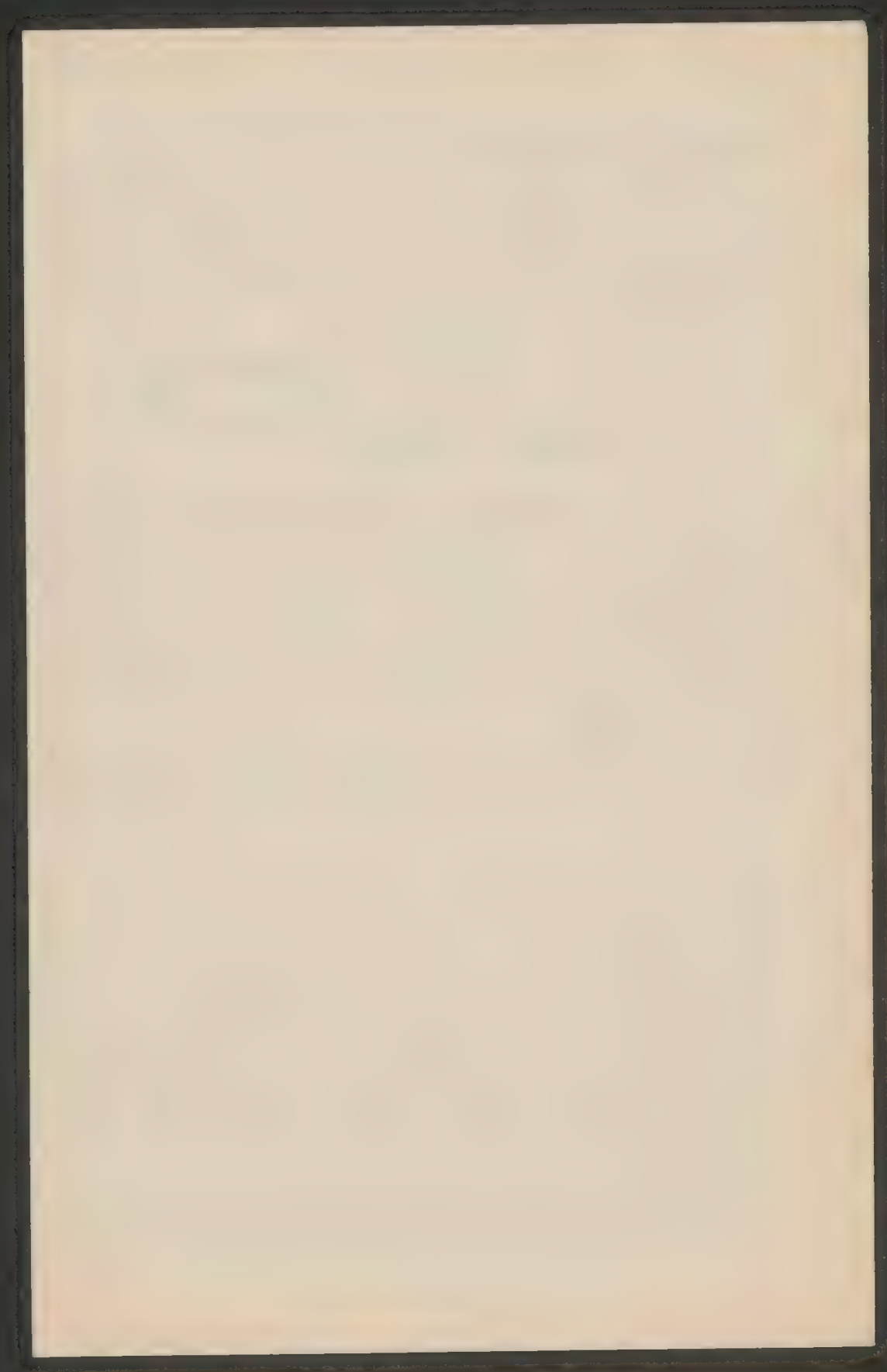
— Ja wiem... ale z czego?

— Tego nikt nie może zgadnąć.

Patrzyła jeszcze chwile z pobożnem zastanowieniem, wreszcie, westchnąwszy z bezradzie swej myśli, zwróciła oczy od światła.

— Così się chmurzy od zachodu.

Podniosła głowę i pojrzała.



— Daleko...

— Ale że też to chmury wszę z boków przychodzą... Mogłyby z nieba spadać — no nie? Mogłyby też i bez chmur lać... sko... ro Pan Jezus deszcz daje... Ale tu pewno płuczniki mają swoją moc...

— Chmury od morza przychodzą. Tak mówił stryk. Naprzód leca nad morze — nassia sie wody, nassia, i potem wracają z deszczem...

— Ale skąd się tu biera naprzód?

— Czy ja wiem!.. chyba że mgły...

O to-m się stryka nie pytał. A może i on sam nie wie!..

Żadumali się przy tem oboje, zga... dując się różnie w myślach, choć bez żadnego uwierzenia, iżby mogli, „wła... szcza w takiej materji jak mgła, dojść do ostatecznej prawdy. Jak stryk nie wie...

I wnet myśli uniesione rozemgły się w odczucia niejasne, w pragnienia dusz nieźralych a wszę jedno sklepienie nieba widujących.

— Jaki też to ten świat... tego krajów... Czyby też z najwyszych Tater jakiś kraj

uwidział? Musi być widai daleko...
 A na kraj świata - czy też tam kto
 doszedł? Ratunku!..

Cofnęła się myślą w strachu, jak
 przed widokiem otchłani. Do chwili za-
 myślenia:

— Chciałabym kie uwidzieć morze... ale
 nie zblizka...

— Jaby xas chciał uwidzieć, jakie to
 te cieplice, kany ptaki na zimę od-
 latują...

— Mowia, że jest taki kraj, co figi
 na drzewach rosną...

— A jest... Jest też i taki, co słonko
 nigdy nie zachodzi...

— Czy oni też tamci o nas wiedzą?

— Ale! Co im ta naszi kraj, jak
 oni mają takie cuda...

— Sennie... co im ta o nas... — przy-
 dała ze smutkiem.

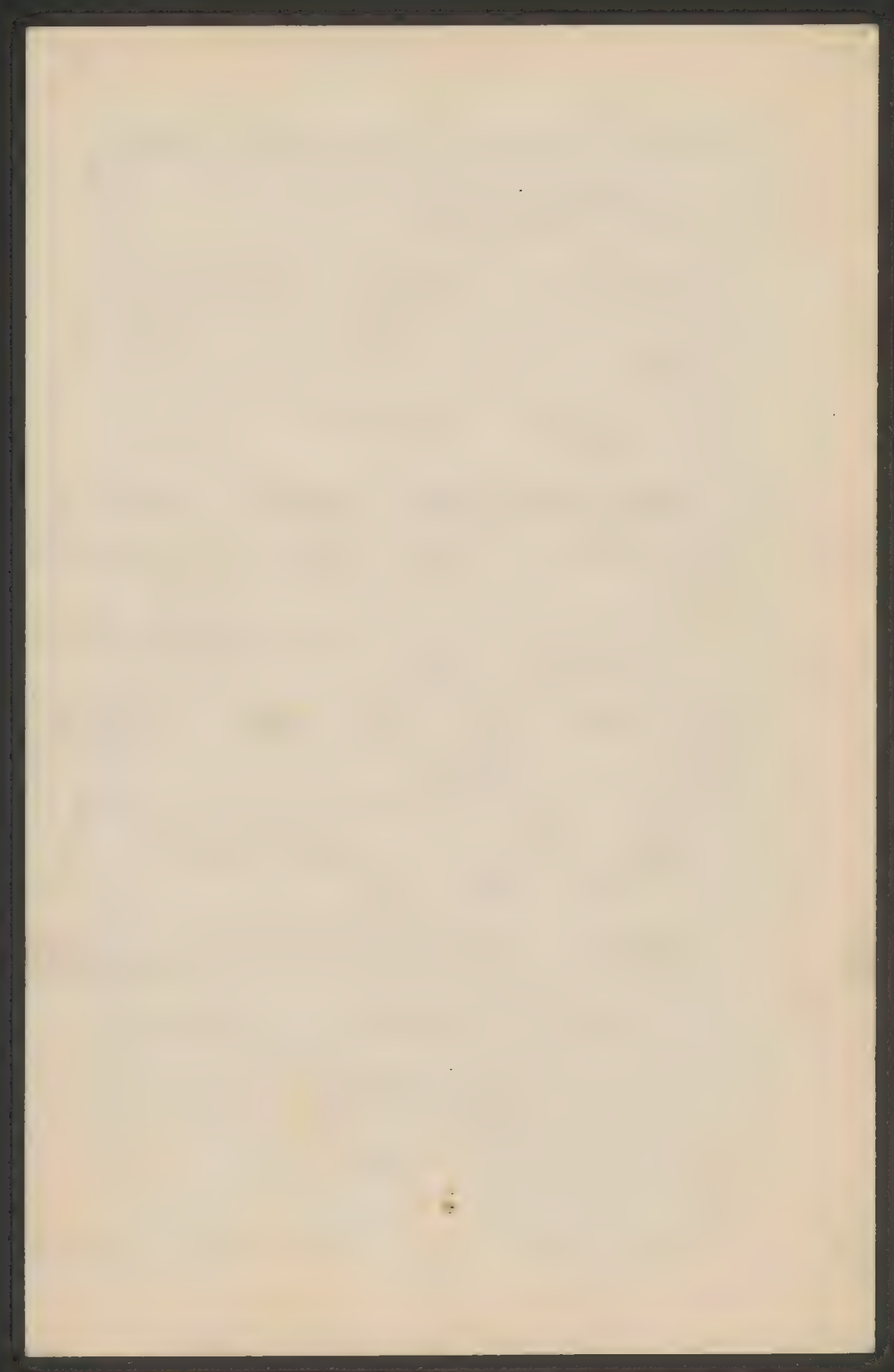
Somilkli i kołysali się marzeniem
 o tych dalekich krajach-cudach.

— Ej, żeby też to kiedy... tam pojechać

— wypowiedziała niesmiało.

— Ja cię wezmę.

Doręczyła się w trawie tej gotowości,



45
110
wyzierającej z ocz jego. Zabolalo go to-
moeno.

— Coż sie smiejesz? — rzekl z wyrzu.
Tem — Czy ja to zawdy bede past?
jeszcze z rok, ze dwa, a potem...

— Co potem?

— Bedziesz widziec! I za morze ludzie
jada, a... jada i... tracaja...

Chciala mu jakos to bezwolne zra-
nienie nagrodzic, wiec spytala z przy-
mileniem:

— Naprawde bys mie wziat?

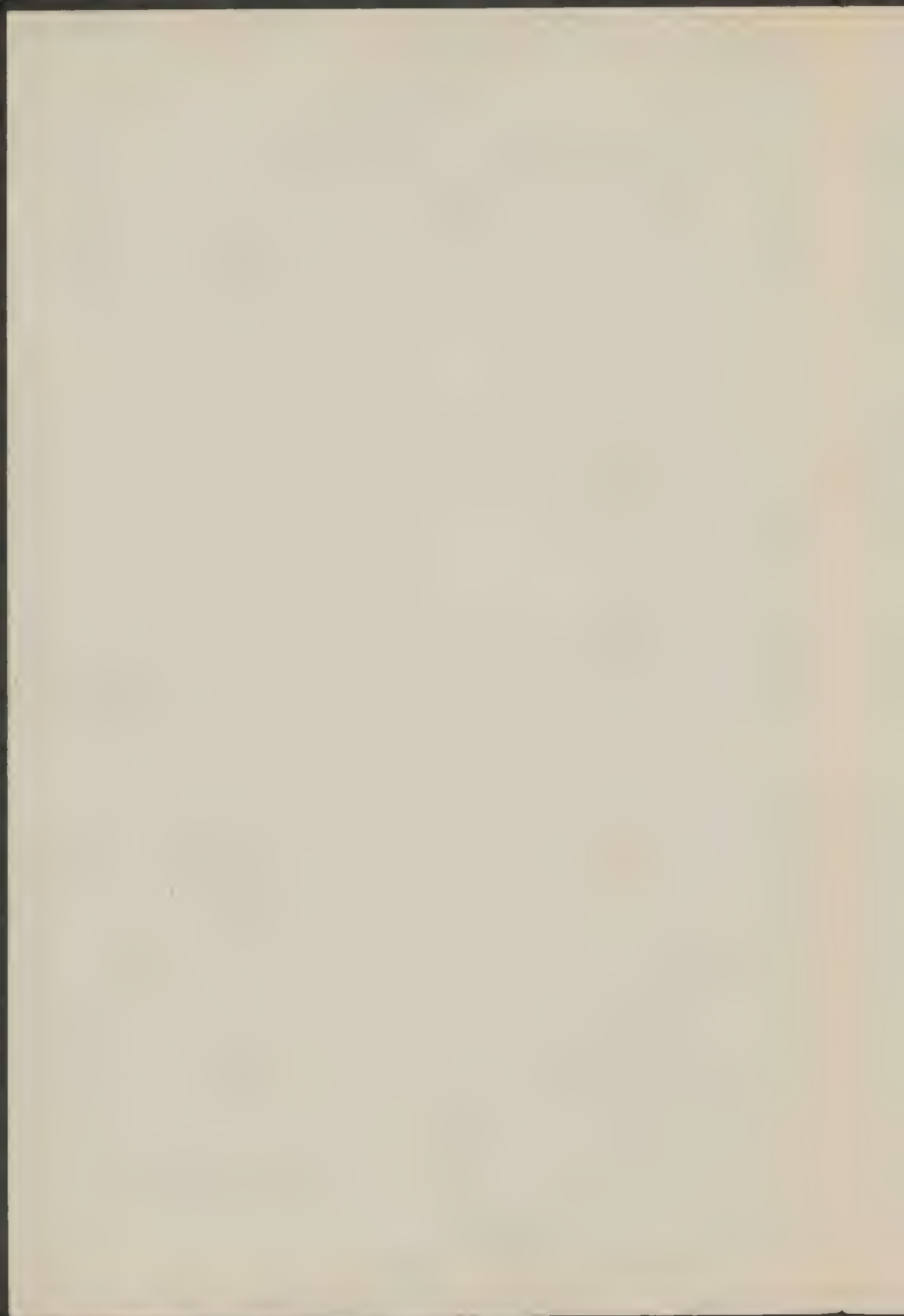
— Jakze? Przecie nie na spas...

Podziekowała mu pięknie oczyma
za te ochotnosci gotowa, i pogoda sta-
nela znnowu między nimi. Nie my-
śleli juz o dalekich krajach i nie
zakłóscili im niewidzialnych cudów.

— Niech se ta maja, co chcą, kiedy
nam tu dobrze.

— Hlej...

Zgodzili się oboje na jedno. Pa-
trzeeli na się leżący i chwile choi
pokryzemu wypijali se z oczko szere-
slinowosc. Do trzaskach ich, zaognionych
goracem i upojeniem, chodzily złości.



ste kółka, z pomiędzy liści buków
padające, i staczały im się co chwila
na oczy; więc uchyłali je od światła
i uśmiechali się jak dzieci, tej
słonecznej procie.

- Smer się jakiś uczynił u kraja.

- Coż to? - szepnęło Dzienek.

Podniósł się pasterz i popatrzał.

- To ta wyziółka tak smerzy... Dusząca
szyszki smrekowe, co se narzosiła...

Niemna bukwi tego lata - rzekł, przy-
chyłony ku niej, a myśli sobie: „Co-
też to w tych oczkach siedzi...”

- Nie patrz tak, bo mnie urzeknie
zasimiała się.

- Tys mnie już dawno urzekła...

- Nie pleć. Jaka też to ^{ta} trawa... -
rzekła, aby coś powiedzieć.

- Kany?

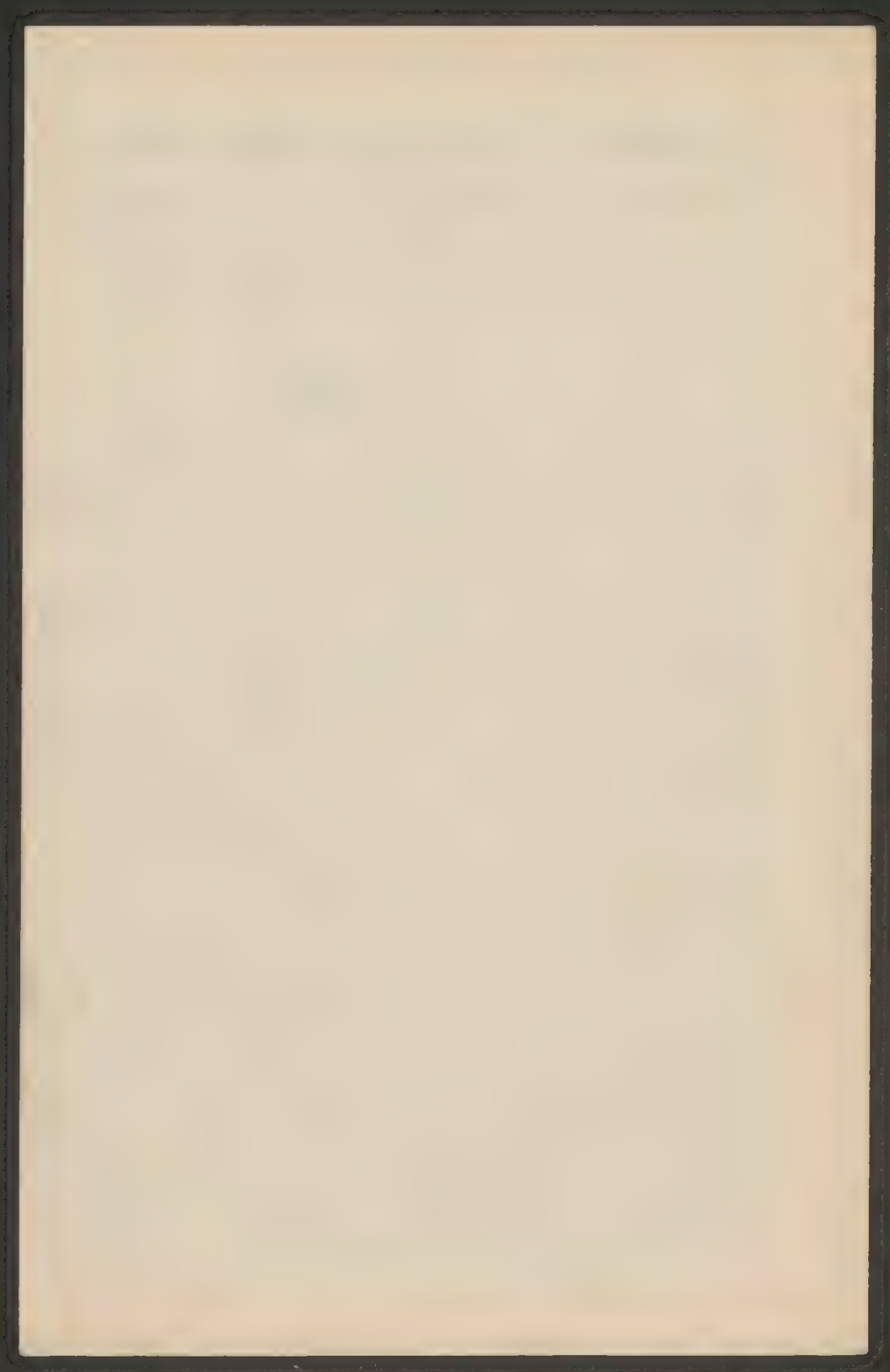
- I tu! i tam! i wszędy!...

Zerwała się spokojnie i z dzikim
śmiała się w twarz, mówiąc oczami:

„Docałowałabym cię za to, żeby...”

W te razy zagrzmiąło w dali. Oboje
zcichli, nasłuchując.

- Kanysi bardzo daleko...



— Bedzie deszcz * tego goraca.
 — Iza do wołów... — poradził pasterz
 * powaga.

— No... Kto kogo przegoni?

Dusili się pędem ku wierchowi — po „
 przeł” pasterka, za nią pasterz. Dope „
 dxil ją przy wierchu i objął ramionami „
 mi.

— A widzisz... mam cię... teraz-ś już
 moja!

— Dusić... — zatchnęła się powietrzem.
 Uwolnił ją posłusznie — i poszli obok
 siebie, dysząc głośno. Starawszy na
 wierchu polany, rozjeżdżali się. Na za „
 chodzie noc się czerniła. I znów prze „
 sło ich serca użucie, jakby ptak ston „
 ce przestonił. Ale to-żeno na moment.
 Słońce grzało- jak poprzed- większa
 połam nieba była jasna- ziemia po „
 goda jaśniała...

Usmücknели się sobie i poszli za
 wołmi.

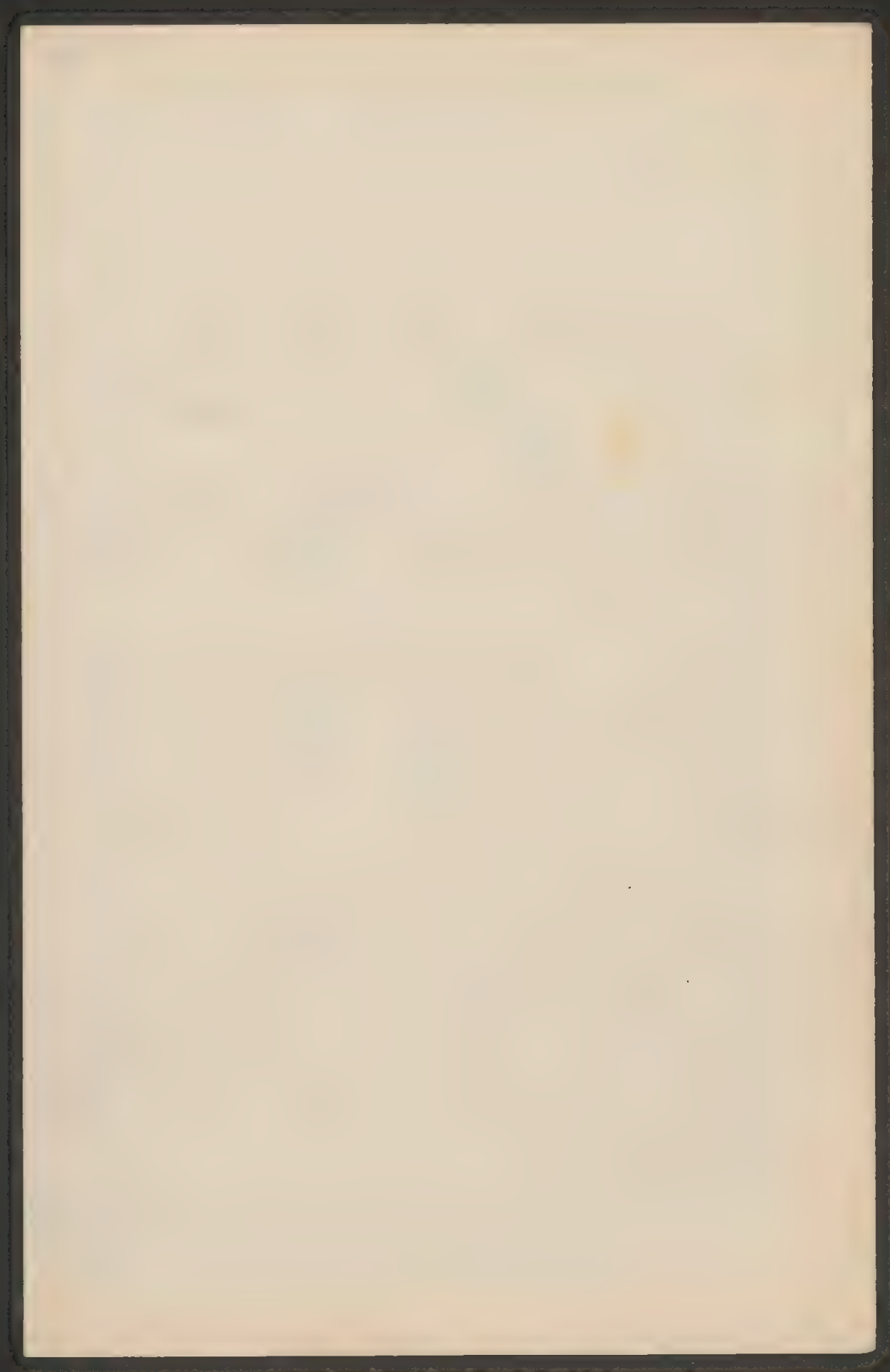
II.

Zapowiadana tłumionym przez odłal
łoskotem i wyprzedzającym zgestnialą,
murem skunacą noc wieściami-chmu-
rykami, które jako anioły grozy psę-
dziły zaognione z włosami rozrwanymi
i rozczapierzonemi dłońmi, zbliżała
się burza...

Słońce od wieczera zatopilo się
z całym swym jasnym przybiorem
i oświetla od niego bijąca w gęstej,
jak ołowiany staw, chmurze — na wie-
mie spływał cien i przestrzenił się
możnie coraz dalej.

Od tej dalekiej nocy-burzy, kotła-
jącej się, wracej i wudającej, jako-
potworny, kołtuniasty zwierz, pomru-
ki głoźne i głuche poryki, szły ku
wierchom zmroczniałym i ochylającym
je z niedźniałym lasom postance wznie,
zapowiedzi...

A wiec nakrótady chuchnał dech go-
racy, od którego duszność ciężka.



osiadła w naturze całej i zleniwiała
ją, jako zaraza wdychana.

Dotem nadleciał zimny podmuch,
jakoby skrzydła miał z igiełek mro-
źnych, klujących a bezszelestnych;

drzewa przebiegł drzewa, liście, trawy
i wszelka żyjąca stwora — zatrzesły się.

Ła nim niedługo przypadł wiatr
mocny, począł próbować wytrzymać,
ści i oparcia lasu, przyskakiwał ku
przodowi, siepał się, ciskał od ^{do drzewa} drzew
i — jak gdyby nagłony mocniejszym
nakazem, albo wiele miał jeszcze
prób w czasie zbyt krótkim przed
sobą — podnił co temu...

Gdy ten przypadek, nastąpiła cisza
zmiętwiała, ciężka do przetrzymania
niez poprzecznie wystające, nakazna,
niepokojąca.

Las w tem niepokoju zciszył, zda-
wało się, oddech i trwał w nakaznem
milczeniu. Ale przecie niesłychalnie
dyszał i gotował się po cichu na
zapowiedziane...

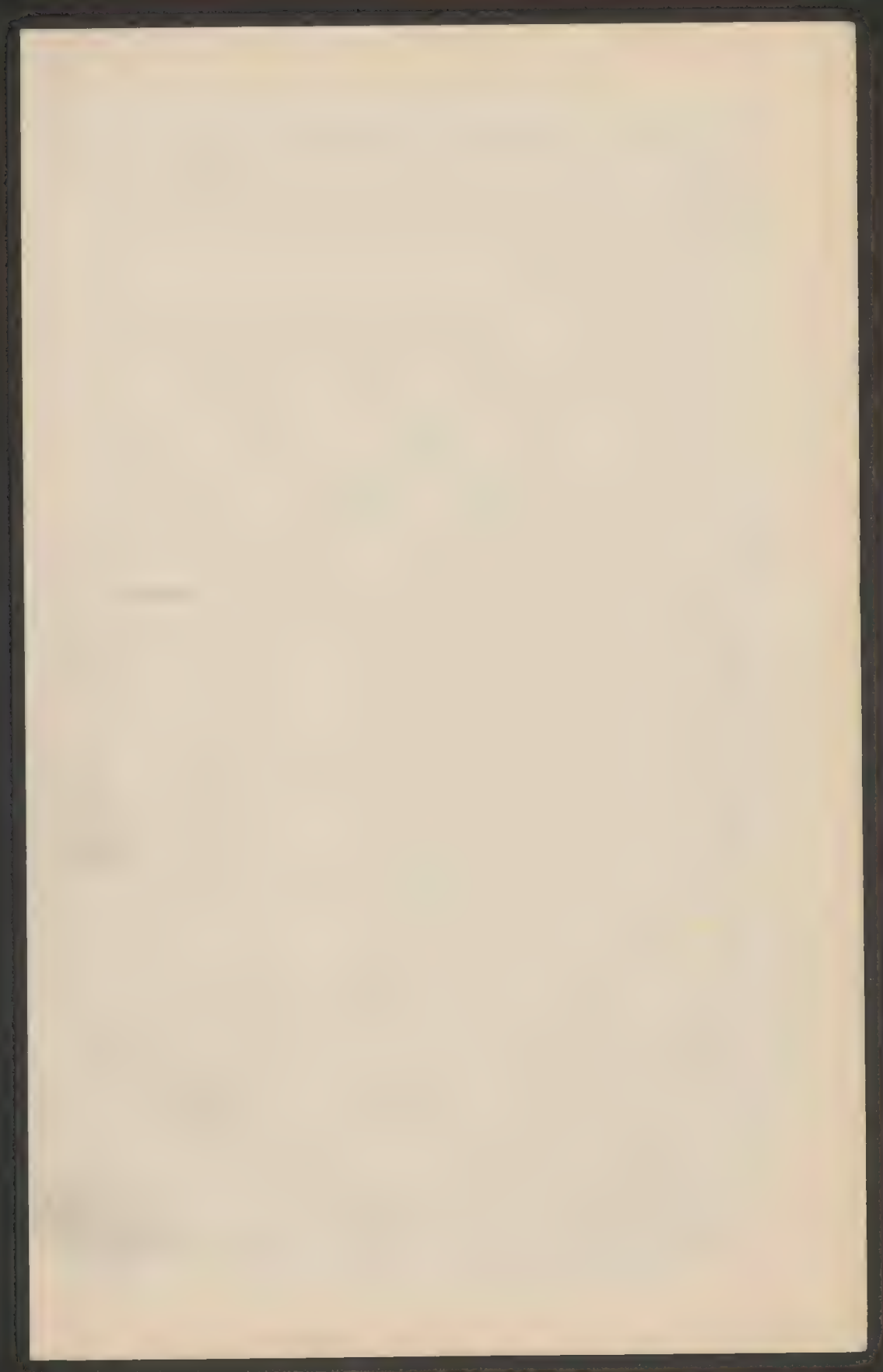
Staki przemycwały z miejsc, upatrzo-
nych poprzód, na bezpieczniejsze, nie

42

czyniąc przytem zrykłego szelestu: To samo zwierzę chodzące: stapało tak, szumując zachronien, jakby tuż blisko-
wrog czyhał.

Dziewa zaś xbroiły się w milczeniu w zaciętość... Złaskota rozparte, mu-
skularne buki potrzasały bezszelestnie
liśćmi i hardziaty w sobie. Smreki o-
bawniej się czuły, bowiem niewiele ich
było i poroxtzacane; one jeno wtedy
mocne, kiedy są w kupie scisnionej,
gałaz o gałaz sparte; to też wierzcho-
kami patrzyły na się z poza buków,
jakby się zachowały w sile. A już młó,
dzień smreczana, jedliczna jako i bu-
czyra giętka, całkiem berradna stała;
ta jeno spokojniejsza w szych wiotkich
gibasnych pienkach, co się za ojce swo-
je zachyliła.

+ Tu i ówdzie stojące hardo stare je-
dle: szumem wysokich, nad las wynio-
słych, korona wieńconych głów,
uciskały braci młodsza i spokoiliły ją
na owo przyjsie xłowrogie... Nie
takie one pamiętają burze - z czasów
drzewnych, gdy stały borami. Nie



z takimi parły się mocami!... A trwa-
ły i przetrwały, Nie wiele ich co praw-
da zostało, ale zostałyby się bez mała
wszystkie, żeby nie ta owada zjadliwa,
która je żelazem ostrem popodgryza.
Ta u sniatu.

Najstarsza z onych jedli stała, wro-
śnięta w krzemienne podskale, u sa-
mego wierzchu od południa, pobok po-
lany, na której woły pasano.

Zdaleka czerniła się jej korona
czapista, niby gniazdo orle gźdies'
w obłokach. Łas' niższe jej konary,
zaschłe i powykrecane, niektóre jakby
w łoku xylastym xgięte, upięstrzone,
groziły - xda się - zbliżającemu się ciele-
ku, niby potworne ramiona. Tu do-
łowi kadłub się odsłaniał: nieoby-
czajnie kruchy, spotworzniały od bulw,
narosli zaskórnych, ochropiały na-
okoń popadana kora, x sekami po-
ukruszonymi x młodu upięsionymi, do
tego tu i ówdzie przez dzieciół skłu-
ty, xdziurawiony.

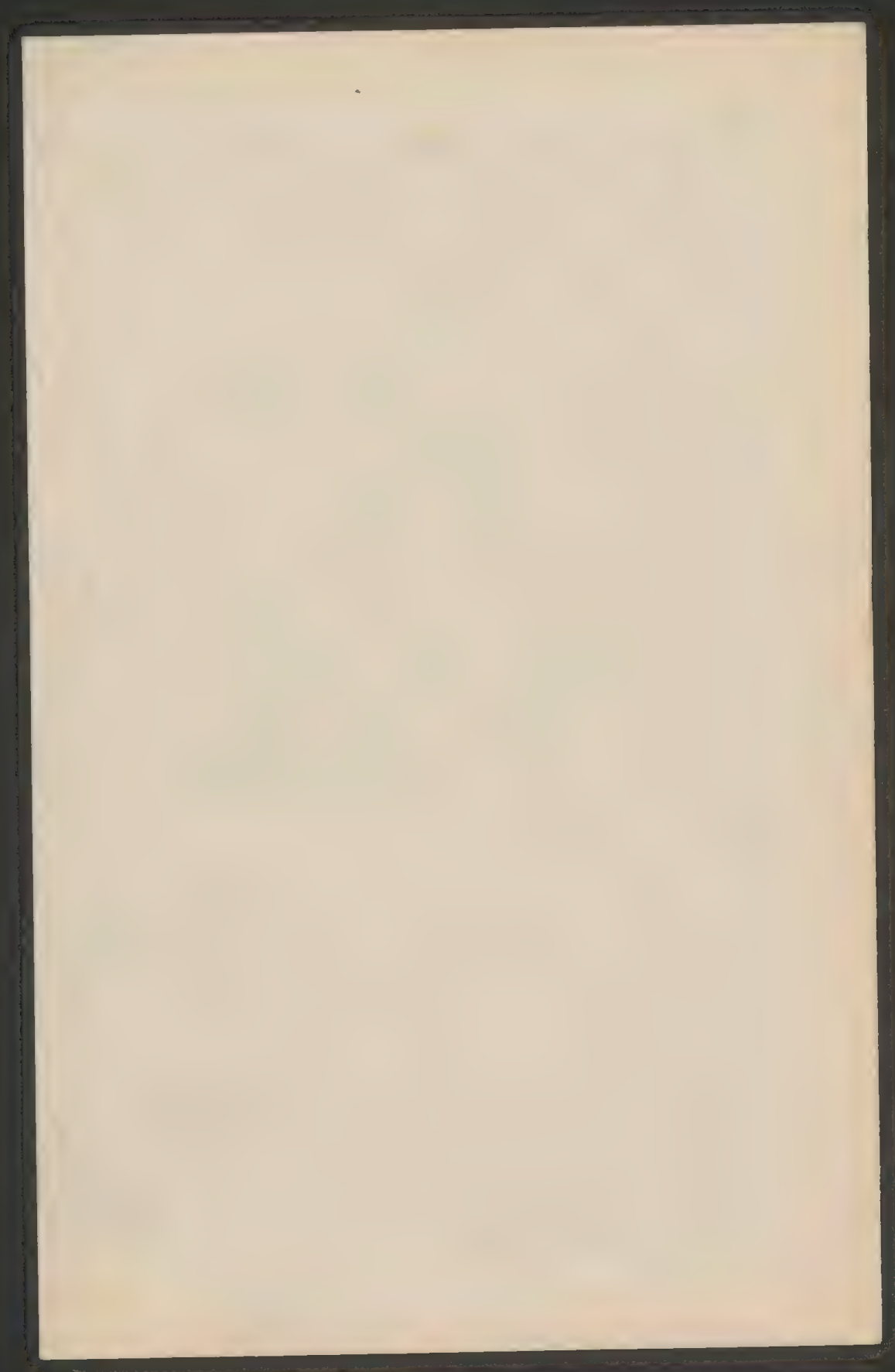
Dołż kadłuba, w odziomku, otwór
się czernił na wysokości drzewi. Mia-

50
Ta ta harna jedla wnetrze wypróch,
niate; odziomek - szczery żłób, a i ka,
dlut we wnetru, o ile sie z dołu wi,
działo, był próżny.

Śasterze, różnymi czasy tu pasa-
cy, korzystali z tego i palili w niej;
i wydrążyli ją jeszcze bardziej, tak,
iż śmiało mogło się w jej wnetru
dzwiesięciu ludzi stojący pomieścić;
mimo to jeszcze zdrowie miała mocne.

Podczas burz, zawiei ciemnych lub
inszej jakiej nieprci była ta jedla
schroniskiem wielu strwożonych i bez-
domnych istot. Drzew kilka lat nie,
szkał w niej Jantek „Dyabeł”, poszu-
kiwacz skarbow, póki go drzewo insze
nie zabiło.

Kało schroniskiem - była ona
kaplica, nie jeno przez podobieństwo
naoczne do staroswieckiej kaplicy, bez-
bożnej już i zczerniałej wiekami, ale
iż tam się wprzasie burz przerażonych
wiele dusz modliło żarliwie, wiele we-
stchnień, od słów wypowiedzianych - głę-
szych, ulatywała gardziela jej spróch-
niała ku górze.

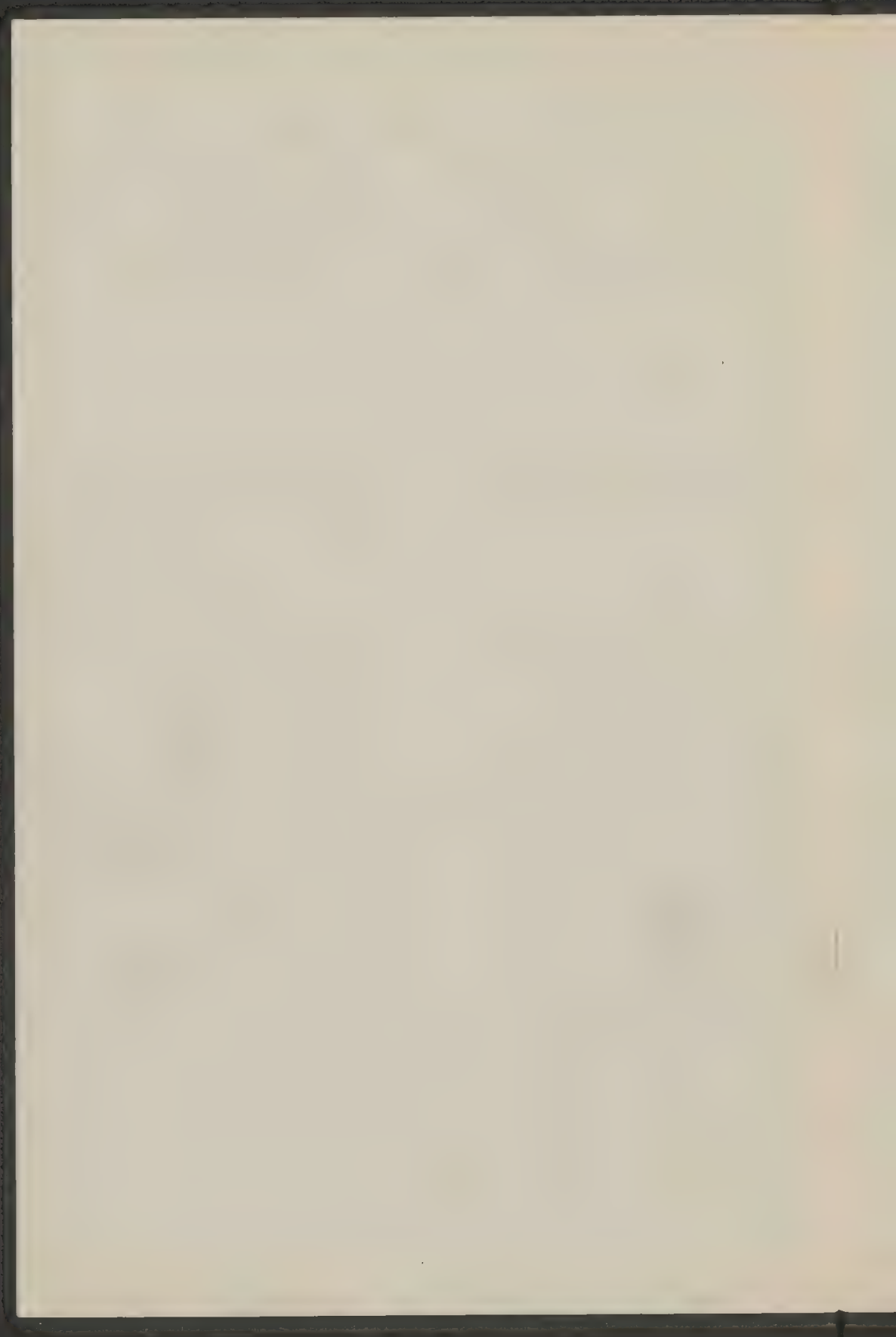


Owo jej wnętrze czarne było, jak
czelusić komina; ogień uwęglał boki,
dym oczernił górne wydrążenie; przez
to milsze człękowi było, zwłaszcza
bezdomnemu, to przypominało wnę-
trze dymnej, oczerniałej izby.

Wpraszając tym, kiedy na drzewie
jej siostry - jedlice i na poinszą braci
takie, jak się powiedziało, spadły
zaleki albo poszumy od złych wiatr,
leciących poprzód przed burzą, je-
dla nasza stała w obojętności sko-
stniałej, już od całego wieka przy-
swojonej, i ani drgnęła.

W głowicy jej wyniosłej, jeszcze
zielonej, chociaż już mało iglastej,
platał się ledwo ku ziemi słyszalny
szum - jakiś inny, nie z onego tu
świata, lecz jakby przypomnienie
szumów dawnych - dawno pomno-
żonych drzew - drzew-ojców - drzew-
praojców...

We wnętrzu jej było cicho. Bo
nawet muszki-brzęczki, które się tu,
po zająciu słonka za chmurę, schro-
niły i brzęczały przez chwilę zdu-



dniałym gwarem jako w ulu, sie,
działy teraz po węglinach i szparach,
jakby snem poprzyklepane.

Cicho było, jak istnieje w kaplicy.

Ale naraż zatrepotato się coś u
wejścia, na wysokości naczółka
drzwiennego. I u okraja przyczepił
się ptaszek, zacierając uważnie do
wnetrza. Nie mógł ciemności prze-
rzeć, a chciał przejrzeć - więc pusił
się na odwagę i obleciał parę razy
kołem; poczem wykrywał, a za mo-
ment wrócił ich dwoje.

Podnieśli się w czeluście pierwsze,
niemi wylotu i posiedli na sękach,
wystających z poboku do środka; coś
czierkali, coś sobie opowiadali, czy
też przyzywało jedno drugie ku so-
bie; w końcu znaleźli się razem
na jednym sęku i siedzieli już
dalej cicho.

Do chwili znówu szmer z góry
spłynął do wnętrza: Otworem, któ-
ry dzieciół wykuli, a jakiś inny
otwór rozszerzył, wsunęła głowę wie-
niorka. Dorozpatrywała się naprzód



ciekawie, a potem wślizgnęła zwin „nie. Domknęła kominem w górę, przepatrzyła, aza wrog jakiego ciemno, ści nie czyha, poczem sfurgnęła na dół, poprobowowała powietrznego tańca „od ściany do ściany”, wreszcie uszła się, dysząc, przy otworze:

Znowu nastata cichość.

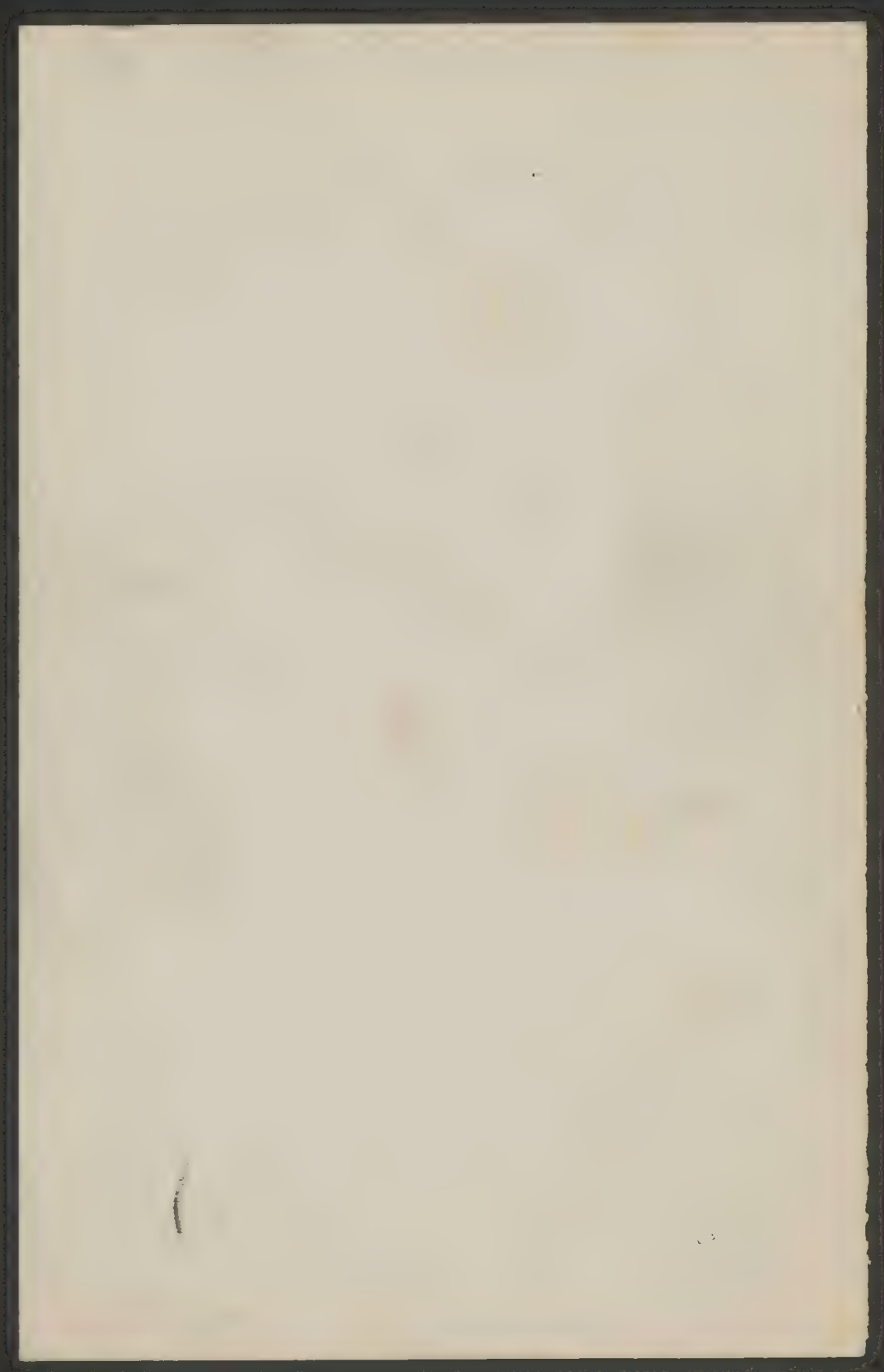
Nie uszła chwila, jak się ozwały stapania, i do schroniska wprowadzi, to się dwoje młodych: pasterka i pasterka.

— Tu przeczekamy — zadudnił głos pasterka we wnętrzu.

Staszka, zaniepokojone, kręciły główkami, dumając, czyby nie wytknąć. Ale widząc, że młodzi bez żadnego złego zamiaru tu weszli, uspokoiły się i zapadły na nowo w półsen skuwając.

Wieniorka też za ich wejściem nym sknęła się otworem na zewnątrz, a za moment wrażliła łebek, posłuchała i cała się wwinęła z powrotem na miejsce.

Młodzi stali czas jakiś milcząc,



nastrojeni podobnie, jak wszystkie dookoła żywo. Marta cisza oczekiwania i ich przygniotła. Jednotonne uczucie szło po włóknach-żyłach wszystkich jednym powietrzem, choć różnie albo i zgoła utajenie, dykających jestestw.

Burza się zbliżała zwolna. Różne znaki zbliżenie się jej powiadały. Słychać było jakoby olbrzymie stapania, od których ziemia drżała i echo szło dudniące.

— Dobrze tu z tem schroniskiem... Ha, czyśmy byli uciekli? — ozwało się dzienne pierwsze, chcąc trwożę serca zagadanie.

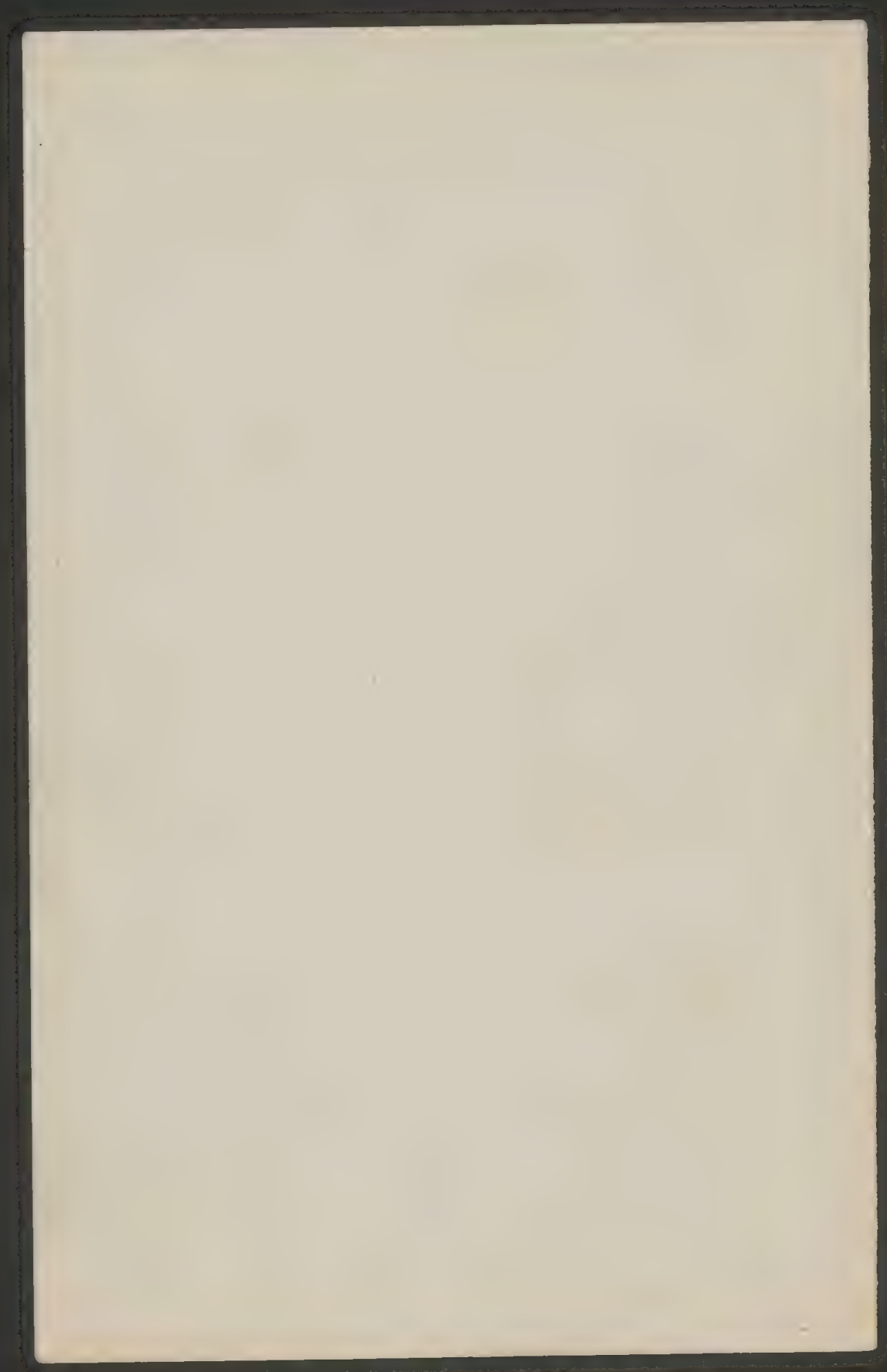
— Ja raz tak szedł... od wołów, w rocy... Burza xdybała mnie w lesie...

— Jezus! toś ~~ta~~ miał...

— Szedłś na ślepo, nie widzcy. Co się wysnęło, tam krok stąpił... Siera, nę były...

— Nie mów...

49/1 Drzewegnała się, bowiem słyszące dało się widzieć przez otwór. Zaniedługo huk się dobył i popłynął po lesie w dudnienie.



— Blizko kanysi.

— Pójdę wyjrzeć na wóły — rzekł pasterz.

— Nie chodź! — strwożyła się.

On też nie myślał iść. Tak sobie rzekł, chce śmiałości dodać sobie i dziękując. Patrzeli w otwór, wyczekując nowej błyskawicy, aby się na czas przeżegnać.

— Sokrapuje...

— To chyba grad...

— Nie, takie grube kropki...

— Czy nas tu nie zamoczy?...

Podniosła głowę i pojrzała do góry.

— Widzisz ty, i ptaszki tu są... i wy wiotka!

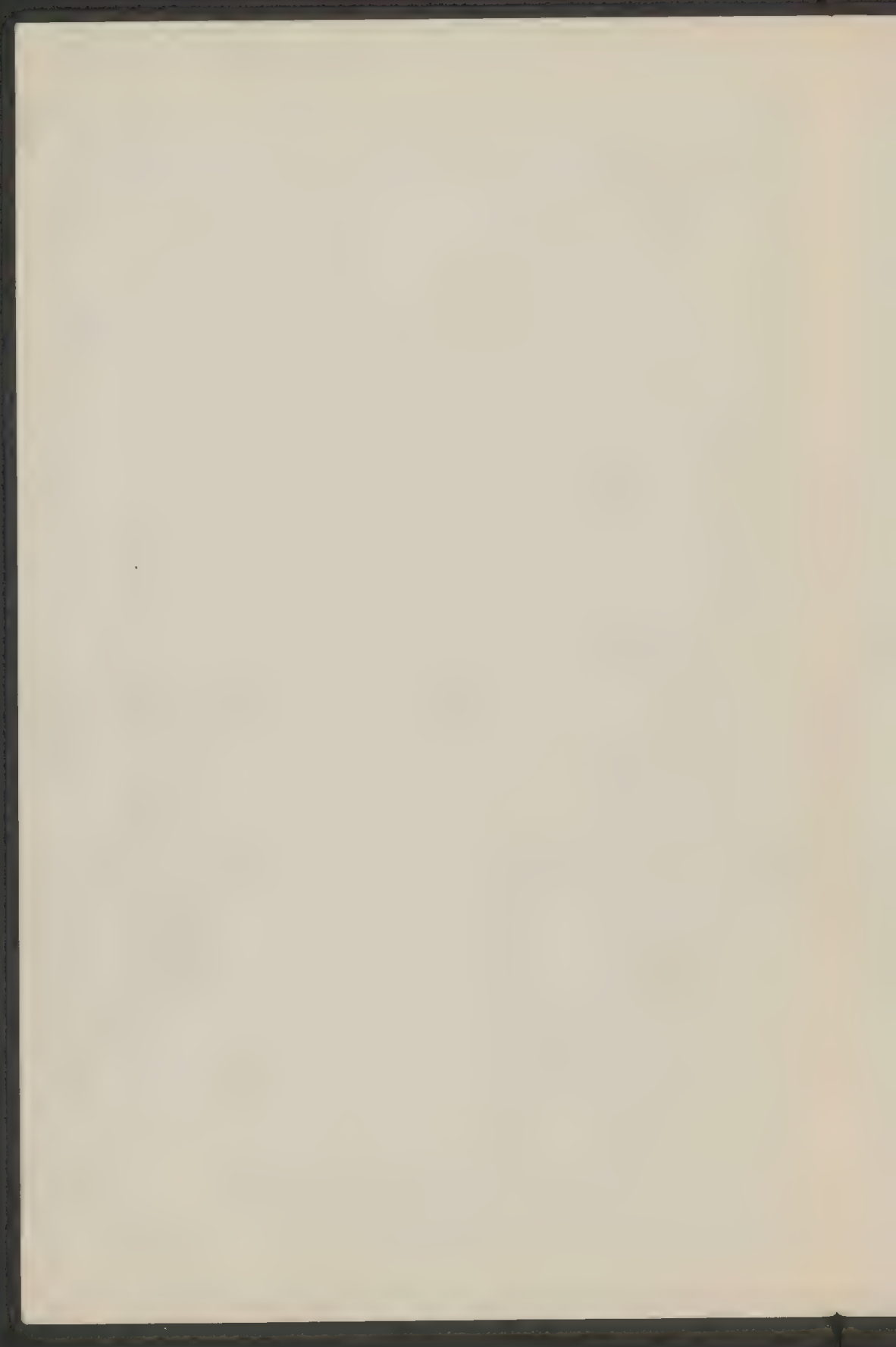
— Ciszaj, niech se ta siedzą.

— Dyeżby ja ich wyganiała...

Biedactwo... Oni się tu przędzy schronili, to mają przed nami pierwszeństwo.

Znowu ty. nelo — już wyraźniej. Oboje się przeżegnali, a pasterka, schylona, pocięła drzewo wiotkiem ciałem, jako że młoda koralina w wietrze.

— Boisz się? — spytał ją ztklino „
rzym głosem.



— Nie... nie boję się przy tobie... — od-
brekła, dygotając językiem.

Otoczył ją ramieniem niesmiato.

— Chciałabys' przy mnie być... tak zaws-
dy...

Głos mu drżał wstrząśnięciem serca,
rozchwytanego burzą i uczuciem.

— Nie powiesz mi...?

Skinęła jeno głowę i przychyliła
się ku niemu.

Wstrząśnięciem opowici, milczeli, czu-
jąc dygot serc swoich przy sobie.

Widzieli się jakoby w chatupie — bez
pieczni. Gdzieś tam daleko idzie bu-
rza — gdzieś tam daleko grzmi... ser-
ca się tłuką — czują wzajemnie ich
młoty — lecz chyba nie z bliska.

— Dadas' mi choi' troszkę?

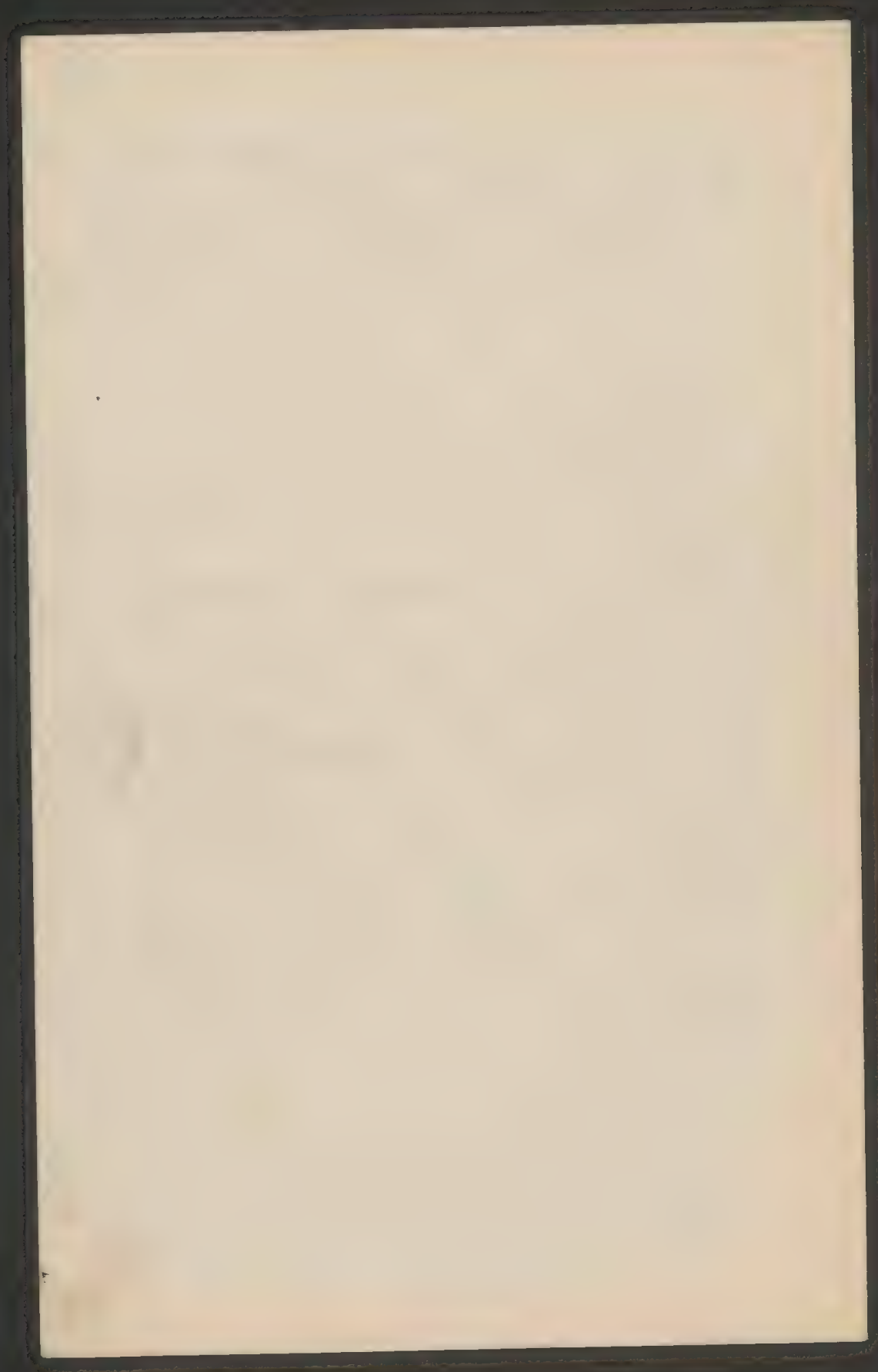
— Coś się pytasz... przecie wiesz...

Szeptają bardzo cicho — myśli się sa-
me słyszą.

— Haż bies'...

— Co, Józus'...

Szeptają się imionami swemi, mu-
skają się niemi po sercach, niby
miękkimi piórkami. Wreszcie słowa



wydają im się nijakie i xbedne -
węc milczą, przytuleni do siebie,
objęci szczęściem, jako powietrzem
pachnącem.

Trwają tak, nie wiedząc o czasie,
nie widząc nic, ino jakąś przed so-
bą jasność łagodną, przerozkoszną,
która się przesacza w serca, aż prze-
stają bić x rozkoszy... Kolaną się
gną, jakby dusze ukleknąć chciały
przed tem niewysłowionem... Życie
minione wydaje się snem... a to
istnienie prawdziwe... Branda...

— Czy to prawda? — pyta się Dusza.
A wargi szepczą; — radas' mi?

Skinęła, i głowę tę przekochaną
schyla mu na piersi. Przytulił
ją mocniej i niegrabnie pocałował
jej włosy. Pachnoci x nichi uderzyła
mu do głowy, niby trujacy czar.

A te razy światłości przebiegła
po wnętrzu. Kłodzi ledwo zdołali
się przeżegnać, gdy huk się rozszedł
trzaskający, jakby ktoś górę krze-
mienna rozłupał. Za moment no-
wa błyskawica, i znowu huk podob,

ny.

— Jak się też to przeraznie łyska...

Przerzywisie, błyskawice były jakiesi przerazające, nieprzykłe, jakich pastere nie widzieli za życia swego nie, długiego. To też gromkie ich światła rzucały trwożę na ich serca; i stali w zaleku, tuląc się ku sobie, jako tych ptasząt dwoje ponad nimi.

Deszcz zaczął ciąć naremnym. Ani światu nie było widać. Błyskawice raz po razie sypały światło przez razne — już i zegnać się trudno było za każdą — huk toczył się bez odetchnienia...

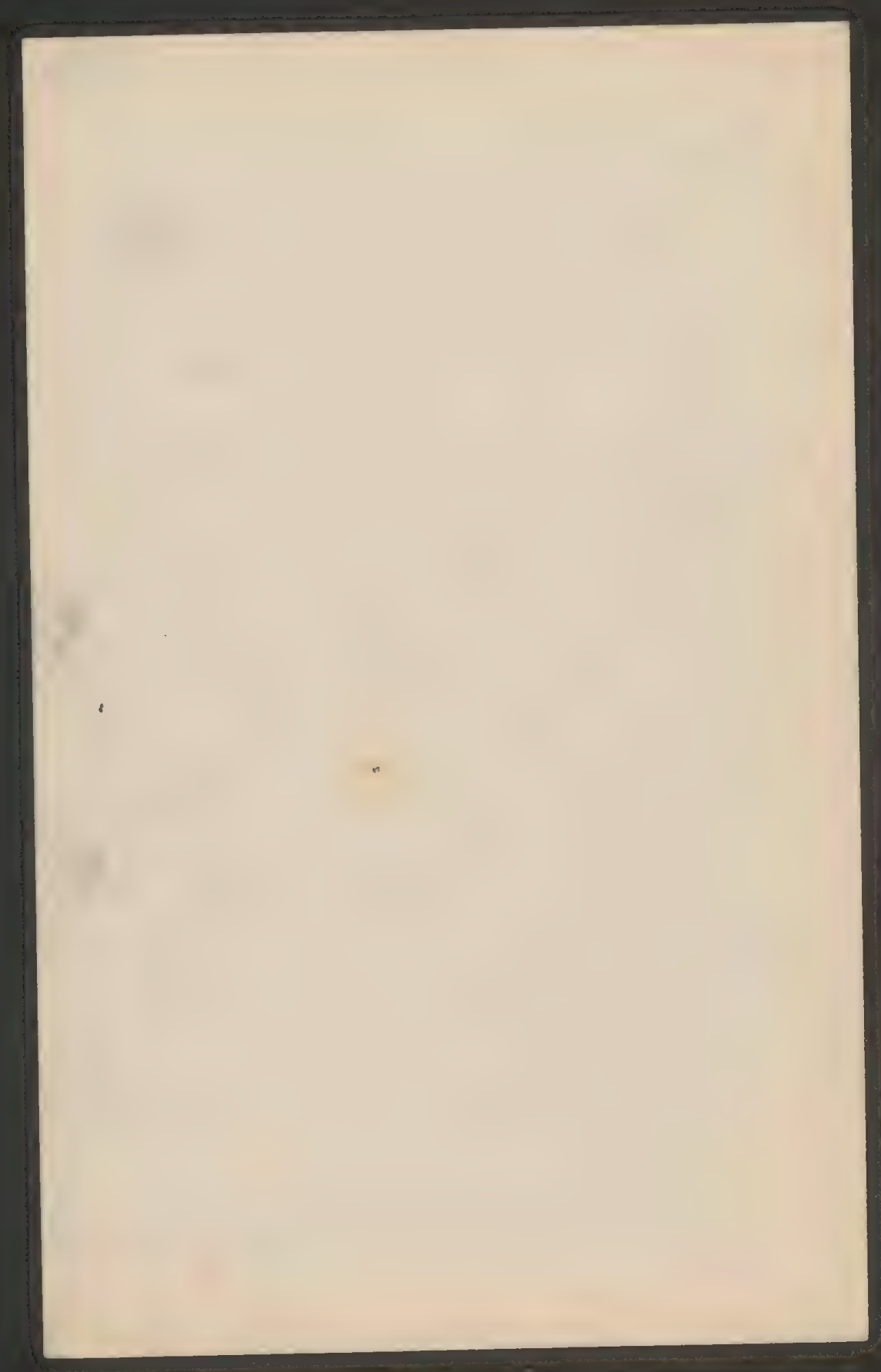
Dziewczę dygotało całe, jako ta najslabsza trawa.

— Nie bój się — prosił pasterz — przez cie ja przy tobie...

I przytulał ramieniem zegnającą się co moment, a sam pobierał aże od wzruszenia.

— Wnet przejdzie... widzisz już gromot słabnie...

Zdawało się rzeczywiście, że się huk potoczył dalej. I błyskawice wędniały,



ale stały się jakieś trzeszczące,
czerniejące - w paru łańcuchach zami-
gotat - w jednej był krzyż... Raziły
serca patrzących, jak grotę.

- O Jezu... - jęczało dziecko.

- Nie bój się... już przechodzi...
widzisz, już się hań przeciera...

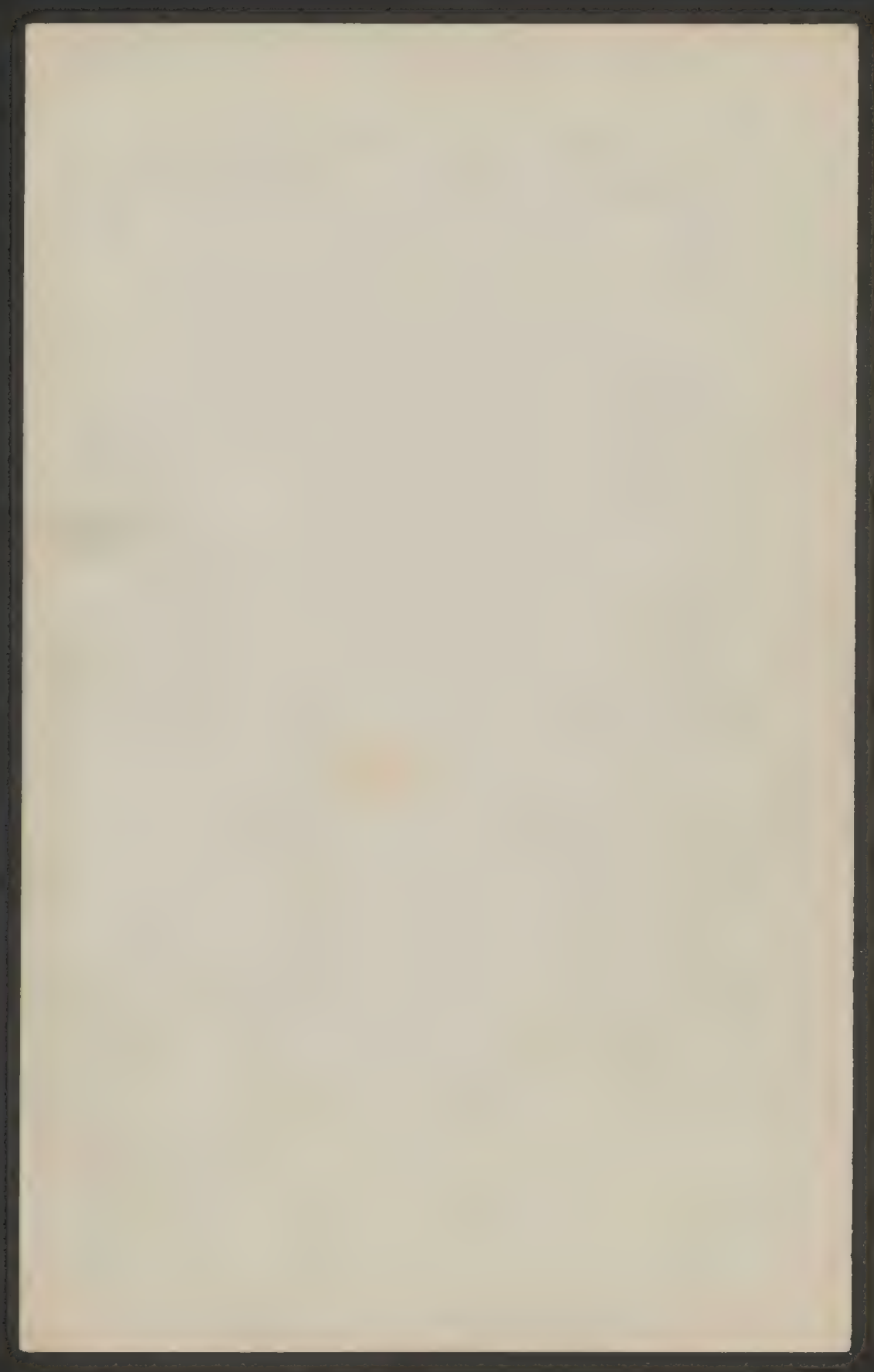
Burza mijała - szła za wierzch...

Nagle Dreszcz-swiatło... i za niemi
trząsk straszny - pierwszy niż słowo-
myśl...

I jedla hruba rozszepiona na
poł - drzazgi z niej odstrzelone tu
owdzie po ziemi - wśród nich leża-
ciałka ptaszat, wiewiórka zabita na
śmierci, i tych dwoje...

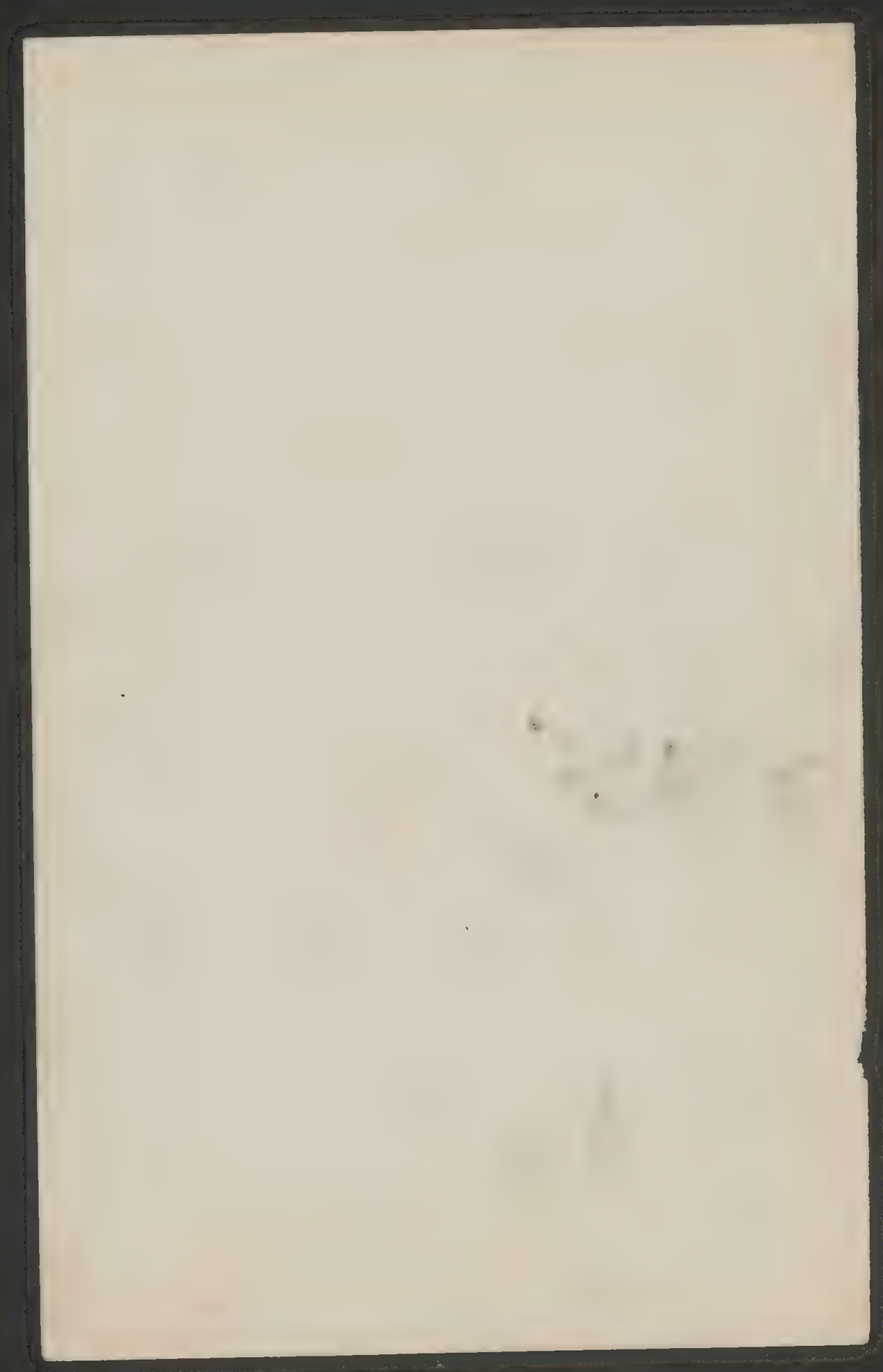
*

Burza przeszła. Słońce zegnało
resztę chmur - ziemia, obmyta, za-
jaśniała na nowo - cała swoista kra-
sa, radośniejsza jeszcze zielenia niż
po brzoź. Z liści bukowych spadały
lśniące perełki.



Na borach.^{x)}

^{x)} „W roztokach.”



U stóp wstających stromo zboczów,
gdzie już osiedle ludzkie nie dochodzi,
ciągnęły się ściśnione ugorami Łąki
i dobiegały rzęzą aż do wąskiej bramy,
która zamknęła kotlinę.

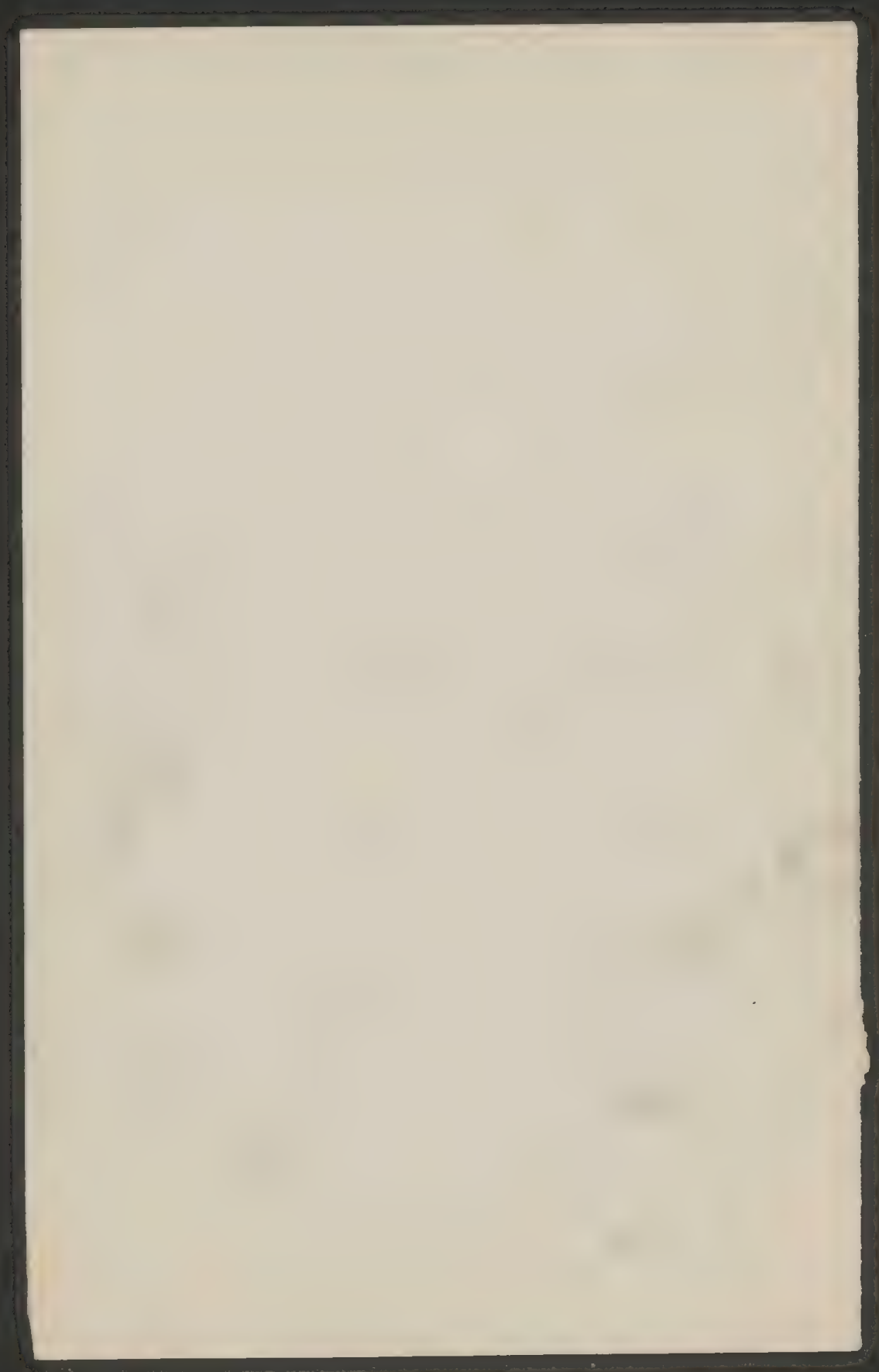
Staczając się po uboczek, ugorne kamienie
zwrzeliły je i zepchnęły nad samą roztokę,
nad strumy, porośnięty jałowcami brzeg.
Drzewiej na miejscu tych łąk stały bory;
temu je znano po całej czas borami,
choć z borów nie zostało ani śladu znaku.

Bory te koszone wspólnie
i wspólnie siano suszono.

Podczas suszenia, gdy pogoda trwała,
schodziła się tu wszystkie młodzież ze wsi,
cały prawie młody przystęp,
na nocne hulanki.

Leżące hasło: „Na bory! Na bory!”
działało, jak rozkaz tajny,
jak przemocny cud.

Do chałupiek ostawiali jedynie ojcowie,
leżący w cichoci i nad zepsuciem śpiący.



Tęgo lata pogoda szczerliwie dotrwała.
 W dzień słońce pomagało suszyć wilgoc siano,
 a noc były księżycowe,
 białe, jak sny dziecka.

W taką noc szedł Rakoczy Doliną Huciską.
 Wesoł był, wędził dobrze, że przy takim czasie
 wszystko, co żyje, wyłazi na sory,
 i Henusia pierwsze łędzie. Szedł jak na wesele.

Księżyc łagodnym światłem zalewał dolinę;
 rzotoka w oczach mieniła się srebrem,
 a po raz cienie cichych smreków kryło się
 kryło się miłowanie. [miłowanie]

Dostrzegam, jak omamienie,
 jak zblakany sen,
 snuła się błękitna przedra,
 osnuwała zbroja
 i czarodziejsko odmieniała
 kraj do niepoznania.

W taką noc dziecku, zblakane mu w lesie,
 otwierają się skarby ukryte pod pniami;
 w taką noc na stromej skale tajemnego zamku
 siada z kadziłą zaklęta królowa
 i, oczekując wybawienia swego,
 tęskno poriera okiem na dolinę;
 w taką noc przy cichych stawach,

przy zadumie smreków
rodzą się, jak mgły z jeziora,
niesmiertelne baśnie.

Franek tkliwy był od mała na wrok księżycy.
Srebrna dolina lunatyknie, jak we śnie czarownym.
Magnetyczne światło nocy czarowało duszę,
pełną nadziei miłego spotkania,
i szedymało prąpyłkami, idącymi w niebo,
jak miękka wełna ród,
jezioro cichej szczęśliwości.

Czuł w sercu swoim przepelnione uczucia;
tryskało w górę, jak snop wody - przy świetle księżycy.
Budziły się w nim pieśni, przepojone uczuciem,
które się ujawniały na świat kaskadami słów.
Lece słowa były, jak te krople, nie czyniące dźwięku
i przezroczyste, bez rumieńca, bez złocistych barw.
Lece od ich przesłietli padała na jego duszę -
on sam ją widział i sam słyszał
muzykę tych pieśni.
Ale wygrać nie umiał zewnętrznemu światu.

Idąc, mówił, jak dziecko,
śpiewającym głosem:
- Jest kraj nieznanych cudów,
gdzie z białych gór
potoki srebrem płyną,



Doliny śpię,

a tajemnicze źródła lesne

czyszczą ze szmerem przy świetle księżyca
połyskujący, złoty piasek.

Smutki w milczeniu stoją, bez oddechów,
jak stare nocne w przedsieni kościoła,
w którym za mgłą tajemnic osłona
bóstwo, nieznane ludziom, spi...

A jedle drżą,

Dygocą łękiem utajonym,

czy ich nie zdradzi światło białe,
które na nie pada;

bowiem sięgają nagiemi ramionami
w głębie rozpadłych, wąskich szperek.

i wyczuwają palcami korzeni
skryte głęboko pod skałami skarby.

Albo na ziemię kładą się cieniami

i, ostrzymując dech, słuchają,

co tam w głębi drzewi.

A to drzewie owce białe, idące uboczną;

wetna im się zdawa srebrzy,

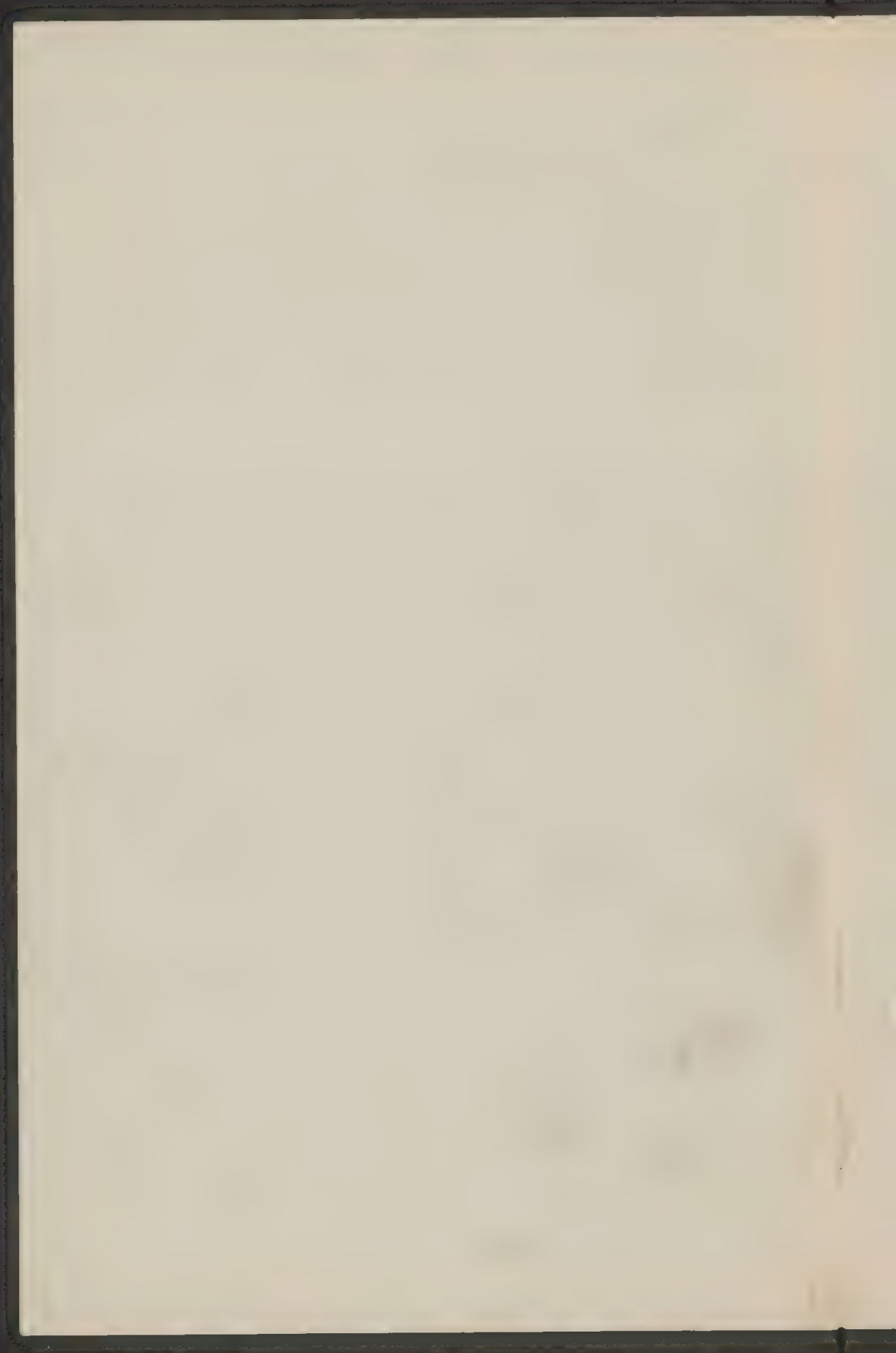
jak te włosy fal,

wspinających się w księżycu

ku urwistym brzegom.

Drzewy uboż,

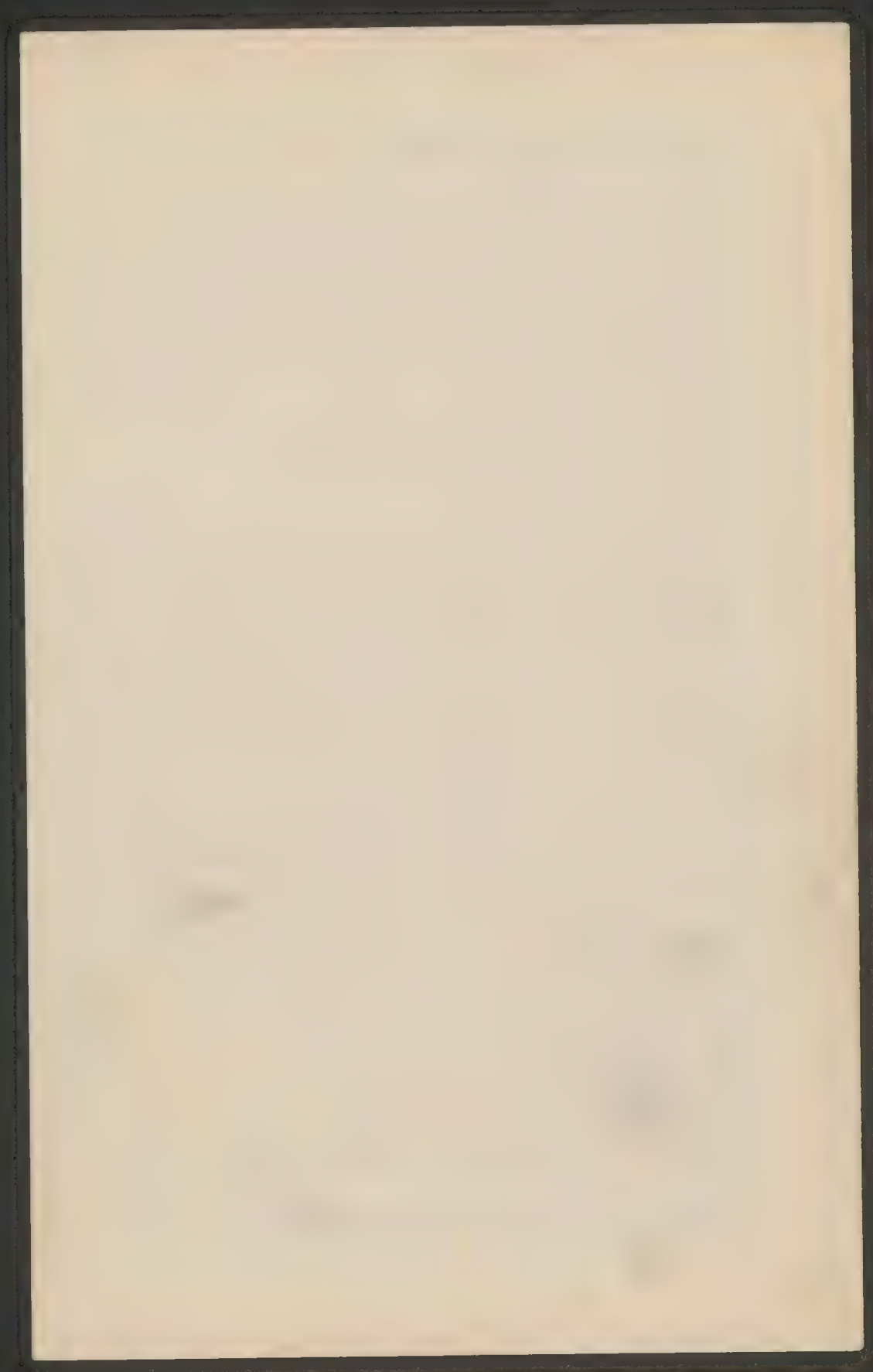
już dochodzą pod zamglony wierzch...



A małe jaguie zostało,
 nie może nadziwić,
 samo idzie po polanie, zarodzi i płacze
 i woła, woła, by je poczekali.
 Ostatniej owcy grzbiot słyszał ze wierzchem.
 W głuchej ciszy słyszał jeno ten samotny płacz.
 O kraju! O dolino smutku!
 Tam - przy nieznanej drzewie
 ukryty drogi skarb,
 o którym nikt nie wie...

Wszedł w wąwóz. Huk rzutki zgłuszył dalsze słowa.
 Niezadługo minął wąwóz, przeszedł wąską bramę
 i ujrzał się na drodze w przestronnej dolinie,
 wśród ugorów rozległych, na krańcu Brystopia.

Doleciało go z odłali zawołanie skrzypiec.
 Dostał dygotać w sercu, drzeć na całym ciele.
 Nie rary posłyszał kiedy zdale skrzypce,
 zady to drzenie drżące ośładało nim.
 Nie wiedział jeno, skąd się bierze,
 jaki temu powód.
 Może powstaje nieswiadomie
 na wspomnienie chwil,
 jakie dotąd pamięta z dzieciństwa swojego.
 Spał w izbie... Ale naraż przebudził go widok.



Owies zadzwonił na sztybach.

Skrzypce zajeżdżały.

A on się rzywał: „Tato! Tato! kolednicy przyszli...”

I z drżeniem biegł do okna patrzeć na te cuda.

Były to czasy dużej szczęśliwości...

A raz, pamięta, zbudził go krzyki:

„Dali się 'pali!'” Wyskoczył na pole.

Stłumy ludzi, wieś cała biegła na wiech Gronia.

Śobiegi i on. A lecieć dygotał jak w febrze.

Dalił się las. Straszny widok był, bo z blizka.

Morze płomieni szło nboże,

A z dymy, jak chmury ciężkie,

wisiały nad ogniem.

Ktoś przyniósł skrzypce - grali - tańczyli przy

[świecie...

I od tam, ile razy usłyszy płacz skrzypiec,

Drżenie wraca, jak odgłos potraconych strun.

- Bo też i uo nasze skrzypce tak umieją płakać.

Jest u nich czar, który pada urokiem na dusze.

- O, jak płacze, jak się wali, jak się skarży głośno!

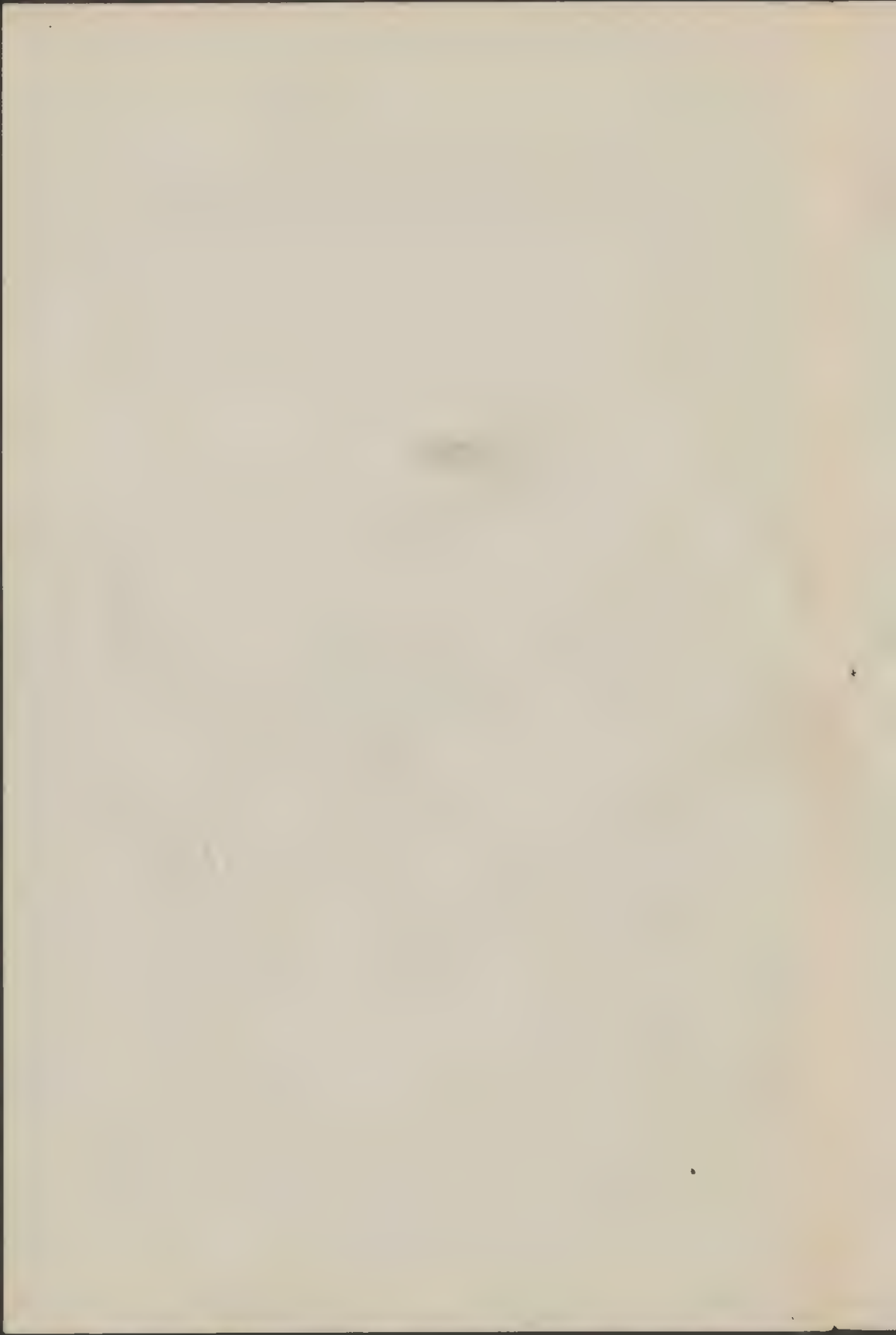
Nie tylko słyszy, ale widzi te murykę zdale.

Idzie, idzie po ugorach, ręce załamata,

włosy rozpuszcila na wiatr, i zawodzi u płaczu,

lamentuje, jak zdradzona planetnica leśna.

A serce człeka rwie się za nią;



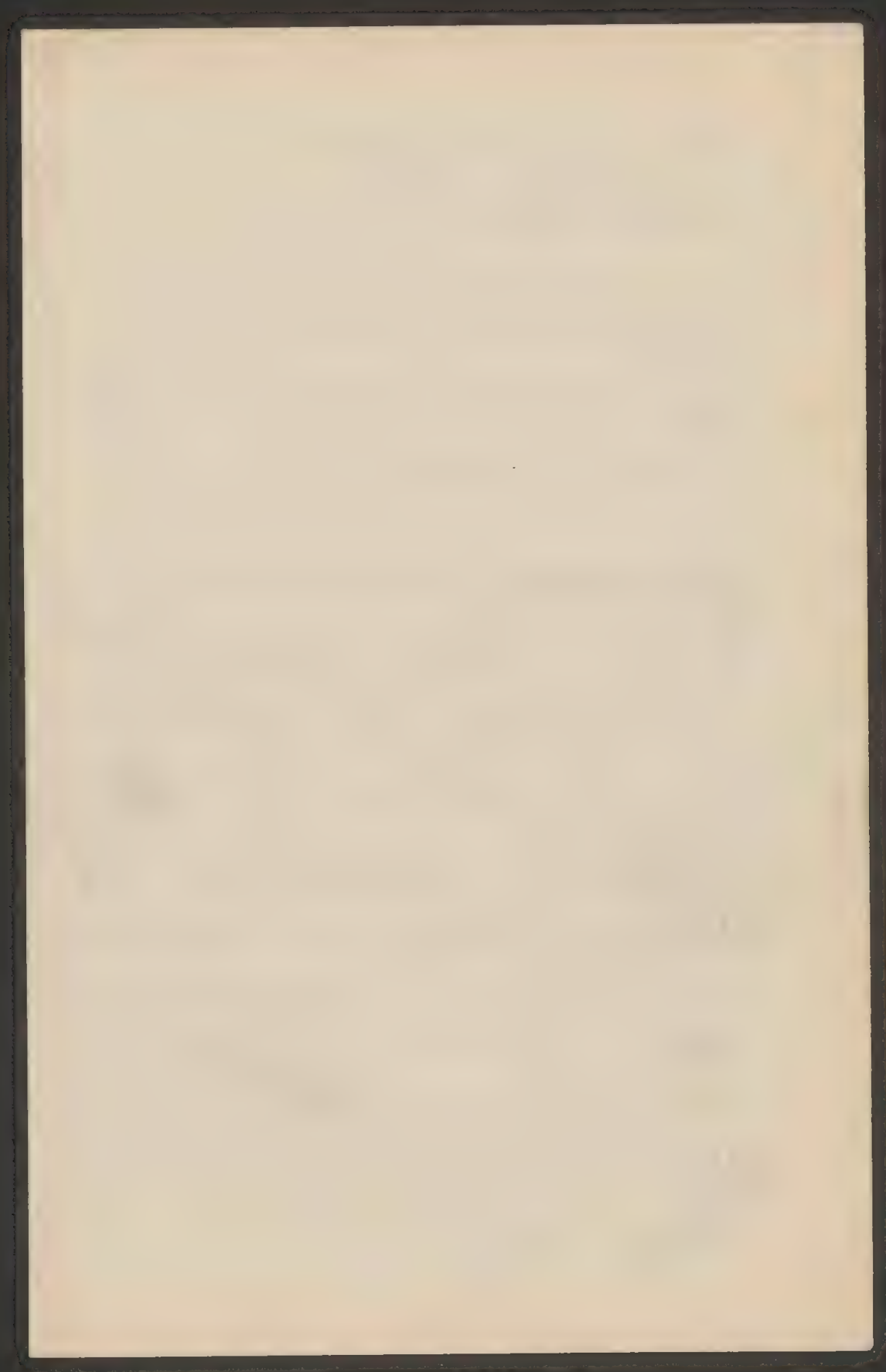
trępace, jak ptak schwycony,
bije skrzydłami i krzawi
zasklepioną pierś.

Coraz wyraźniejsze tony sły naprzeciw niego.
Dorównawał melodje, uśmiechał się do nich.
Zbliżał się wolno ku borom, widział zdala kopy,
dokoła nich taniec cieniów, migających w świetle;
zdawało mu się, że napotkał tajemnicze światło,
jakieś pradawne, zabyte duchów pohulanki.

Nadchodząc bliżej, usłyszał niewyraźny śpiew.
Śpiew nie mógł powiazać uchem, ale nute poznał.
Gorączka nim ośladła, i niepokój parł.
Chciał jaknajprędzej ujrzeć i sprawdzić naocznie.
Ustawił się prawie do nowego tańca,
kiedy stanął za kotłem wśród zgrachy ciekawej
i poczał szukać oczyma Hłanusi.
Ujrzał ją nagle i, miast rozśmiać się,
spłonał, jak podpalony, suchy kłozak jałowca.

Na przedzie, przed muzyką stał Michał Cichański,
przy nim Hanka. Dłoni spartała na jego ramieniu.

Obaczył ją Tak Franek i zakipiał gniewem,
zatrzęsło się w nim serce, zaczęły się ocy-
chać biedz w pierwszym momencie,
rozbijając, rozrywając...



Średko jednak opanował naremuści szarpiącą.

Porwali go stojący blisko i pytali:

- Coż was przywiodło ku nam?

Tak dawno, jak nie byliście...

Nie słyszał i nie odpowiadał.

Przeciskał się przez tłum

i szedł milcząc ku muryce

z ogromnym spokojem,

jak chmura ciężka, która idzie

otwierając ciżbę.

Oczyma, jak piorunami, świecił poprzód siebie.

Ludzie się rozstępowali i cofali trwożnie.

Raptem Hanka, jakby czuła te oczy na sobie,

obejrzała się, a twarz jej biała

stała się w świetle księżyca,

jeszcze bielsza. Z cichym krzykiem

który zmarł na ustach,

cofnęła się za plecy swojego Tancerza.

Rakoczy odchylił go na bok ręką lewą,

jak ona gatał z przed oczu wśród gestów.

Ten odruchem podniósł pieśń, lecz zaraz

opuścił ją i trwożnie wsunął się w ciżbę.

Rakoczy stanął blisko przed zalekłą Hanką

i cichym głosem, w którym dźwięcił wózek,
rzekł: - Chciałbym z Tobą przemówić słów kilka.

I wskazał ręką pośród ciżby drogę,
która był pierwszą przed chwilą otworzył.

Hanka, widząc w jego twarzy niewyrażalne wzruszenie,
zawahała się, lecz wnetki postąpiła naprzód
i, z udaną gotowością warknęła przed nim szeptem...
Stojący z bliska cofali się na bok
i prowadzili ich oczyma,
szepcząc między sobą.
Michał się już nie nawinał.

Mineli gromadę,
i szli w milczeniu po trawniku
wśród lasu wonnych kęp.

Frank, zapamiętał w gniewie i wściekłości,
chciał ją zaraz pokarać dotkliwie obelgą,
ale, nim w myślach słów wyszukał,
już gniew zmalał w sercu,
i słowa one zdały się za ostre.
Dobierał innych, a tymczasem
złość go omijała.

Miał też czas, idąc przy niej, zauważyć przestrach
i drżenie ptasie w jej cichej postaci.



Chwiała się wiotkiem ciałem, jak gibrzyna leśna,
z której wiatr obrywa kwiecie i otwasa puch.
To go powoli rozbijało.

Długo wazył słowa,
i tak w milczeniu doszli razem do ostatnich kóp.
- Powiedz mi - ograł się Franek z surowością wielką -
powiedz mi, ale tak szczerze,
dlaczego Łaicowatś z tym człowiekiem niemrawym?

Podniosła ku niemu oczy, od których śnieg łaje
i odrzekła po cichu: - Bo ciebie nie było...

Nie spodziewał się Franek takiej odpowiedzi.
Myślał, że powstanie z krzykiem,
z niewiescia wraza
i poźnie bronić swobody swojej...

„Cóż mi to nie wolno - powie -
Łaicowatś z kim chce?”

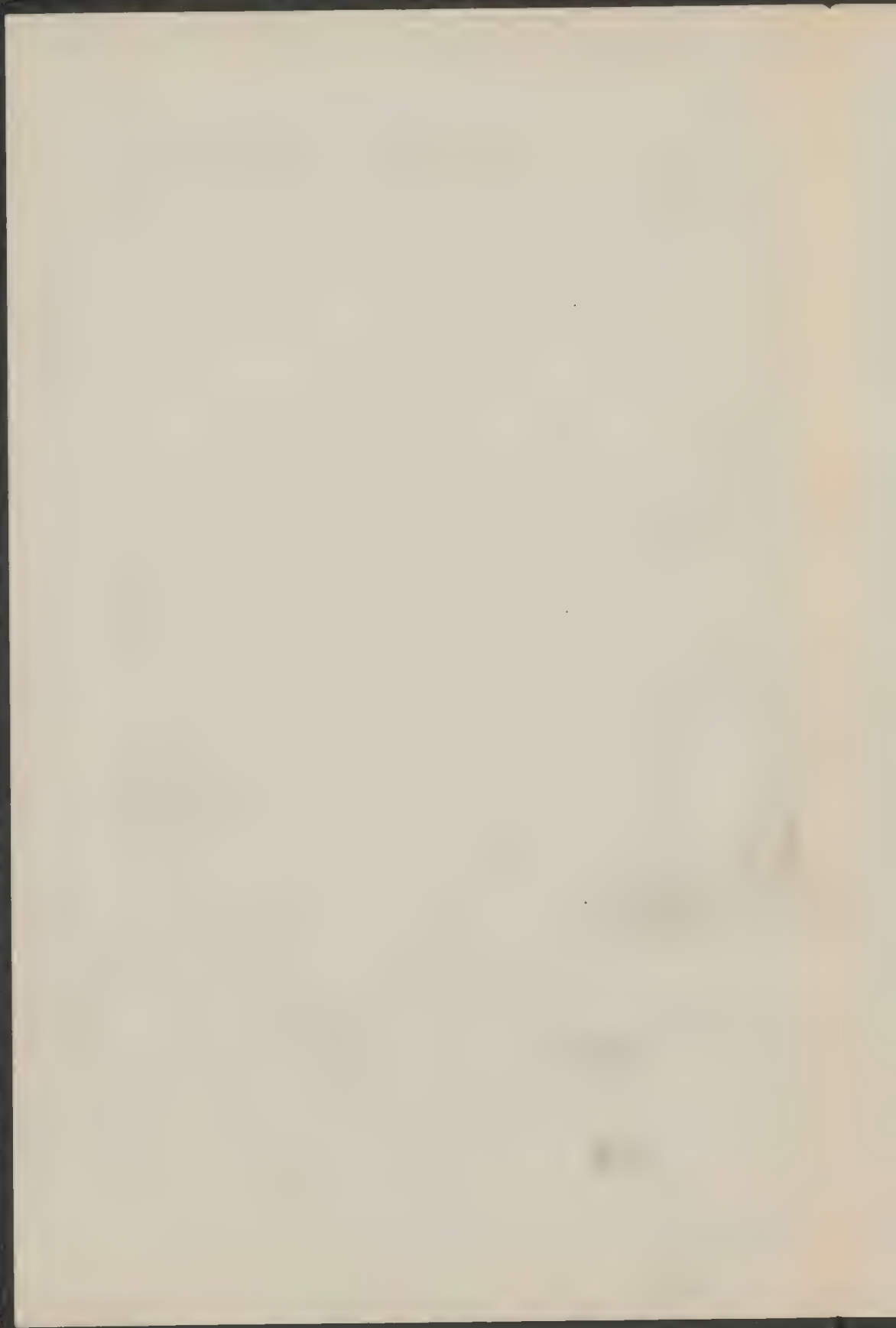
Miał już na to słowa gniewem
jartające, jak iskry.

rozdmuchiwane wiatrem w sprężonej walce.

I teraz wszystkie pogasty odrazu,
jakby je nagły potalewał deszcz.

Jak dziecko, które czuje przenieńnię swoje,
broni się cichym wykrzykiem:

„Bo ciebie nie było...”



I cóż tu na to powiedzenie wrze?

Hanka zaś mówiła dalej: - Takeś mnie ostarzył,
jak ten pasterz głupią owcę
na ugorach w nocy.

Ani światelka, ani głosu,
ani znikąd nic.

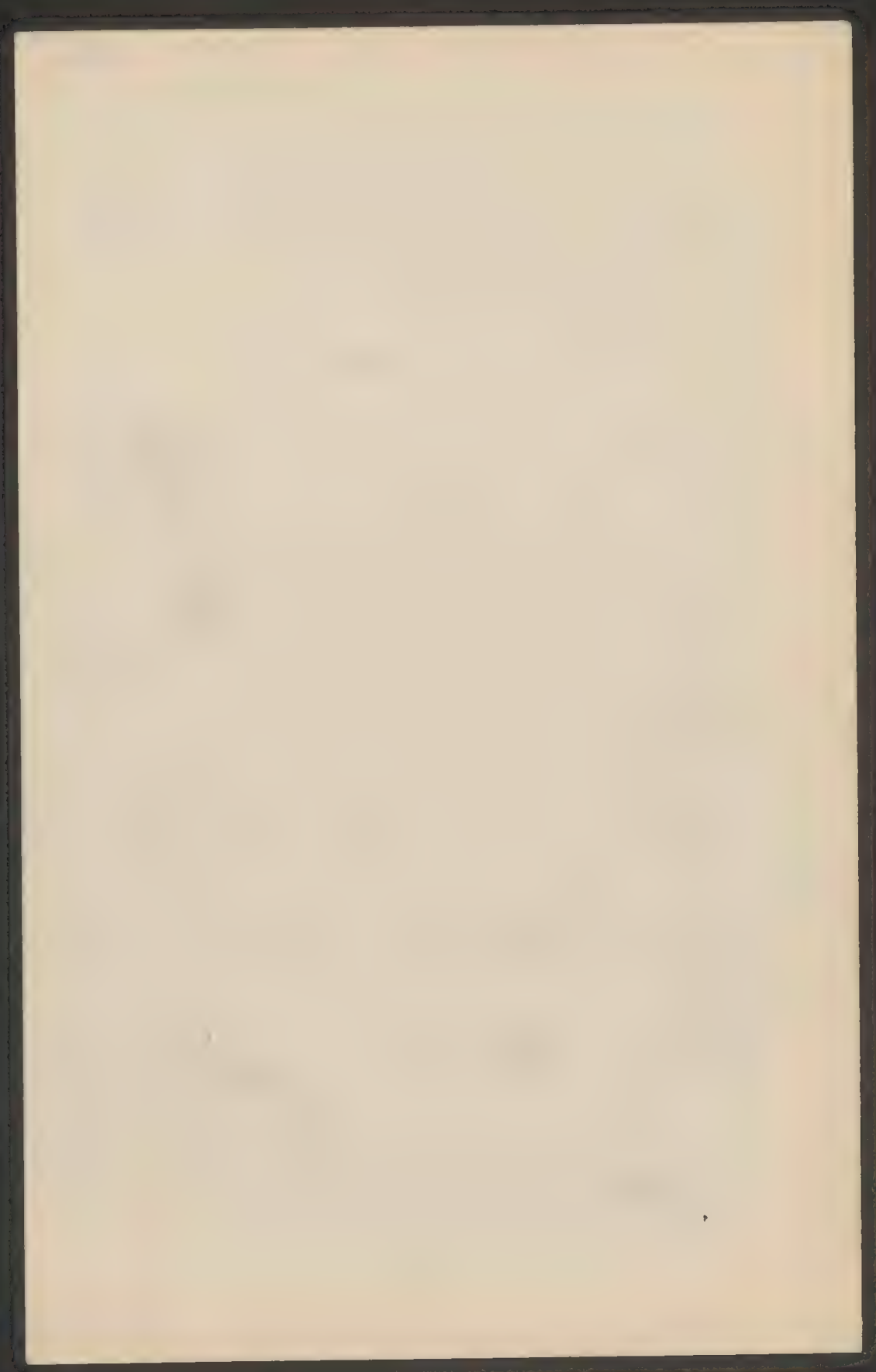
Myslałaś, żeś już o mnie doznaku zabaczył...
I po łicach jej poczęły stoczać się, jak łarki,
sive, w świetle księżycy migocące łry.

Zachwiał się Franek, obaczywszy płacz.
Żal mareniny potokiem spływał w jego serce
i uderzał o brzegi spienionymi murły.
Ostatki quiewu, liłości i miłości bermierua
wałczyły w nim, i żadne zwierchoać nie mogło.
Patrzac na jej łry cierpiał i bolał okrutnie,
a przecie tego nie chciał jej powiedzieć.

Co ja się też naczekała! - labi^edziła w płaczu -
Com się nawiżerała daremno!

Kieło nocy nieprzespanych - sam banierus wie,
bo się nieraz godzinami przed Nim nakleczata.

Na wspomnienie tych utrapień - nowy potok łez...
- a przecie - poczęł Franek, gwałt zadając sercu -
miałaś czas o innych myśleć...



— O nikim! Nieprawda!

— Nie gałaliby mi ludzie.

— To ludziom dajesz przedzej wiarę, niż mnie?
Teraz, to już wiem, że mnie nie kochasz...

— Hanka!

— Długo ci się szuka, aby się oderwać.
Ale ja cie nie zwiozła — mówiła obłędnie —
możesz iść kany zechcesz,
ka ci się podoba.

Ja ci nie będę zagradzała drogi.

Ino skocz do rozłoki i utopię się...

Jakby chciała odrazu wykonać ten zamiar,
zwróciła się ku rozłokce i poczęła iść.

Franek smartwiał, przelakł się i zabiegł jej drodze.

— Haniu! miej rozum...

— Dusić mnie! — zawołała.

Coraz to większa rozpacz ovladała ją.

Ujął jej dłoń i poczał z tkliwością przeproszać.

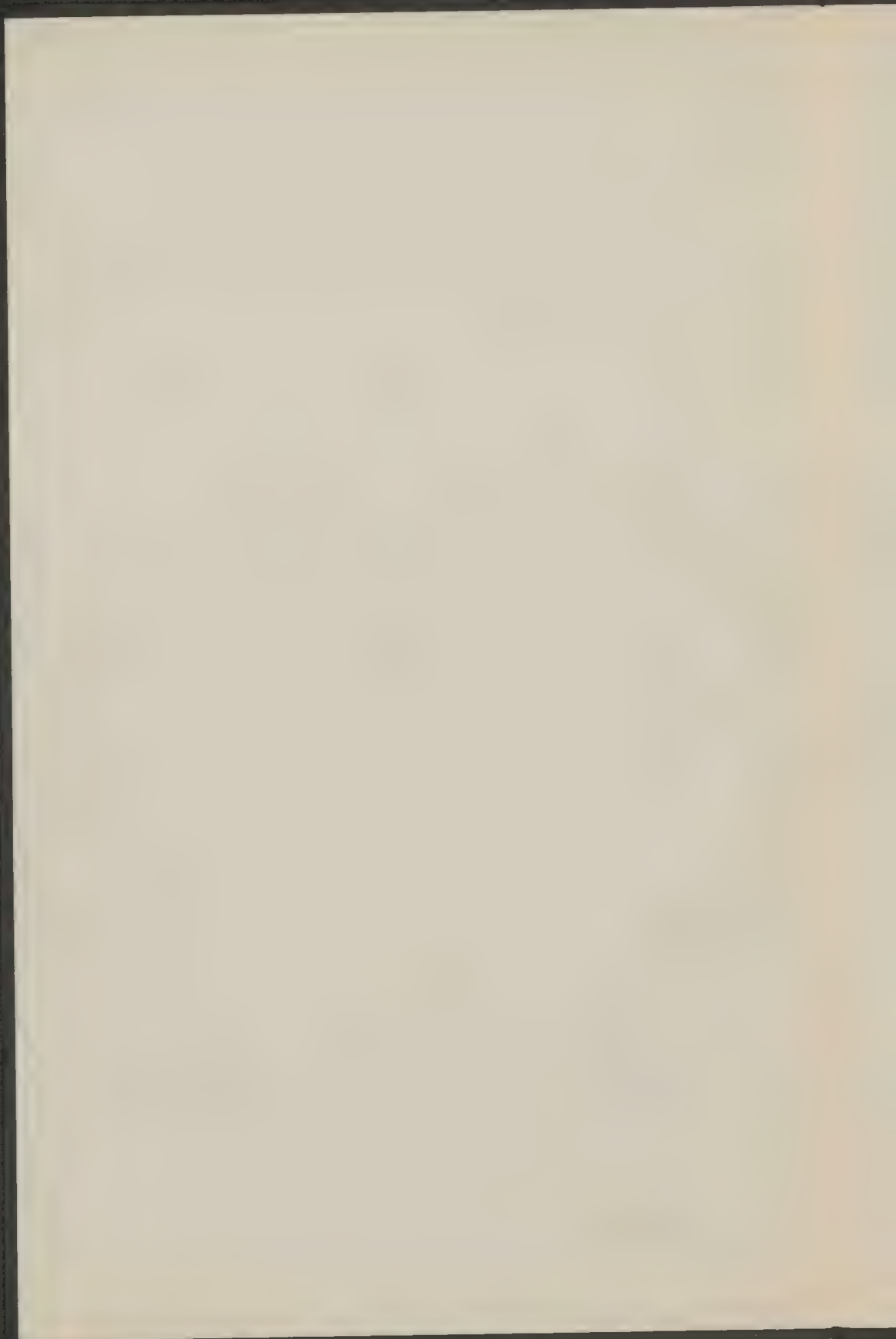
— Daruj mi, bo ja nie wiem sam, co mnie nadeszło.

Przebieżem z taką chęcią dążyć na te bory!

Z taką uciechą wielką, jak do raju...

Ale gdybym ujrział przy Tobie ten łeb wyschnięty...

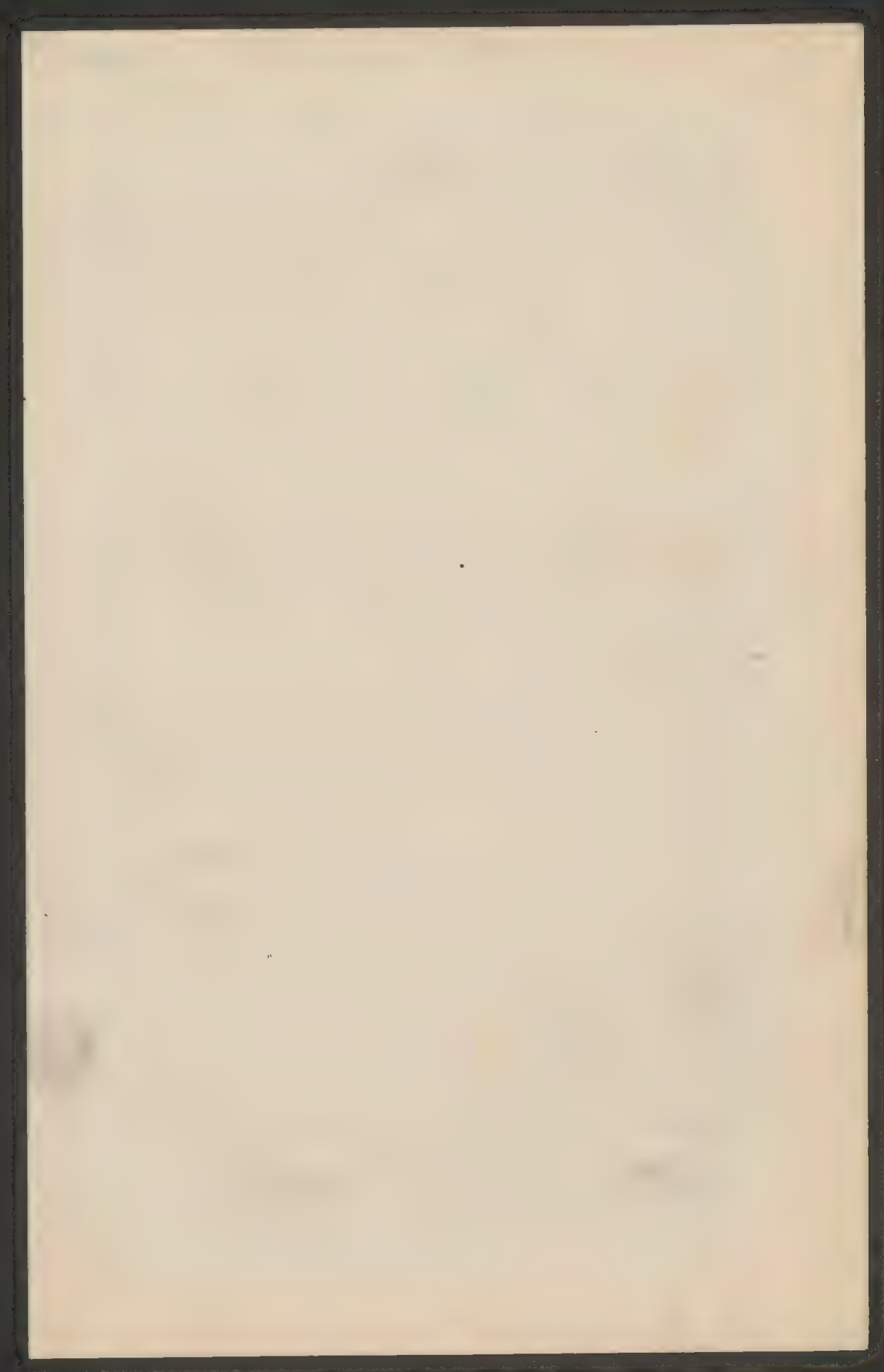
Daruj mi, bo ja ciebie tak bardzo miłuję,
że nie zdołam łatwo przemieścić,



aby taki wół wierutny
 śmiał o tobie przez moment inaczej pomyśleć,
 niż jako o wielkiej pani, która patrzy z chmur.
 Bo przecież mi, chciałbych cię tak wysoko stanąć,
 iżby ludzie, patrząc na cię,
 mruczyli oczy podobnie, jak w obliczu gwiazd.
 Hymn, Dzieśmo moja, ustanów się w żalu
 i nie płacz, bo mi serce doznaku popęka...

Prosił i błagał, nie wiedział już wreszcie,
 jakimi słowy mówić, by ją ulegować.
 Przyścisnął jej dłoń do piersi,
 a z taką czułością,
 jakby żywego ptaszka dzierzył w ręce.
 I jak ptasze, któremu serce bije z troski,
 drżała jej drobna dłoń przy jego piersi.

Uciekła i otarła łzy przyschłe na licach.
 Ale jeszcze zapaskę trzymała przy oczach
 i patrzyła z pozą niej, jak łaska z za strzechy.
 Wiedziała, że już niema żadnego zagrożenia.
 Milczała jednak, idąc przy nim,
 jak strapienie ciche;
 dopiero kiedy doszli do ostatniej kopy,
 siadła na sianie, założyła ręce
 i poczęła z surowością:



— Teraz ty mi powiedz...

Powiedz mi, ale tak szczerze,

Dla czegoś nie dotrzymał przyrzeczenia swego?

Damianie, jakieś obiecał święcie?

Miałeś zaraz na jutro starać się o wypłat...

Ja cie nie przynagliła,

samś się wyruchił.

A potem, co cię opętało z tego,

żeś nie mógł ze wsi od ludzi, jak Dzik?

Czemuś nie przyszedł, nie powiedział

ani nie dał znać?

To ja nie godna, by słowo od ciebie usłyszeć?

I, nie czekając co powie, mówiła:

— Wiesz ty, mogłabym umrzeć z Turbaczki,

ani byś o tem nie był wiedział.

I jak miałeś sumienie tak mnie poostawić,

w takiej niepewności i trwodze?

Musiałeś się od ludzi innych dowiedzieć.

A myślisz, że mi miło było, jak mnie zatonali,

albo jeszcze i gorzej, bo się śmiali ze mnie,

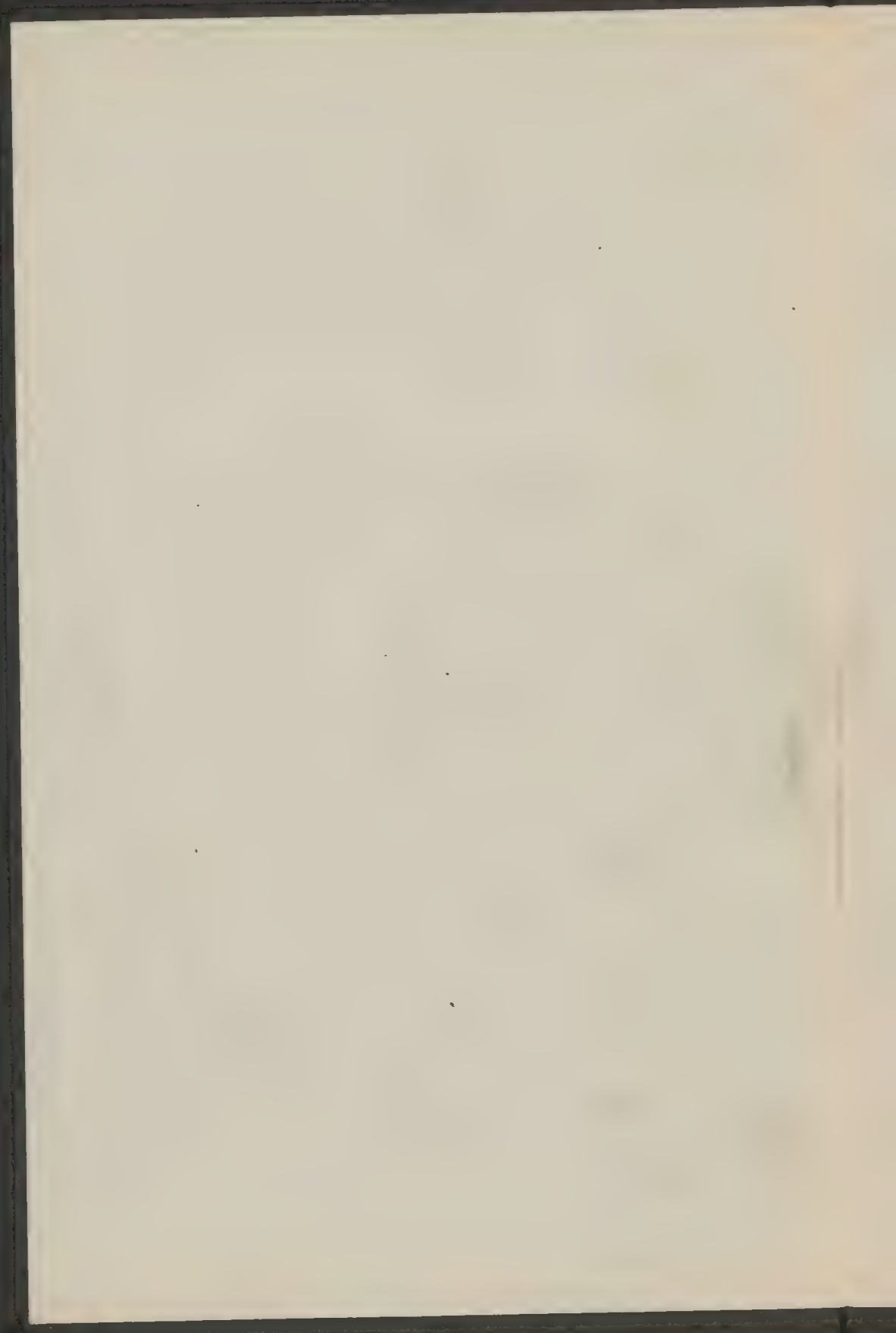
że za planetnika wyjdę. Dowiadali ludzie,

żeś się z Djabłem stowarzyszył, i chodzicie razem...

— Ale nie wierze-że ludziom...

— Aha! Tyś nie wierzył?

Widzisz, jak my się to keszli...



Uczuł się skruszonym w sercu.

Coż jej ma powiedzieć?

Wreszcie pomyślał: - Bywają różne przeciwności.

Ja natrafił na taką, że musiał cofnąć.

- Powiadałeś, że się nigdy przed nikim nie cofasz.

- I dosiela postarzałem. Ale bywa różnie;
przeszkody mogą zajaść się i w sercu.

Człłek musi nieraz cofać się przed samym sobą...

- Tęby nikomu nie zaszedł,
abo w przeciwną stronę, niż zamierzył.

- Ja też tak - uśmiechnął się -
zamierzylech iść na dół rozłoka
a zaszedł do Huciska...

- Coż cię Tam ciągnęło?

- Bardziej mnie ono pchało, niż ciągnęło.

Ale to wszystko jedna siła - dodał -

dotychczas, że się Tam niechcący dnia jednego znalazł.

I nie żałuję! - mówił z wstającym zapalem.

Nadzieje się, co przeszło, wszystko będzie dobre.

Bo może nie wiesz, Hannuś moja,

że ja ścinam uboczek?

- Powiadali,

ale mi się nie chciało koniecznie wierzyć.

Bo jakiegobys sam dał radę...

- Czy ja to nie mogam?



Ścinam już od paru niedziel
i raduję się, że wnetki dojdę ku wierchowi.
A wtedy się odetchnę szeroko, jak wiatry,
i kilka stówek zgaruję do zanadru.

— Hej? To ci tło aż obiecali?

— Za co bych się mocował z twardymi smrekami?
Za jakie tajne grzechy świata? powiedz.
Drucie to nie żadna rozkosz, ino męka szczerca.

Tak, moje Dziecko,

Tak mroznie tych skarbow zdobywam,
o jakich ludzie myślą, że ich z Djabłem szukam.
I powiem ci, że choć strasznie
cnieło mi się za Tobą,

nie miałem postanowienia obaczyć cię wreszcie,
aż pieniądze wzgarcają...

— Drucie wiem — przerwała —
że choćbyś i goły przyszedł...

— Ale mnie samemu byłoby to nijako.

Zresztą, o czym gadać,

kiedy i Tak bogaczem przed Tobą nie stoję.

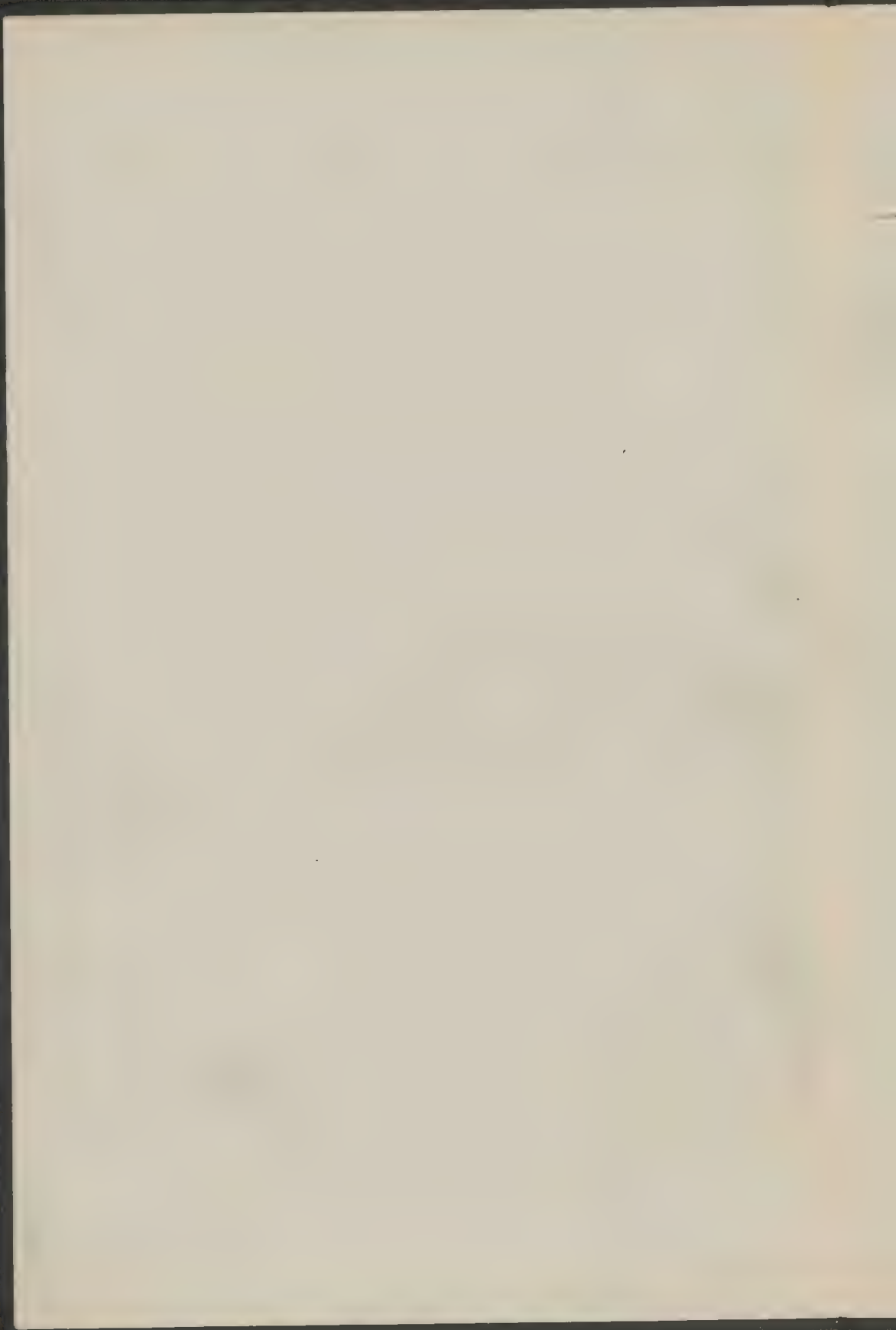
— Siadaj przy mnie — poszeptała.

Posłuchał jej rady

i usiadł ostrożnie z boku, by kopy nie zwalić.

— Czemuż Tak daleko? pytała z uśmiechem.

— Boisz się jakiej zdrady? Że się zaś nie boję...



Przysunęła się ku niemu z resolością Drieka,
obejmując jego ramię splecionemi dłońmi.
On jeszcze myślał stał w poprzedniej gwarze
i, z tego kierunku pozierając, mówił:

— Wszystko się dobrze słoi,
nawet lepiej, niżby se kto myślał.
Na jesień ubock zetnę, zapłatę otrzymam,
i będziemy se radzić o inaksem życiu.

Tak ja się nie dam biedzie ostać
na mojem gawdoszcie.

Bede ja dotąd przesładować,
aż mnie opuszcą.

A jak mi się świat rozwidni,
to obaczysz wtedy,
co Franek Rakoczy może,
jakie cuda zdiata!

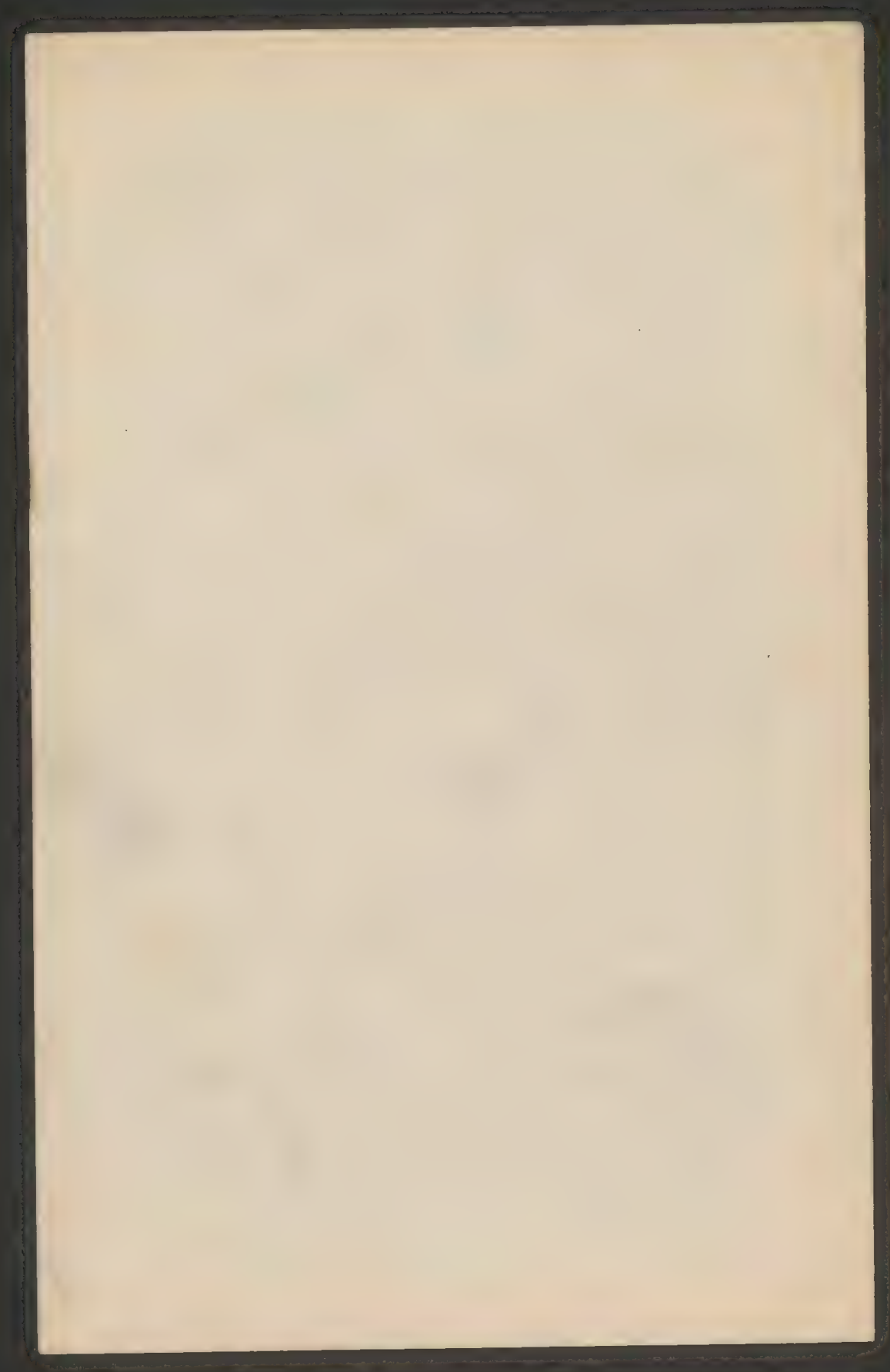
Ino ty wierz we mnie, Hanus,
bo mi trza koniecznie,
aby ktoś we mnie uwierzył,
choć jedna duszyseka...

— Twoja! — szepnęła przytulając się.

— nie spoczne, pókad krzywdy nie obale we wsi!
Tak ja bede wyrinał, jak te ubock lesina.

— Myślałach, żeś już o tem zabaczył...

— Drzemigdy!



To imo życie odwróciło mnie na bok,
 jak ta fala mętnej rzeki odnosi łódkę rybaka.
 Ale ja się wnet odbiję od cichego brzegu
 i wypłynę na sam środek...

— A jak cie łopielec wciągnie?

— Łopielców już niema.

— A ludzie powiadają, że jeszcze są...

— Nie wiem. Ale ja nie o tej rzeczy...

— Mówmy o czym innym.

Albo lepiej nie mówmy,

Słuchajmy, jak grają...

Umiłkli..

Słychać było zawołanie skrzypiec.

Ludzi nie widać,

zastonił ich las kóp rozstawionych.

Po za tem oddalenie kryło ich po za mgłą,

która oparłem zaległa doliniaste bory.

Odgłos tupotów głuchych szedł po równej ^{trawie.} ~~ziemi~~

Śpierny dolatywały do ostatnich kóp.

„Hochałach cie Jasiu,

Hochałach cie dosiś,

Trudnoż mi cie było

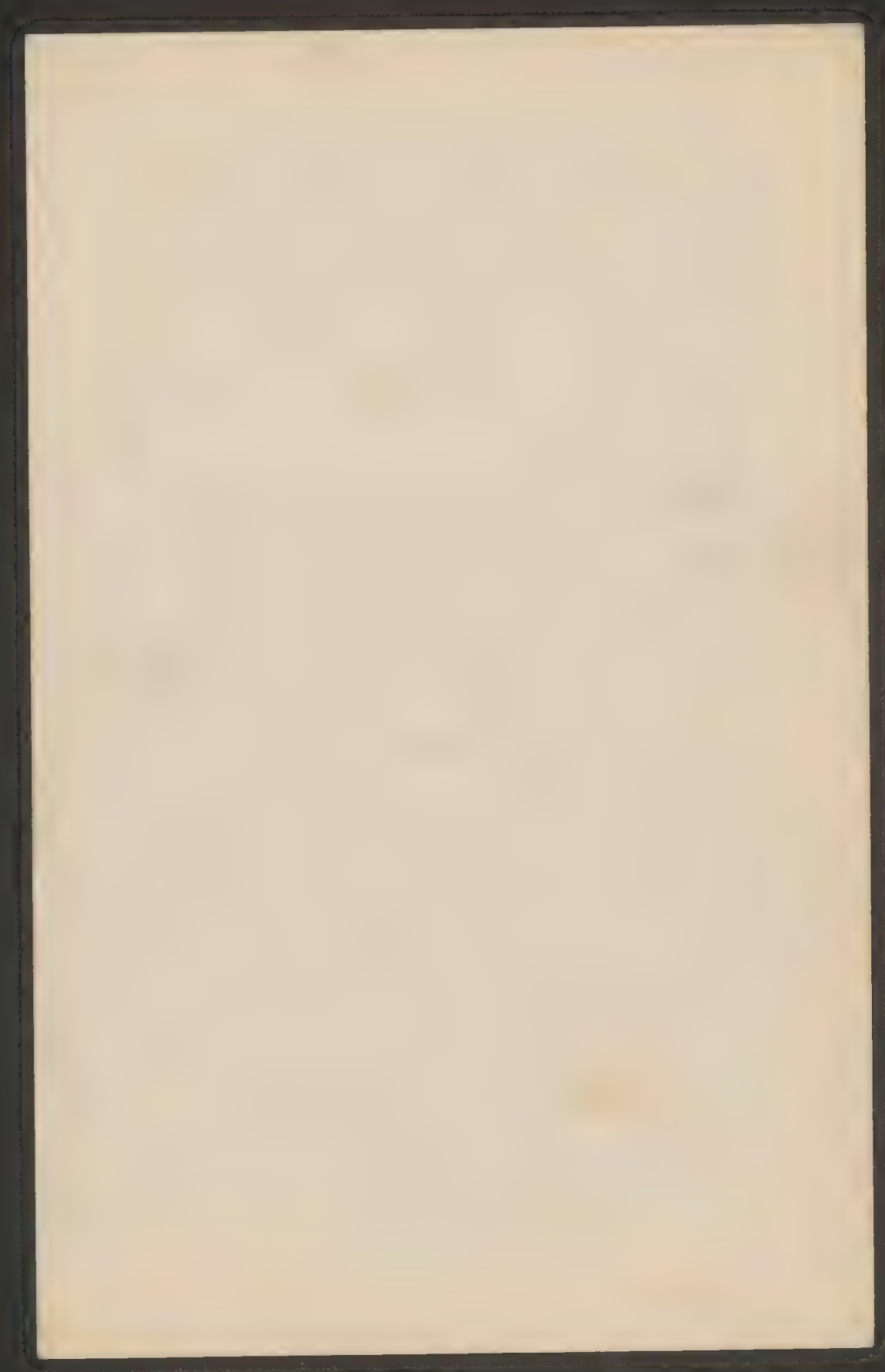
W podółceku nosić... „

Szum niedaleko płynącej rzutki

owijał melodyje, głuszył i przyciszał,
 zdawało się, że fale nymfki je z wody.
 Przenikały się w widnej księżycowej nocy,
 jak wiotkie ciała boginek rozkosznych,
 które się zaiste pluskają na jarze
 w mlecznych i srebrnych pianach wodospadu.
 Czasem piersi zasinięły białe,
 błysnie cudotono,
 czasem oczy zamigocą wrokiem i zgasną,
 gdy je zawieje płomienny wicher złotych włosów.
 A czasem, ale rzadziej, ukaze się postać,
 zapatrzona w głębinę, jak brzoza płacząca.
 Tak się snuły melodyje w tej nocy wroczej.

Ła mglistem, białawem światłem
 widać było tęczę,
 jak stroiła mieniąc blade
 w porzucane szaty.
 Dobierała promieniami siedmiorakich barw,
 Dwie się jej zwiidziały bardzo
 i ostała przy nich.

„Jużem był, jużem był
 Do kołana w niebie
 A leni się zawrócić,
 Anielskim, do ciebie...”



Sieczkota melodji ~~to~~ kołysała serce,
mgła owijała myśli i siadała
pomroka na oczach.

Siano pachniało, jak kadzidło,
które poi zmysły.

— Czemu tak drżysz?

— Dytasz się, a sama dygotasz...

— To od zimna.

— Nie wierzę...

— A od czego? powiedz...

Drzychnęła się ku niemu, jak habina gietka.

Od boru i piwny leciały swobodna melodia.

Drwoniły, jak drwonki owies,

turlikaty głosno,

jak puste śmiechy pasterek,

gdy się zejdą razem.

„Wianeczka odemnie

Chcesz Jasie koniecznie?

Ożeń-że się ze mną,

Bedziesz go miał wiecznie!...”

Leciało trzepotliwie, grająco, jak ptaszkę,
które się stawało z wiatrem bije.

— Słyszysz?

— Nie słyszę nic, wiem ino, żeś moja...

20

— Pamiętaj!..

Cała dolinę jasność zatopiła,
 morze światła białego, bez dna i bez brzegu,
 kołyszące się cicho w uspieniu głębokiem
 przez jakiś bezmiar siny, nieskończenie wielki,
 który dokoła opasuje wieczność.
 Ucichły płacze i śmiechy umilkły
 i usta wszelki gwar stworzenia;
 dolinę całą wypełnił Bóg-Twórca.
 Na cześć niewidzialnego wstają przesni mocne,
 zrodzone z wyobraźni zolbrzymiałej duszy,
 a spiskane, jak przez las Tajemny, milczeniem,
 którego dźwięk głośniejszym jest od surm anielskich
 i echo dalej niesie, niż płacz ziemi.

— Oczy Twe odbijają w sobie światło gwiazd.

— A w oczach Twoich płomienie się jarzą.

— Księżyc na czoło Twoje świeci.

i ubiera cię jak światła.

— Czoło Twe czarne, jakby je smółka opaliła.

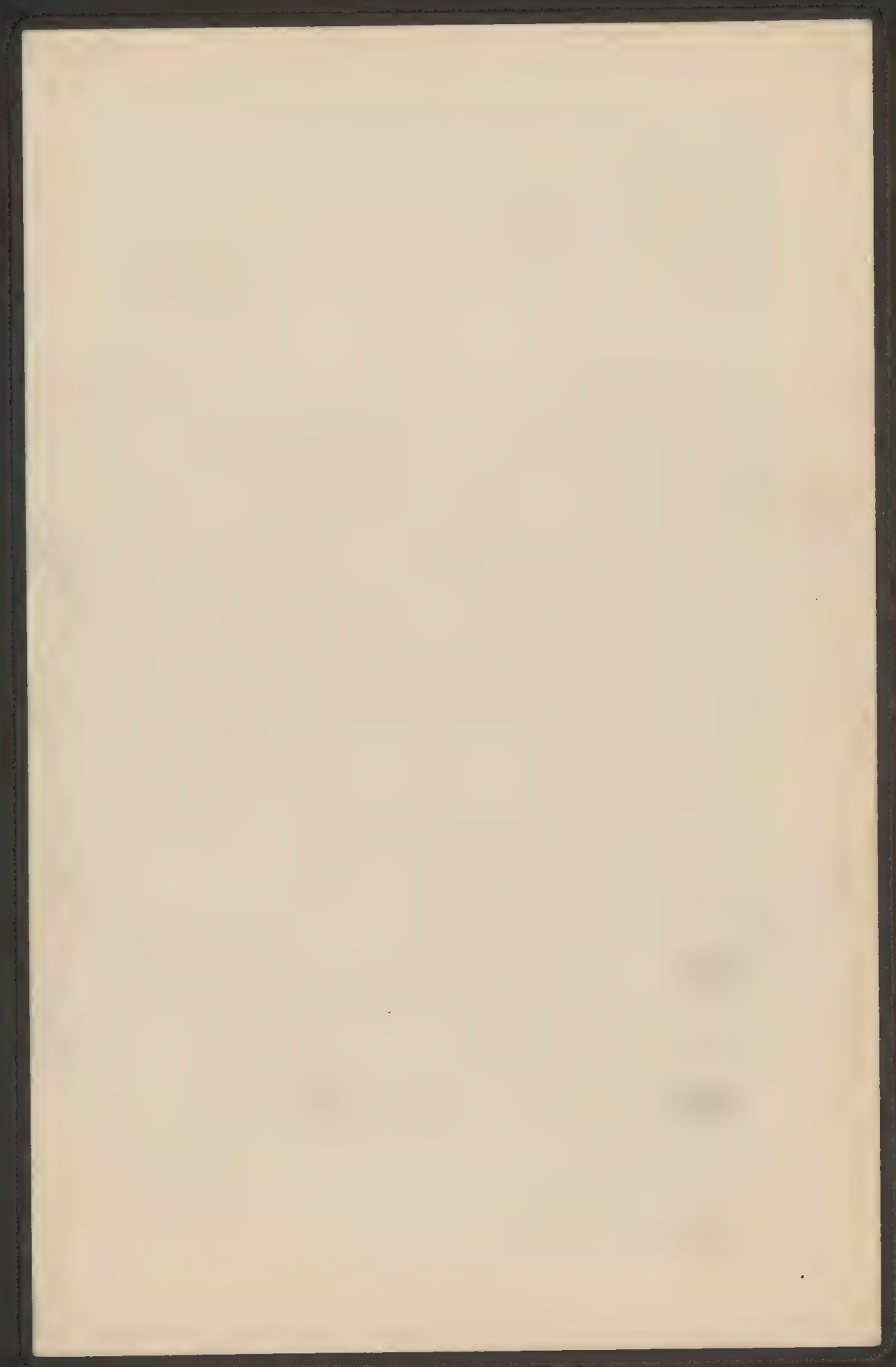
A twarz podobna teraz djablej...

— Nie lekasz się?

— Nie, bo wiem, żeś ty ^{jest} przezy mnie,
 bo cię czuję...

— Niech się świat zapadnie ze mną!

— Zabij mnie!



Księżyc znówu rozgarnął po dolinie światło,
 rozproszył białe mgły
 i porozwieszał je po stromych zboczach.
 Roztoka się rozwidniła, bory się odkryły,
 kopy stoja, jako stały -
 nie się nie zmieniło.

Odgłos tupotów głuchych odzywa się w ziemi,
 i słychać z odalenia zawołanie skrzypiec.
 Zmieszane głosy dolatują do ostatnich kóp.

„Cremur ci sie, Franus,
 Diorko nie migoce?
 Dalei je Hanusi
 Ża żdote warkoce...”

* *

Na niebie pojechało światło.
 Gwiazdy pobiegały,
 od wschodu wychodziły coraz śmielej zorro.
 Roztoka szła i bładziła
 siwiejąca mgła.

Ludzie z borów pomału pojechali się trawie.
 Zasepienie i senność zesły się nad wodą
 i wity się leniwie ponad siwe mlaki.
 Nicjeden z borujących padł na wilgne siano,
 aby dać wyprocynek zmęczonemu ciału.

1887

Uboża, po ugorach, we mgle, jak planetnik,
szedł grajek, Jasiak muzyka,
który cała noc przegrywał na borach.
Grał ludziom, a teraz sobie.

I spiewał pod nutę.

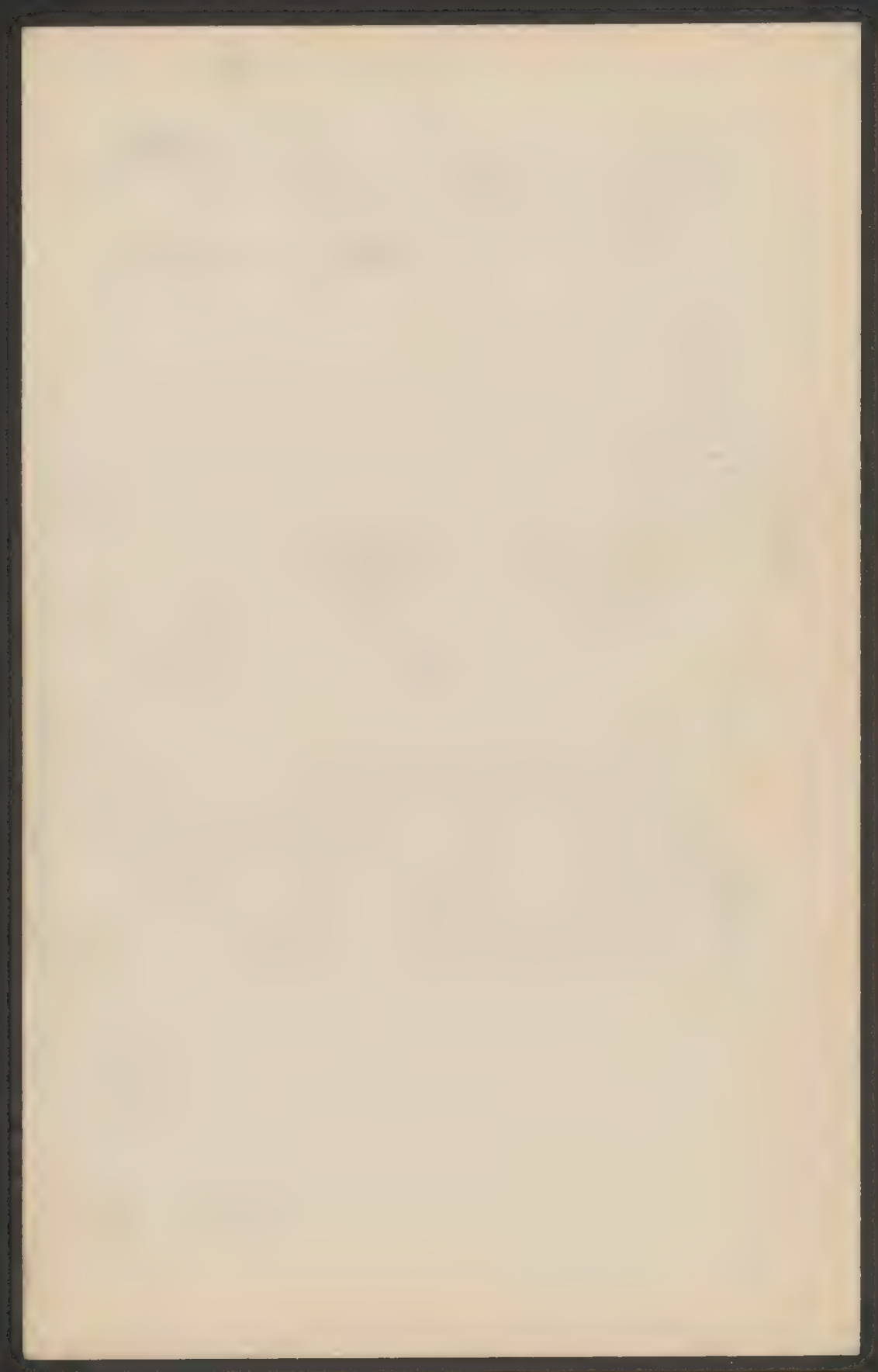
Było w niej dziwne powiązanie uczuć,
można rzec: szczęśliwości smutku.

Albo jeszcze inne...

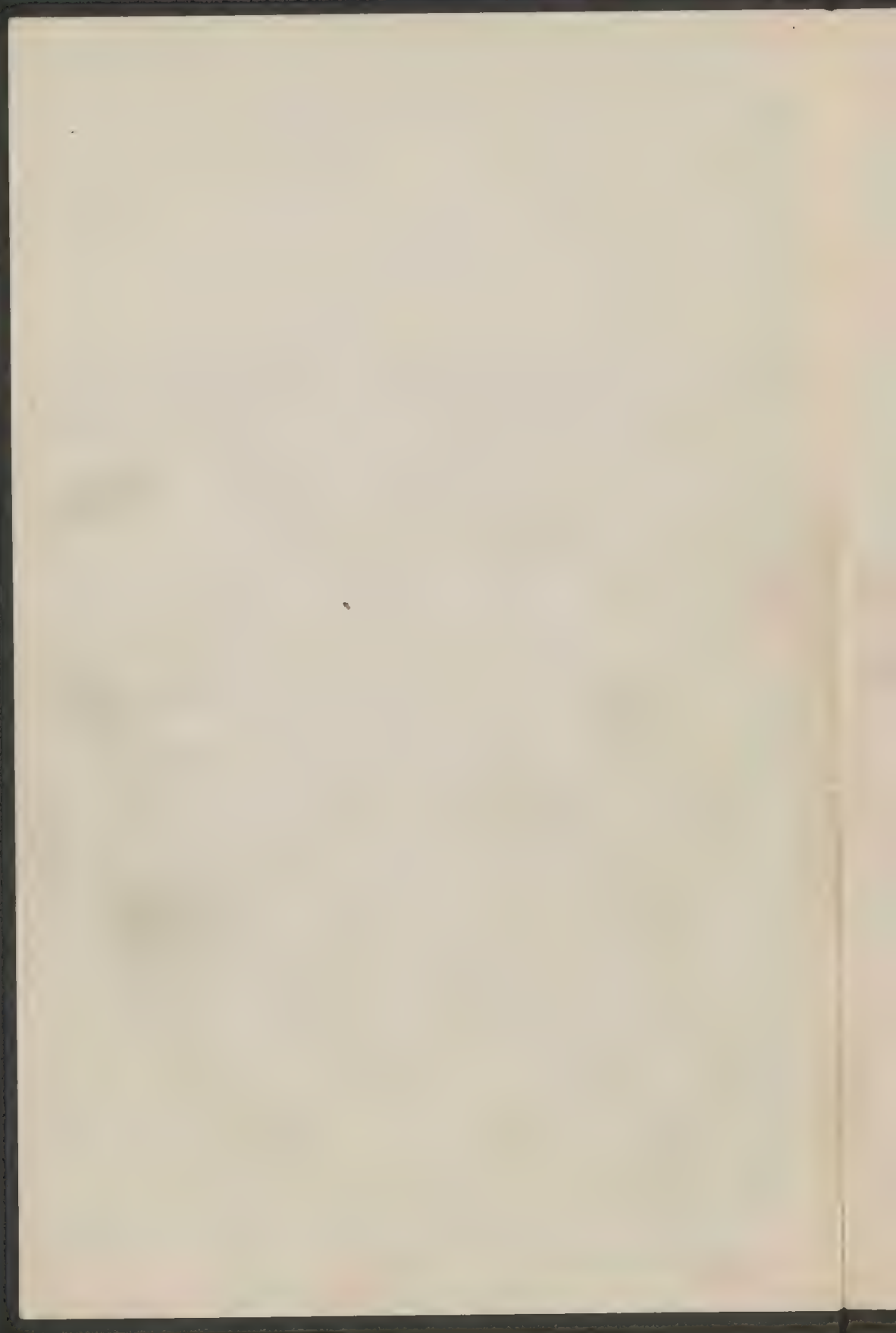
„Hej, biedne moje serce
na pół się dzieli -
Jedna strona płacze,
druga się weseli... „

Głos czysty biegł,
a skrzypsce zabiegały warko;
mijały się i w pustej ginęły uboży.
Zwoliwały się długo smutnymi echemi.
Wreszcie głos przepadł.

Echo skrzypsiec zapłakało po nim.



Pogrzeb Muzyki.



Na przedzie obrazu: cmentarz wiejski -
trawnik nierówny, pełen kopczyków i zagłęb-
ień - w części niedużej zruszany, ziemią czę-
ściej winiętą. Na nim tu widać krzyże drewnia-
ne - niektóre pochylone już, połamane,
inne - i dwa nagrobki z kamienia. Drzewa
ze rzadka: kilka świerków, modrzewi, parę brzo-
zek... Cmentarz ugrazda porożrywany żywopłot
z głogu i smreczynu.

Dalej - poza cmentarzem - wznosi się uboga
góra, na której widać ślad zagonów kiedyś
oranej ziemi. Po górze - kępami i samy „
nie częściej Karły-jatowe.

Dalej - ku górze - górę przechodzi w ciętą
połną i ginie w ciemnych przyłaskach.
Z nad przyłasków przesłania skrawek nieba.
Słoneczne światło przedpołudnia.

W górze - ponad cmentarzem - widać pa-
sące się roztracone owce: białe i czarne.
Wśród nich pasterkę-dziewczynę.

Na cmentarzu - na przedzie - wśród



świeżo zruszanej ziemi : dwóch ludzi. Jeden, młodszy, po pas w ziemi, z łopatką w dłoni — drugi, stary, ponad nim siedzący na desce — stary grobarz i jego pomocnik.

Pomocnik

(patrzy na prawo, w górę, na uboczu, które się przed jego oczyma rozciąga.) Nie widać żeby go wieźli. I nie słychać pieszni...

Grobarz

Nie marudź. Dokończ grobu. Oni się tu wnet ukazą — ino patrzeć. Słonko już da, lekko wyszło...

Pomocnik

(schyla się i wyciskuje ziemię. Po chwili, nuci, ciewny się, staje, spiera ramiona na łopacie.) Boże, mój rówieśnik... Razem my na polanach przez lata pasali — w jednych rokach my do odbiórki chodzili... I ha, my bych być pomyslał, że ja mu będę grób kopał...

Grobarz

Maiz, widzisz, zastanowienie... I nieraz ci to jeszcze przyjdzie. Kiło ja razy tak stanął, jako ty teraz, i zadumał się, sparty na łopacie! Pochował ja ich tu setki — a z każdym prawie coś

111

mysla pognały, gdzieś wspomnienia,
mi pochodził - a byli między nimi
i towarzysia moi z lat młodych...

Pomocnik

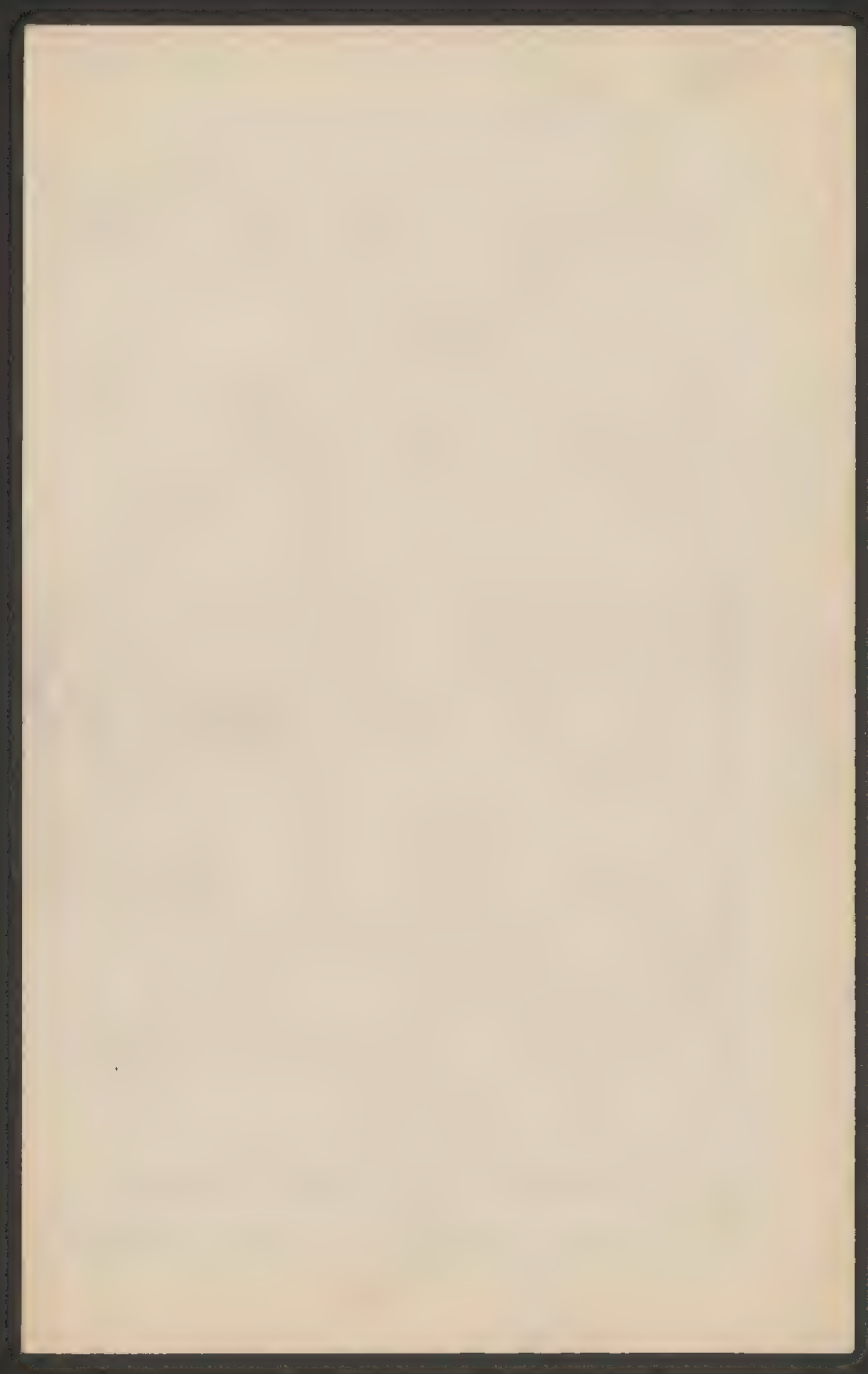
Bacze, jaka radość była na polanach,
kiedy do nośn szedł... Słychać go było
z daleka, bo każdy chadzał grający.
Skryпки szły na rękach dzierżył, jak
matka dziecko nieletnie, a w czasie
deszczu nosił je w rekawie. Ej grał też,
grał! I wiedział nute taka, że choćby
najtwardszy człek - musiał się ozwać.
Ta nuta jego owijała się tak około serca,
jak jedwabna mi. I mógł ją człeka,
ka chciał, zaprowadzić.

Gróbarz

Juści-c' nie było tu nadeń muzyki. A
znałech i poch-wałech ich już kielu.
Nieboszczyk Grzeda - hani leży, pod tym
smodreczkiem (pokazuje) - miał i on nu-
te wesola, ale nie miał tego składu. Do
tańca to ta zagrał...

Pomocnik

Hm... Obiecował mi Jasiek, - żebrak mój -
że mi będzie grał na weselu... Zagrał



ta - mocny Boże! - już na wieki zmiłkły
Troje skrzypcie... Czy mu je też włożyli
do trumny?

Gróbarz

Co mu tam po nich...

Domocnik

Powiadacie - a jakie by on tam był bez
nich? To samo czyszcem by mu było.

Gróbarz

(nie odpowiada: Po chwili:)

Matrafielech kiedyś, kopiąc, na grót nie,
boszczyka księdza różańcowego, co to tu u
nas na pensyi siedział i wszę brewiarz
odmawiał... Ż brewiarza została ino skóra
wierchnia, a z księdza nawet i tego...

Domocnik

(schyla się i z zapamiętaniem wyrzuci ziemię,
pozem znów staje:)

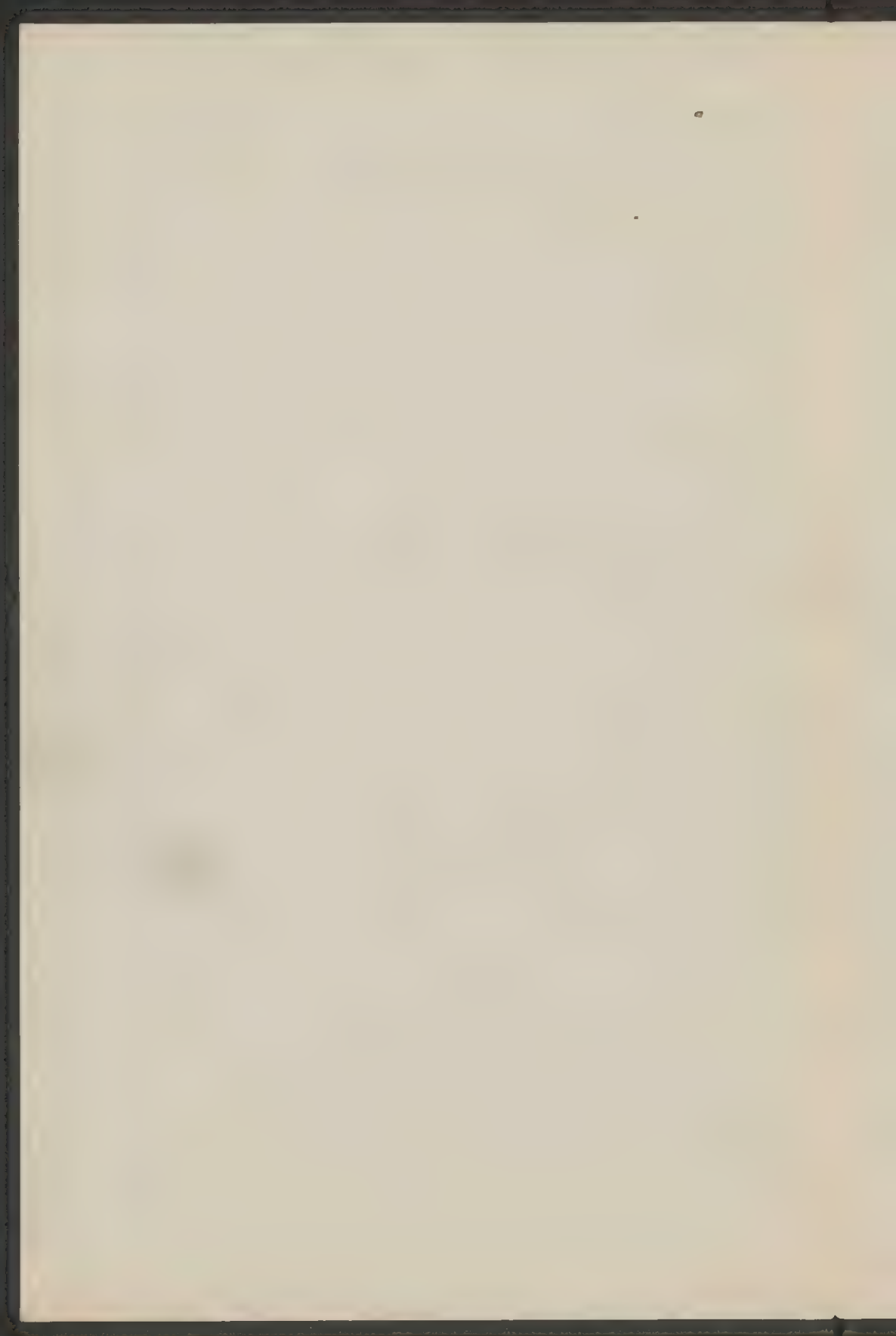
Ja to ni mogę nijak pojąć...

Gróbarz

Czego?

Domocnik

A tej... śmierci. Jak to tak człowieka
zmięść...



Grobarz

Wiatr suche liście zwięta, by nowe miały
ka rość... Dożółkna i te nowe, i wiatr je
zwieje... A wreszcie - drzewo obali... I coż
~~by~~ by' blyszczący liść?

Domownik

Liść - Dobrze... ale okwiat! Do coż wiatr i
okwiat zwięta?

Grobarz

Oha to już wiatru się spytaj. Ma moc...

Domownik

Dyć i ja mam moc. Mógłbych iść i
bechnąć w ciebie każdego, co go słabszego
napotkam. -

Grobarz

Tego nie zrobisz.

Domownik

Zaczeć?

Grobarz

Boś nie wiatr, nie masz prawa.

Domownik

A skądże wiatr ma to prawo?

2

Grobarz

Gróbarz

Ha - to znówu jego się spytaj...

Domocnik

(westchnąwszy ciężko, wyrzuci ziem.)

Gróbarz

Niby o wietrze się gada... Daleko od wie,
czy. Ale był on czas - pamiętam - kiedy
jak te liście, padali ludzie od promuchu.
Przewiał powietrze i zabierało skraje,
bez wyboru... (Satyra na uboczu, na prawo.)
Wieżę go, zdaje mi się...

Domocnik

(podnosi głowę.) Śpiewają.

Gróbarz

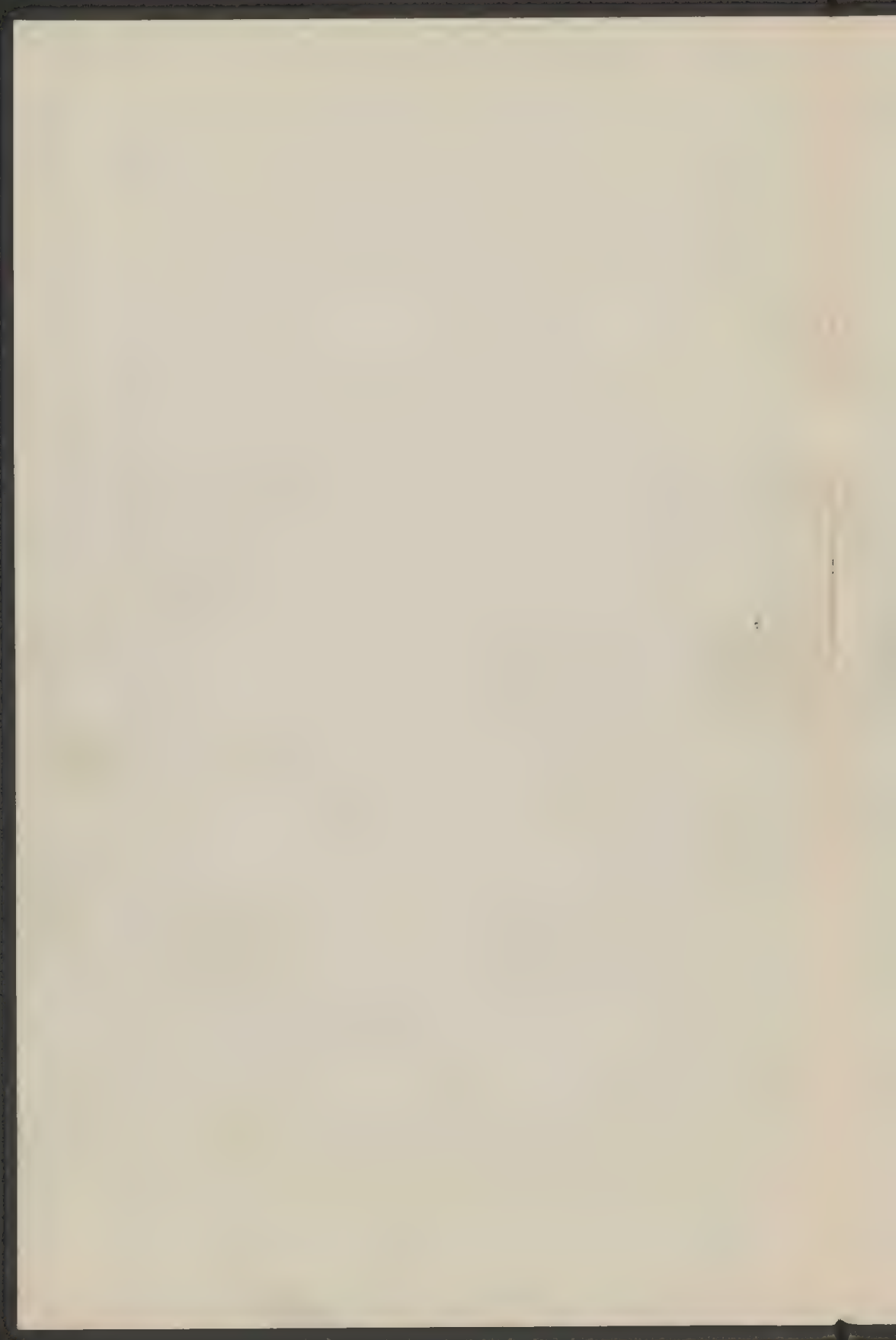
Widzi mi się, bo nie dojrzał, że już nad
potok skalisty dochodzą...

Domocnik

Nie, dopiero są na Działku... Kobiety
w białych foktuskach, chłopcy czarni...

Gróbarz

To też ci mi się z jałowcami mienia...
(Satyra w milczeniu i nastuchując śpiewu.) Gróbarz
(wzruszony.) Setki razy słyszałem ten śpiew,
co tu na smutarkę odprowadzić, a... nie
porada się ozrywać...



Pomocnik

(chlipie try nieznaźnie :) Boże... Sieroto... Już
ty nie pójdziesz więcej tą ulicą... jakżeś se
nieraz szedł... grający...

Gróbarr

(opamiętuje się :) No kop-że, kop...

Pomocnik

(próbuję kopnąć) Ręce słabnieją... (wyruca
ziemi.)

Gróbarr

Ino na mnie nie ciskaj... Jeszcze mnie
na czas przykryjesz...

Pomocnik

Kto wie, kto kogo. Sami mówicie, że wiatr
nie wybiera...

Gróbarr

Ale najchętniej zwiern suche liście, zie-
lonym czas...

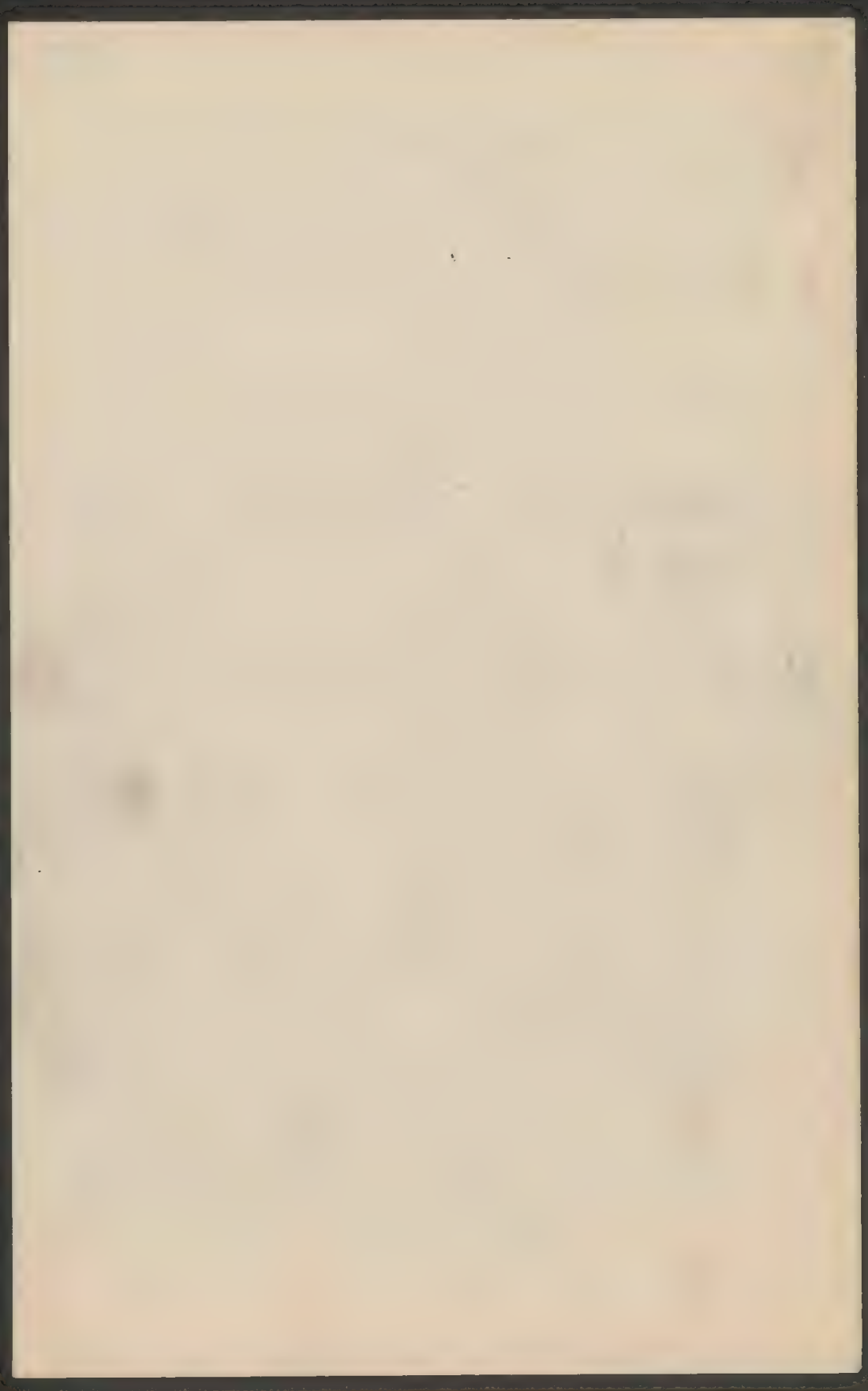
Pomocnik

Mie duża to pociecha --

Gróbarr

Ale żądy pociecha... No kop-że, kop...

Pomocnik



Pomocnik

(wycisnaje ziemię - do chwiłi...) Już na po-
tob keszeli...

Gróbarz

Nie słychać pieszni. Dział zachyla...
(patrzy w stronę onego działu...) Jest i kani
smutartz, z czasów zarazy i głodu... Dział
mało go i użnać - pozacorywali... Krzyż
wpadł do ziemi - nikt go nie poprawił,
tych kilka olszyn i jałowiec znać za-
ledwie ślad... A był kani spory piatek
ziemi, nie mniejszy od tego tu... I za-
wdy tak mi się wzięło, że tu nieboszczki
mają dwór, a kani folwark... Dobrze
widzieć czasy, kiedy ludzie i folwarki nie-
boszczekom parcellują... W złych rokach =
musiano przykupować pola na smu-
tartz... Bacz, jak przere mgłę ten po-
mór... Ludzie sneli jak muchy. Nie
było czasu robić trumien, prosto w do-
ły z guzjaków zrucali...

Pomocnik

(staje - patrzy) O - już są na Dziale...

Gróbarz

Aha - sporo ludzi... Mało kto kani wcha-
łupie pozostał. Całe podlesie sioło...

Domocnik

zastłczył se.

Grobarz

(zapatrzony i zastłuchany w pieśni:) Tak, tak-
żebraku, grywałś se po polanach - kесе,
lileś świat - a teraz idziesz ku nam
ze smutną muzyką...

Domocnik

(wywraca ziemię - znów staje, ociera pot- wzglę-
na się.) Biedna Hanka - jak tu przygnała
owce.

Grobarz

Dyć wiera. Ona hań pasie...

Domocnik

Nieraz z owcami szła za jego nutą,
jak by owce i one razem jaki urok
pojały. Spiewowali też ku sobie, jak pa-
siłi: on woły na jednym wierzchu, a ona
owce na drugim... Przeganił, się ich
głosy ponad lasem, jak dwa gołębie
drżące, co na wietrze skrzydłami, jak na
strunach grają. I kiedy on dla niej
grał, to wszyscy co słyszeli, wiedzieli, że
dla niej... Taka była serdeczność w tej



nucie. Ulatowało kilka dzieńkać za nim,
ale żadna tak nie banowała. Co się hań
teraz w jej sercu dzieć musi!

Grobarz

Boleje - pewnie - będzie boleć, póki jej
świeczek nie wróci... ^{Wiadomo:} ~~Niedawno~~ dzieńkać.
Gorzej matce. To jedyną na świecie miała
w nim spomogę. Bo dyć sam był, jej
nak. Ojca już dawno schowali.

Pomocnik

Mierzą, słyszałech, powiadała: „Zachyle
się za niego, jak za krzak jałowy, i
śmielej mi.” (nasłuchuje) Czy mi się zdaje,
czy też jej ~~placze~~ płacz hań słychać?
Szrebią się poprzez śpiew żałobny.

Grobarz

Ja nie rozznam.

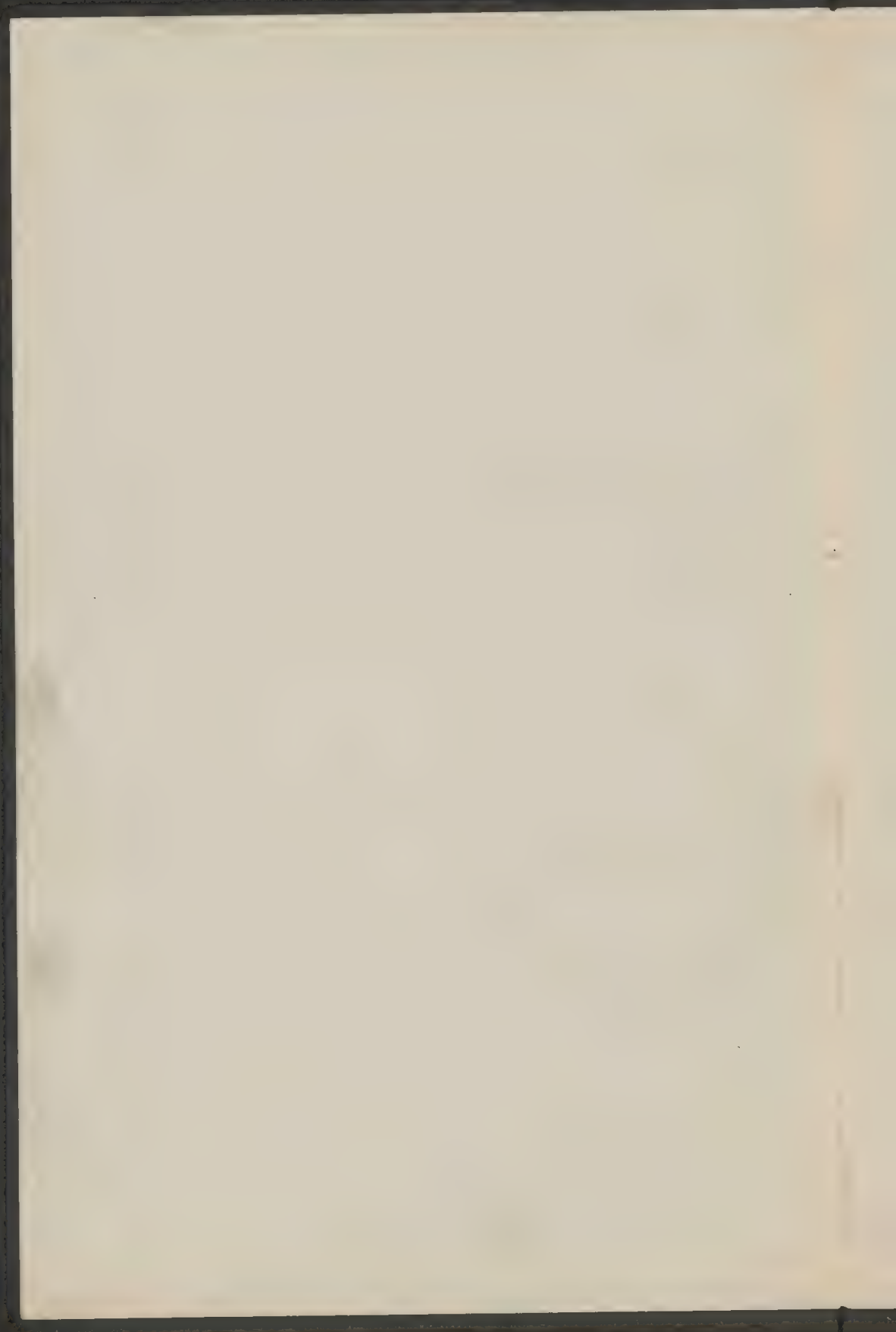
Pomocnik

Schodzą już ku kościołowi...

(Słychać dzwony: naprzód jeden, średni, później cię-
szy, a wreszcie poważnie niski - razem zlewają się ich
pogłosy w melodyję żałobną.)

Hanka

(Dotąd nieruchomie wśród orszerek stojąca, pochyła



schodzić ku cmentarzowi, jak w lunatycznym śnie-
w żółtym ruchu w takt marszu drzewnego.)

Pomocnik

Wnoszą go do kościoła. - Towarzysze je-
szeli trunne...

Gróbarz

Niedługo tam obrządek potrwa. Trza się
zwijać.

(Drzewy ustają. Hanka zatrzymuje się przy żywo-
płocie. Pomocnik chyła się w dół i wyrusza cieniem.
nad nim, na desce siedzi pochylony Gróbarz.)

Gróbarz

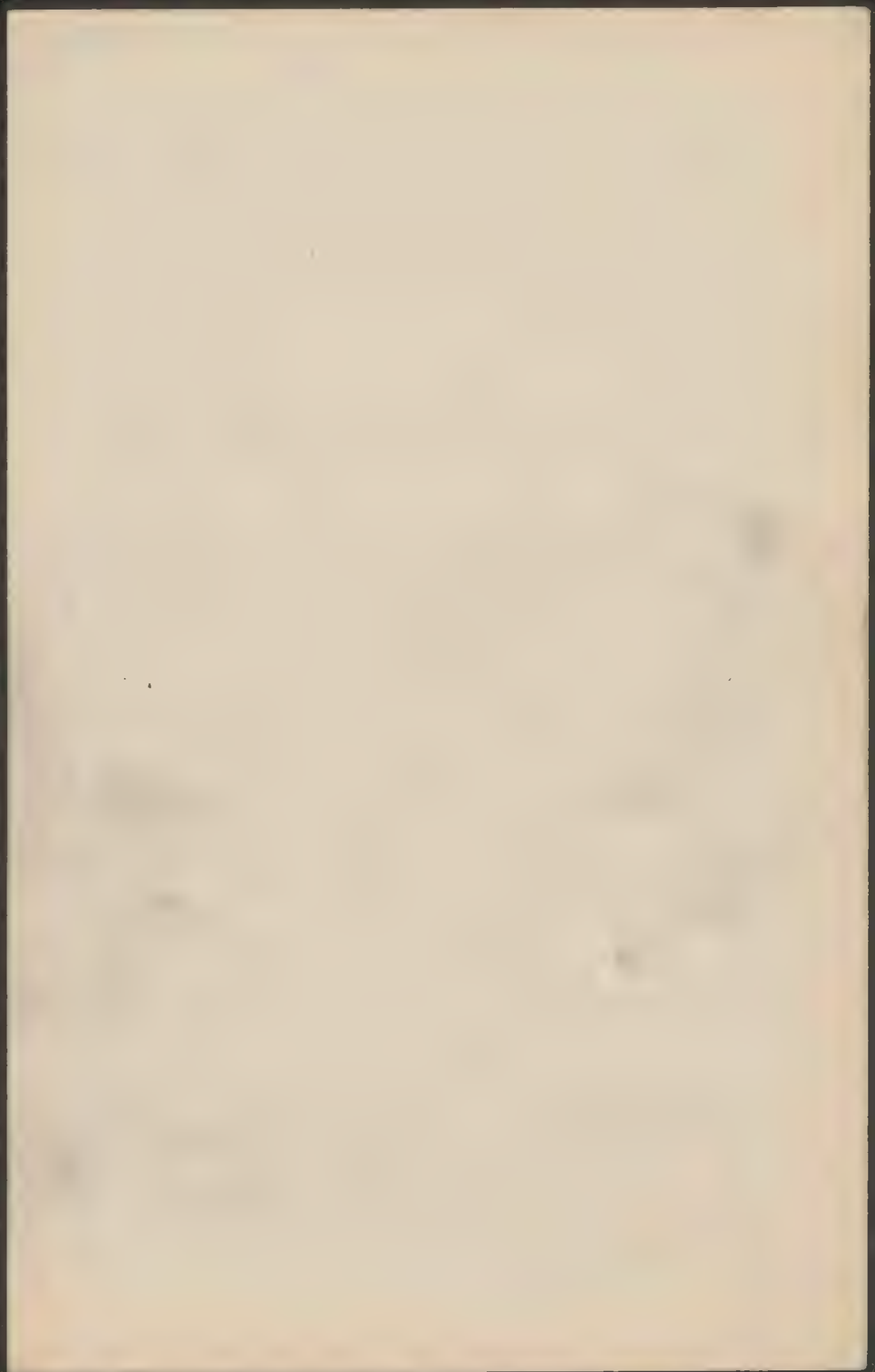
Wtedy się najłatwiej robi, jak już nieboszczyk
w kościele. Czas się króci - przy nagle - a
i to skrzepia siłę, że się już widzi oczu-
wistnie, iż nie może być pomysłki że nie-
boszczyk czeka na swój katek.

Pomocnik

A mnie jakos' nie idzie. Ręce opadają

Gróbarz

Wzrywaj się. Jak ci padnie i opu-
groń wybrać, ab i żonie... Wnetbys' Tru-
dla siebie połok wybrać - a trudno. Gróbarz
jesteś.



Pomocnik

(natrafia Topata na kości jakies, wydobywa je i podaje Grobarzowi:) Włócznie my?

Grobarz

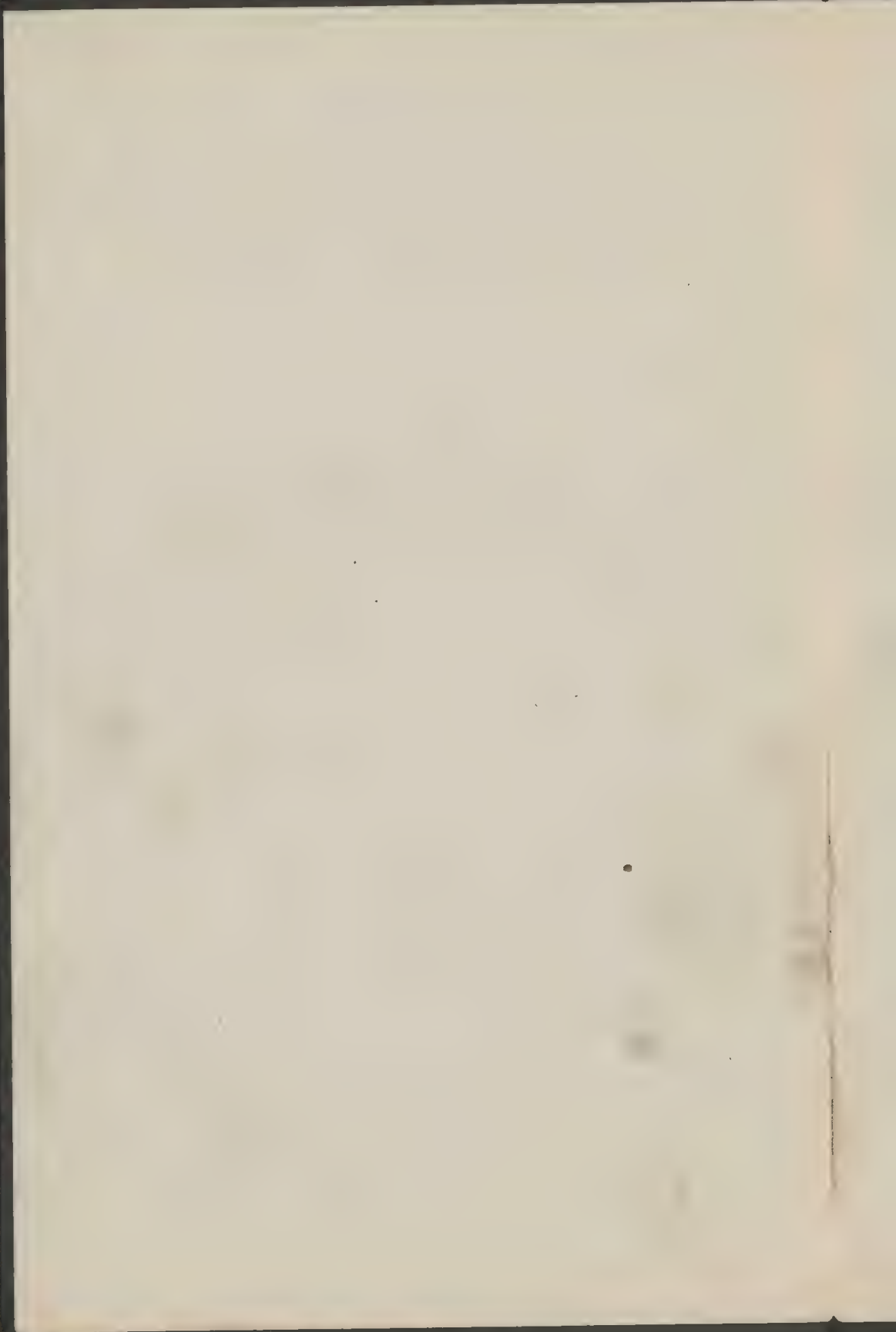
od biera i opatruje:) Ha no - Kosteczki .. Czy, jeś to beda? (Patrzy po cmentarzu) Zaraz my tu zmiarkujemy... Hań ten grób znaczny pod smreczkim jest organistoń - musisz być, czyć - co go ta na działach zawiato... Było to w ten „rok zmarły”. Hań znorn - gdzie ta trawa biała, leży wójt stary... Baczę do, brze, bo wójcina te odmienne trawę na grobie posiała, co by znak był... Od tego grobu trza zachować... Jeden - dwa - trzy - cztery... (idzie dalej po cichu) jedenasty... Wnet dojdzieny... zaraz... któż to po wójcie był?... Wójt cheba i marł po wiosnie... Tak Szy, moniek stary... potem Randa... (rachuje dalej w pamięci) Już-ech doszedł!

Pomocnik

Któż?

Grobarz

Kocyl abo Figura, jak go zwali, co to świętych rabiał. On to - jego kosteczki... (opatruje) tak - tak - wiści - nikt to było...



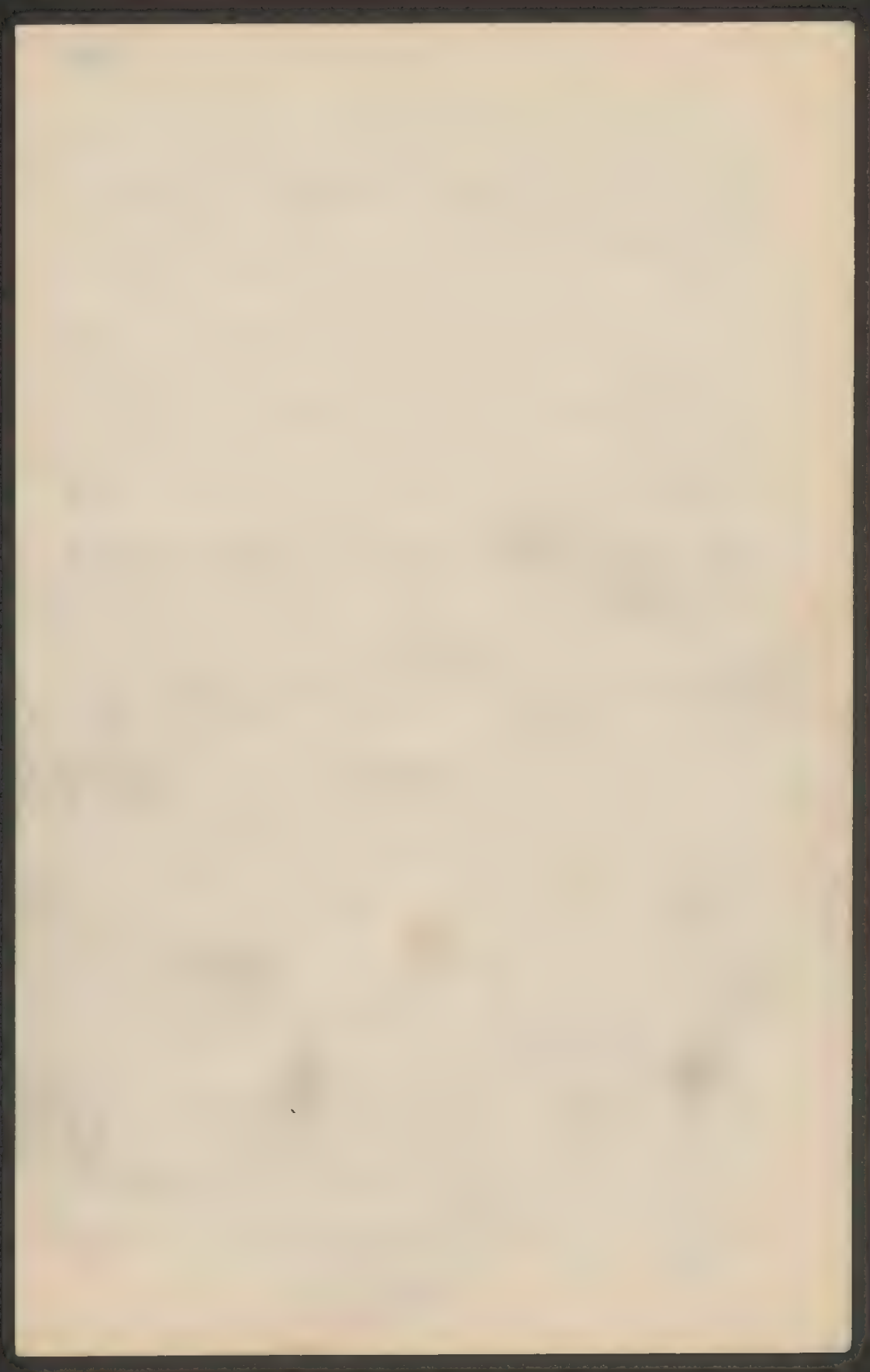
No, już się dośi dłuugo żebraku należał
 w jednem miejscu - pójdziesz se teraz do
 kostnicy. Leży ich tam spory kopczyk,
 będzie nam śmielej. Wesole to było - ba,
 czę - nieraz - ech mu się uśmiał. Mapić
 się częstaro lubił. Jak zdłubał jaką fi-
 gurę - zaraz z nią do karczmy. Raz zrobił
 Pana Jezusa. Biedny to ta ten Panierus
 był, ale był. Sumienie mu nie dało
 za wódkę Pana Jezusa zastawiać, ale
 naryknienie ciągnęło. Kłęknał przed
 Nim, złożył ręce i powiada: „Panie!
 Tyś mnie stworzył i możesz co chcieć, ze
 mną zrobić... A skoro ja cie zrobił - to
 się też nie gniewaj, że cie prześię...”
 I poszedł z figurą do karczmy.

Pomocnik

Josie wy mu grób brali?

Gróbarz

Jakże. Cała ta kradra od kaitego krzy-
 ża schyłonego, to już moja karczma.
 Z gruntonalech ja już za trzecim nawrotem
 Mało miejsca umarłym żywi odstepują
 to trza dośi często nieboszczyków przenta
 cać na drugi bok... Mówi się: wieczne.



odpochnienie," a daje się ino dziesięć lat
spoczynku. Jak i temu biednemu Figure.
Telo prawie, by krzyż miał czas spróchnieć.
A czasem trza go i wycisnąć. (Rozpatruje
się po cmentarzu z uwagą znawcy i gospodarza)
Dwoje tu ino nie będzie ruszanych bo
mają se nadgroby z kamienia: nie "
bieszczak ksiądz i gospodyni jego. Niego.
Dua ona tego, bo pieklarz - baba była,
ale pieniądze sprawili, że ma spokój. A
nadgrobek księdzowego niema kto skoi"
czyć. Pieniądze krewni rozdrapali i nie
troszcza się o niego. Tak bywa... Rychto
skoić czyż?

Pomocnik

Wnet. Jeszcze ino boki zrównam...

Gróbarz

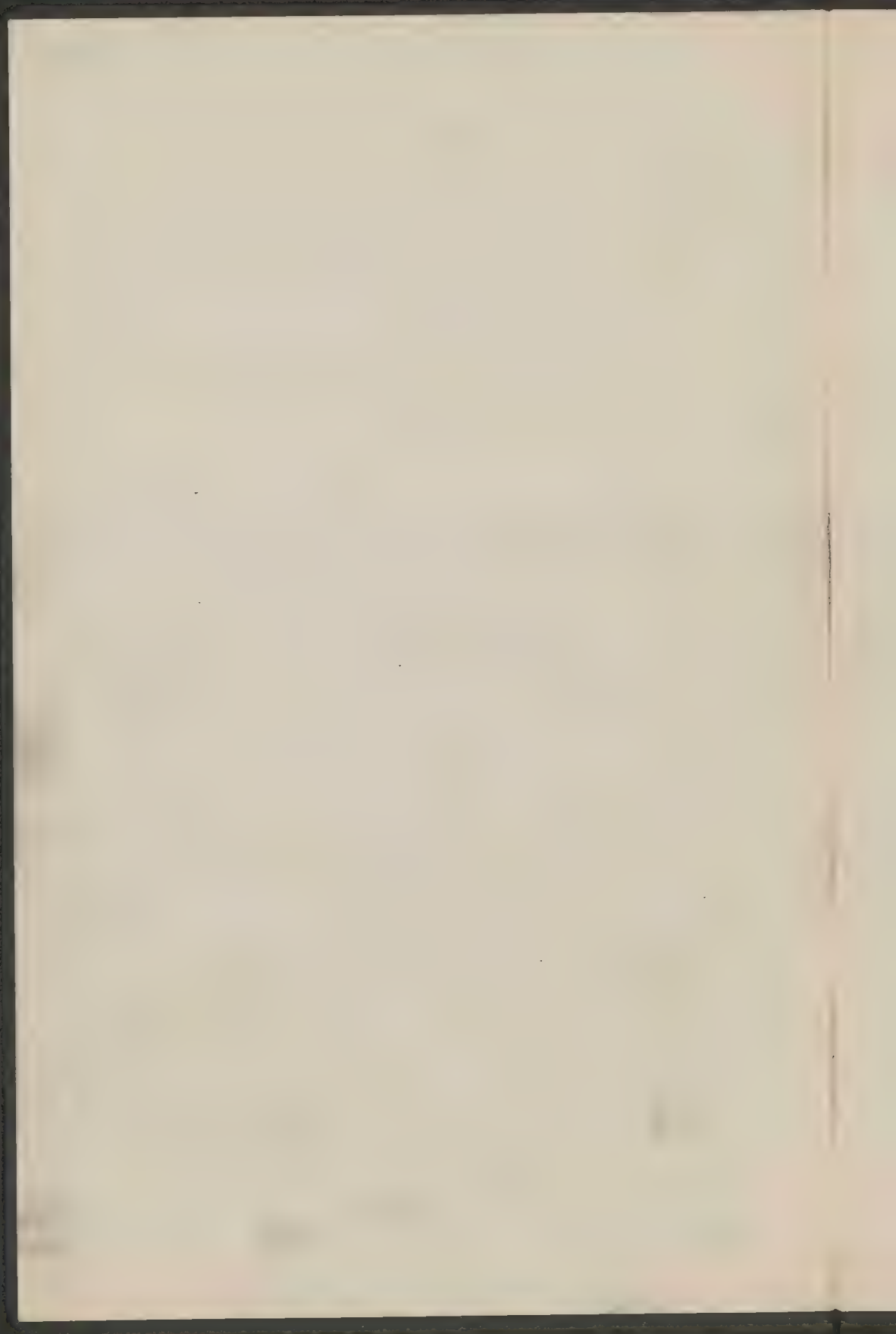
Nie przeciw się, nie. Telo mu ta zebrało,
wi i w gładkim leżeć, co i w nierównym...

Pomocnik

Zardy przecie przystojniej... (obrótnie)
Dyć żebych mógł, biedaku mój, tobych
cię i klanu grob zrychtował...

Gróbarz

Już mu to ta jedność... W tym, czy w owym...



Pomocnik

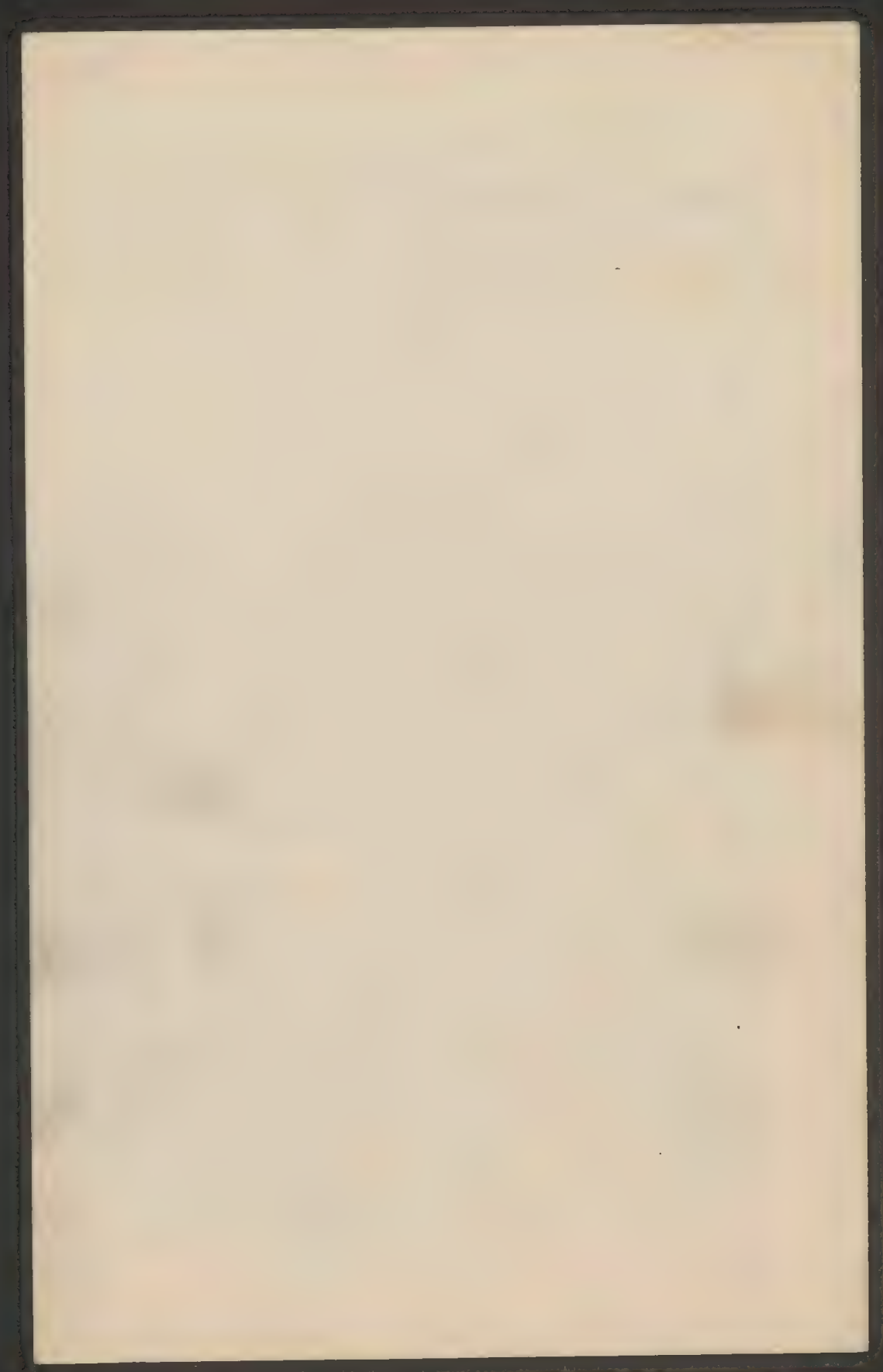
Jakech go odwiedzał przed śmiercią po-
wiedział: pochowajcie mnie pod smreką,
niech mi wiatr gra...

Gróbarz

Ha no, nie wypadło tak, trzeba się trzymać
porządku kolei...

Pomocnik

Żeby to hani - na polanach... Wyścieliłbych
mnie bukowymi liśćmi i ułożył pod ko-
rzeniami najryźniejszej jodli. A jak o-
głowie jej wiatr by uderzył, toby drze-
nie jej, do korzeni dochodząc, powiadało
mnie co wiatr szumi... Hej! - na polanach...
poł wesołości hani już zmarło z Tobą...
Kto będzie grał przy sianokosach - przy
grabieniu... Kto do tańca pobudzi? kto
przywiedzie na pamięć zabaczone śpienki?
kto wspomni dawną, staroświecką nutę?
Nima już i nie będzie takiego muzy-
ki... Skonczyło się. I po co to człowieko-
wi robić smak na życie, kiedy przyjdzie
naremnica i podetnie jak tego smreczka
gibkiego. A i drzewo nawet dłużej żyje-
przedzaj się oprze czasowi. A tu lada po,



Dmuch - i nimia cie - jakbys nigdy nie
był. Ani spominku o tobie. - (pochyła
z pasa ryskować ziemię - nagle staje:) Wie,
cie, ja to nijak nie mogę się oswoić. -

Gróbarz

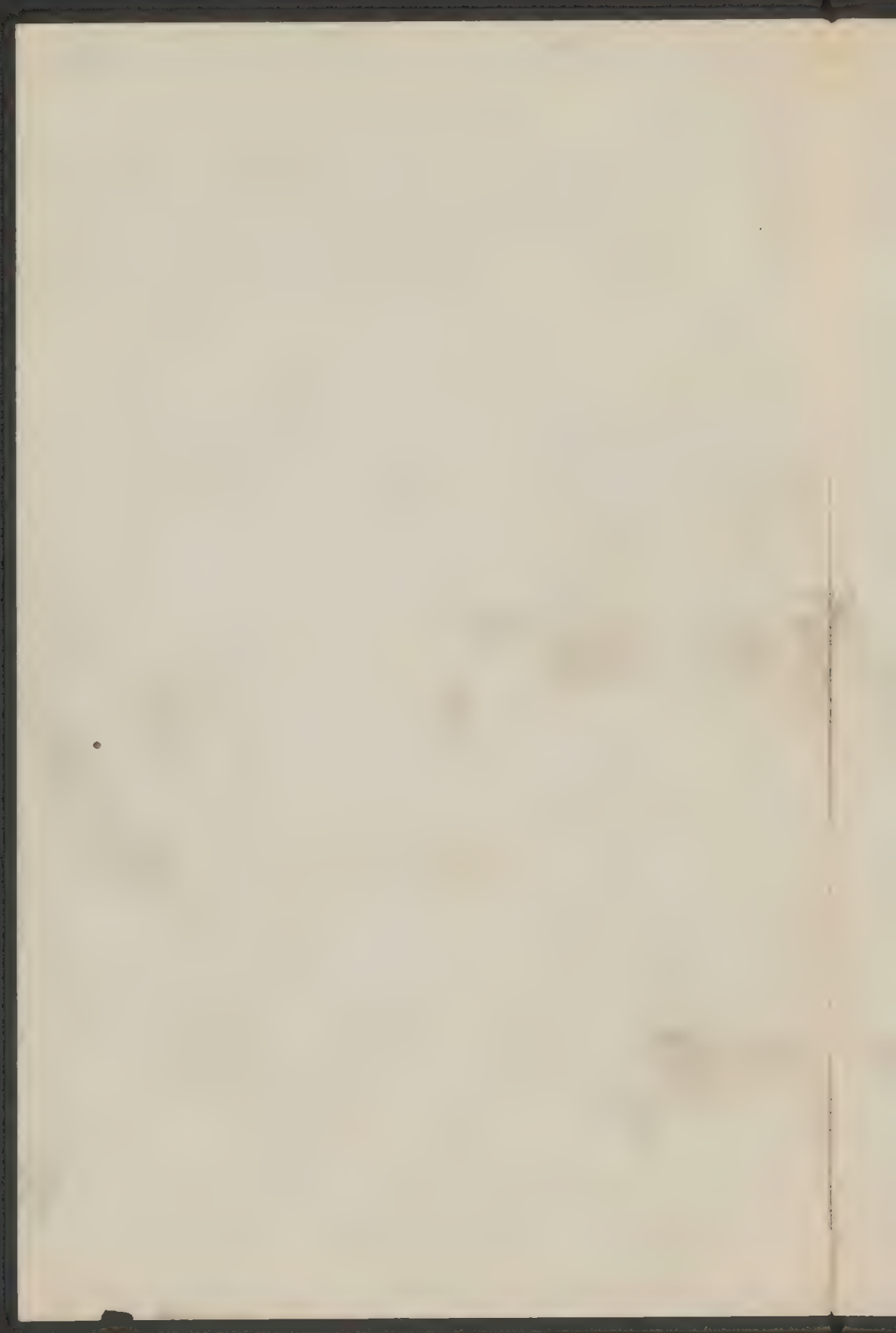
z czego?

Domownik

No z tą ... śmiercią.

Gróbarz

Ba, coż się tu masz oswajać? Ty se grób
bier, jakbys" doł na ziemniaki kopał i
myślił se o różnościach, jak przy każdej
innej robocie. Przyjdzie czas - postarze,
jesz - to ci samo kaze o tem myśleć. Te-
raz tobie w uszach gra młodość - to ja,
koż czego innego możesz słuchać? Sły-
szysz - pernie, ale tak, jak kiedy w kar-
czie tańczysz: - tu cie war unosi, tu
ci grają, a kanyś tam nieszpory śpie-
wają... A co do tego, coś powyżej przyto-
czył, to ja dumam tak: Murek śmieć,
to wspominają go ludzie, źle albo dobrze,
pokić nie zedra butów, co im zrobił.
Murek beduare, to żyje w pamięci, póka-
się jego beczki nie rozleca. Jak był



radkim bednarzem, to jeszcze spomina
go czasem: „Ten robił dobre konewki,
abo ono... Umrze człek co ma dzieci,
to jeszcze kucyki, jak go za żyta bary„
ty, przypomnia... Zresztą niepanieć po-
kryje - tego, jako i tamtego. Umarł na
piękne i - koniec. A jak zaś trafi się
człek z talantem radkim, to on tak
nie minie łatwo... Widać kani
te dzwonnice? (wskazuje.)

Domocnik

Ba dyć ja wżę mam na oczach...

Gróbarz

Stawiał ja majster z Gronia. Tak go
nazwali. Bedzie temu sto rkoń, abo
może i więcej, jak pomarł. I do dzisie-
dnia innie jego żyje. Tak i z Jas'kiem...

Domocnik

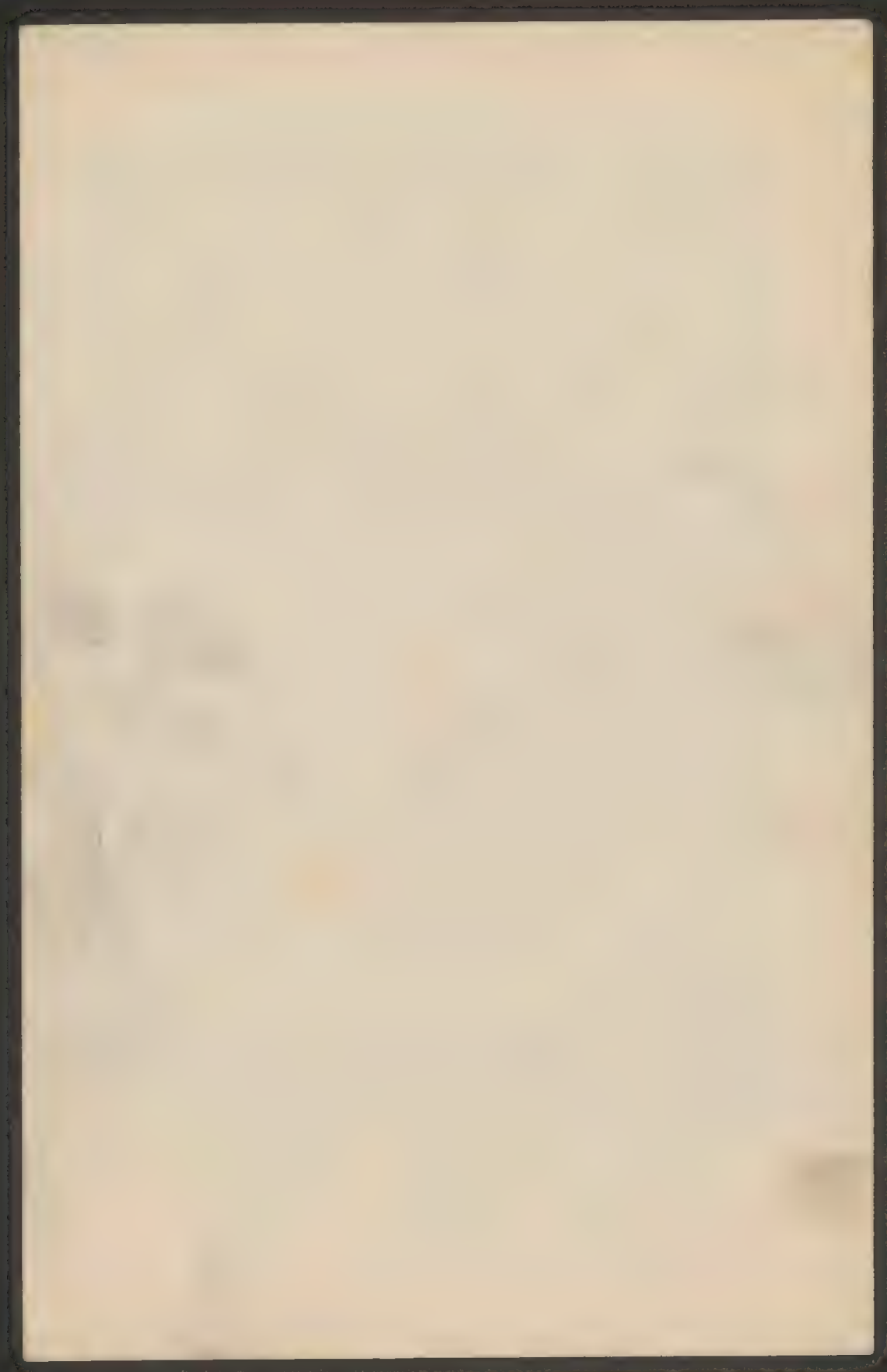
Łicho - no!

(Słychać melodyę skrzypiec od ugorów - parę
taktów zbłąkanych z kołomyżki...)

Słyszycie?

Gróbarz

Dyć słysze.



Pomocnik

Pedziatbych, że to on gra...

Gróbarz

Muzyka jego się błaka... Tak, tak. Coż tak dziwne pociągasz? Jak nimał Józek z Brzyzka, co na fujarce, jak nikt przed nim, ani po nim grywał, to długo potem jeszcze słychano tę jego fujarkę...

Pomocnik

Dziwne sprawy... To, co najradziej grywał se idący - (portarza nuciąc) „Cj na drina, drina - drina - oj da drina, drina da”

Hauka

(jakby i ona słyszała, obrziera się z zalekaniem i zdziwieniem «około - nasłuchuje - pozzem wchodzi na cmentarz, zatrzymuje się co parę kroków, wtykając po grobach, jak śpiąc, zbliża się z wolna, «stronę wybranego grobu. Słychać drzozny.)

Gróbarz

Już go wynoszą... (zdejmuje kapelusz)

Pomocnik

szybko kończy robotę, wyciąga z dołu, wraca Deske

w poprzek i odstępuje z westchnieniem...) Nigdyż
tak ciężkiej roboty nie spełnił...

(Słychać z dala pieśń żałobną w takty wachniów
drzewnych, tak, iż razem z melodyą drzewów tworzy
pogrzebny marsz.)

Matka

(zatrzymuje się, opiera się o pień modrzewia i
patrzy z bólem w stronę, skąd pieśń idzie.)

~~Chór żałobny z daleka:~~

Chór żałobny ~~z daleka~~ (za sceną):

Meisze się spada, rzeki -

Tochylcie się jedle, smutki -

Idziemy we świat daleki -

Żegnamy was już na wieki.

(Drwony:) O Jezui!

(Ma cmentarz wchodzi procesja żałobna. Niewiasty
w białych toktuskach, chłopcy w ciemnych sukach.
Przede młodych niesie trumnę. Za trumną
postępuje niewiasta w ciemnej odzianą chustą, w
ból pełnym ruchu: - Matka.)

Chór żałobny:

Ledwo nas w ciało odziano -

Ledwośmy się dźwigiłi rano

Ledwo nam się przejrzeć dano -

Już nas z życia wywołano -

Hanka

O Jeru! (obejmując pięć modrzewi, osuka się
w omgleniu)

Chór żałobny:

Wnet zapomną ojce chrześni-
Nie spomną bracia rówieśni-
Stad na ziemi nie ostanie -
Wieczyste w ziemi mieszkanie -

(Dzwony) O Jeru!

(Przez dzwony i melodyę żałobną przediera się
wysokie zawołanie matki:)

A jakieś sędzi bez siło-
Grasieś sobie wesoło...

(w obłędzie przypomina, nuci:)

"Oj da drina, drina, drina,-
Oj da drina, drina da!"

(W ruchach tanecznych dochodzi do grobu i
pada na trumnę syna.)

